

Biuro Odbudowy Stolicy
Jak odbudowywano Warszawę

Juliusz Machulski
Spuszczono z łańcucha najgorsze
cechy Polski

Księża
uwiedzeni przez
Kaspirowskiego

Wiesław Kot
Wirus w filmie

ŚWIAT JAKO OBÓZ PRACY

KAPITALIZM

W CZARNEJ

DZIURZE



• TEATR CAPITOL •



AUTOR
FRANCIS VEBER

REŻYSERIA
MARCIN SŁAWIŃSKI

PRZEKŁAD
BARBARA
GRZEGORZEWSKA



OLGA PASZKOWSKA JOANNA KORONIEWSKA DARIA WIDAWSKA MICHALINA SOSNA

WOJCIECH SOLARZ PAWEŁ KOŚLIK ŁUKASZ NOWICKI ANDRZEJ DESKUR



• KUP  •

www.teatrcapitol.pl

PREMIERA MARZEC 2020

CYTATY

**MAGDALENA
SMOCZYŃSKA,**

*córka Jerzego Turowicza
Moja wiara w świętość
Kościoła katolickiego legła
w gruzach. Pozostawienie
w nim byłoby hipokryzją.
„Znak”*

PROF. PAWEŁ KOWAL,

*politolog, poseł KO
Na 99% do II rundy
wejdą Małgorzata
Kidawa-Błońska
i Andrzej Duda i na
90% wygra Małgorzata
Kidawa-Błońska.
„Rzeczpospolita”*

SĘDZIA KRYSZTOF

**MARKIEWICZ, prezes
Stowarzyszenia Sędziów
Polskich „Iustitia”
Neo-KRS pozostaje ślepa
i głucha na ataki
na sędziów.
„Dziennik Gazeta Prawna”**

DAVID LE BRETON,

*antropolog francuski
Kto sobie robi tatuaż,
ten chce być oryginalny.
Ale liczba symboli jest
ograniczona, więc miliony
ludzi noszą na sobie
to samo.
„Forum”*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Solidarnie z Michnikiem

Paść ofiarą ataku jakiegoś dewianta zdarza się nie tylko osobom publicznym. Ma-
my w Polsce coraz więcej takich zachowań. Ale jeśli na Adama Michnika napada
w pociągu polityk PiS, to duży problem mają przede wszystkim ci, którzy wprowadzili
Dominika Tarczyńskiego do Sejmu, a później do Parlamentu Europejskiego. Myślę tu
o prezesie Kaczyńskim. Zna on przecież liczne chamskie wybryki i ryszotkowe ataki
Tarczyńskiego na ludzi z obozu krytykującego politykę PiS. Kaczyński to widzi, ale nie
reaguje. Mimo że Tarczyński w bliskim otoczeniu prezesa hańbi także jego. Chyba
że napaści Tarczyńskiego na Wałęsę i Michnika są dla prezesa warte zatkania nosa
i zamknięcia oczu. Korzystający z tego swoistego immunitetu hucpiarz zaczynał od
oszukiwania pielgrzymów jeżdżących do Włoch i Izraela, naciągania ludzi na wizyty
u egzorcystów i sprowadzenia do Polski cwaniaka z Ugandy, który miał za pieniądze
wskrzeszać umarłych.

Do Lecha Wałęsy działacz PiS pisał: „Zapraszam cię na solo, bydlaku”. A prezy-
denta Dudzie, gdy ten jeszcze był europosem, przyprowadził Syryjkę, która natarła
mu skronie świętym łojem. Od tego natarcia małżeństwo Dudów często widzimy na
zdjęciach z tym notorycznym kłamcą, który mówi o sobie: „Jestem polską elitą”. I tak
inteligencję żoliborską zastępują tacy samozwańcy.

Andrzej Duda nie zareagował na to chamskie zachowanie wobec Adama Michnika.
Jego milczenia nawet nie warto komentować. Po prostu wstyd. Po pięciu latach na
funkcji prezydenta Duda nieraz poka-
zał, że bliżej mu do takich jak Tarczyń-
ski. A daleko do tych wartości, o które
walczył i za które siedział w więzieniu
Adam Michnik.

PiS pisze nową, całkowicie fałszywą i kompletnie aberracyjną, historię
naszego kraju. Z Tarczyńskim na po-
kładzie to nie może się udać. Ale stra-
ty są już bardzo duże.

BAKOWSKI



PROGRAM „PAMIĘĆ”



Odchodzą, często w zapomnieniu,
ludzie wybitni. Twórcy i świadkowie
historii. Politycy, naukowcy, literaci,
społecznicy, artyści.

**CZYTELNICY APELUJĄ:
PÓKI CZAS NAGRYWAJcie
ROZMOWY Z NIMI.**

**Filmujcie i zapisujcie.
Rejestrujcie je ku pamięci.**

Zrobimy to!

**Ale sami nie damy rady.
Potrzebujemy Waszej pomocy.**

Musimy kupić sprzęt
do filmowania i nagrywania.

Apelujemy o wsparcie i wpłaty na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7,
z dopiskiem „Pamięć”.

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Kapitalizm w czarnej dziurze**
– rozmowa z prof. Tadeuszem Klementewiczem
- 14 Rodzice swoich rodziców**
Jak opiekować się seniorami
- 18 Dlaczego młodzi nie chcą żyć?**
– rozmowa z Tomaszem Bilickim
- 36 Przemilczane zbrodnie i gwałty**
Konferencja nt. „żołnierzy wyklętych”
- 54 Boży człowiek**
Kaspirowski uwiódł polskich księży

HISTORIA

- 22 Biuro Odbudowy Stolicy**
Największe biuro architektoniczne świata

SYLWETKI

- 26 Andrzej Werblan i Józef Tejcma**
O Stanisławie Kani

ZAGRANICA

- 28 To koniec rządów Smeru**
Korespondencja z Bratysławy
- 30 Bernie i Biden, czyli walka o duszę demokratów**
Prawybyry w USA
- 34 Ubóstwo gorsze niż pusty portfel**
Wykluczenie z powodu miesiażki
- 52 Z banku do gospodarstwa**
Młodzi Włosi przenoszą się na wieś

ZDROWIE

- 33 Kubański lek w walce z koronawirusem w Chinach**

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

- 37 Spowolnienie gospodarcze**
– czy będziemy mądrzy przed szkodą?

KULTURA

- 38 Ograniczenie czyni mistrza**
– rozmowa z Juliuszem Machulskim
- 42 Epidemia na ekranie**
10 zawirusowanych filmów
- 46 Culturalia**
- 66 Zofia Pałucha. Delikatna penetracja**

NAUKA

- 48 Lukier na ciemnej materii**
– rozmowa z dr hab. Agnieszką Pollo

OBSERWACJE

- 58 Kombinatorzy**
Specjaliści od naciągania

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Solidarnie z Michnikiem
- 13 Bronisław Łagowski**
Flaki szlacheckie
- 21 Roman Kurkiewicz**
Grecja palkarzem Twierdzy Europa
- 45 Tomasz Jastrun**
Reakcja tańcuchowa
- 51 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Pokaż mapę, Anno

38 WYWIAD



OGRANICZENIE CZYNI MISTRZA

– rozmowa z Juliuszem Machulskim



42 KULTURA

EPIDEMIA NA EKRANIE

10 zawirusowanych filmów



52 ZAGRANICA

Z BANKU DO GOSPODARSTWA

Młodzi Włosi przenoszą się na wieś

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK



Wojewoda Radziwiłł
kontra
ładniejsza Warszawa

Mirosław Tryczyk
Dziadkowie zabijali żydowskich sąsiadów,
wnuki odkrywają grzechy przodków

44 tys. cudzoziemców
w polskich szkołach



✉ Kończmy z reprivatyzacją

W nr. 10. PRZEGŁĄDU bardzo dobry artykuł Roberta Walenciaka „Kończmy z reprivatyzacją”. Dwie uwagi na jego marginesie. Chodzi nie o reprivatyzację, ale o zwrot majątków. To niezupełnie to samo. Na temat zwrotu majątków pisałem w PRZEGŁĄDZIE co najmniej dwukrotnie. Szkoda, że red. Walenciak tego nie przypomniał. A przecież znał moje teksty, o czym świadczy wykorzystanie fragmentu mojego tekstu o weteranach powstania 1863 r., łącznie z opisem ich mundurów, krzyża niepodległości z mieczami itd.

Jan Widacki

Panie Profesorze, *mea culpa*! Założeniem tekstu było przypomnienie, że o sprawach reprivatyzacji PRZEGŁĄD pisze od lat, i to jak! Więc nasz apel o zakończenie reprivatyzacji jest logicznym zwieńczeniem wielu wcześniejszych materiałów. Powołuję się na nie, przypominam autorów i prezentowane tezy. Niestety się złożyło, że w ferworze ostatnich cięć wypadł akapit z Pańskim nazwiskiem. Jest to tym bardziej przykre, że w debacie o zwrocie majątków to Pan przypominał, jak postępowała w podobnych sytuacjach II RP. To był bardzo istotny argument. Przepraszam jeszcze raz.

Robert Walenciak

Jestem zachwycony ostatnim numerem PRZEGŁĄDU, artykułem o reprivatyzacji, a także felietonem redaktora naczelnego. Mam wrażenie, że nasz sprzeciw wobec reprivatyzacji trafi wreszcie na podatny grunt.

Jacek Raciborski

✉ Polska Ludowa: realiści, pozytywiści i rewolucjoniści

Dr Paweł Sękowski i red. Robert Walenciak w rozmowie w nr. 8. PRZEGŁĄDU wnikliwie przedstawiają zdarzenia z czasów Polski Ludowej, nie upraszczając problemów i trafnie polemizując z oceną tego okresu przez prawicę. Jestem wdzięczna za przypomnienie niedocenianego dziś premiera Józefa Cyrankiewicza. Dr Paweł Sękowski trafnie pokazał, jak złożony był problem „żołnierzy wyklętych” i jakie mogły być skutki ich ewentualnego, choć nierealnego, zwycięstwa. Wiadomo jednak, że prawica nie przyjmie jego mądrej argumentacji. Nadal będzie się uczyć młódzież o „żołnierzach wyklętych”, którzy chcieli wywalczyć dla Polski niepodległość.

Eleonora Syzdek, Warszawa



ZDJĘCIE TYGODNIA

Pociągi pod specjalnym nadzorem. Prezydent Andrzej Duda na peronie zamkniętego od lat dworca w Końskich podpisuje znowelizowaną ustawę o transporcie kolejowym. Para – buch, koła – w ruch.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jaka powinna być telewizja prawdziwie publiczna?

RYSZARD BAŃKOWICZ,
przewodniczący Rady Etyki Mediów

Dziennikarze mediów publicznych, a więc i Telewizji Polskiej, powinni starać się w swojej pracy spełniać kryteria etyczne zawodu, to znaczy przestrzegać zasad zapisanych w Karcie Etycznej Mediów. We własnym interesie, ponieważ dochowywanie tych wartości przez dziennikarzy buduje wiarygodność zatrudniających ich nadawców, a ich naruszanie jej pozbawia.

RAFAŁ GÓRSKI,
Instytut Spraw Obywatelskich

Przede wszystkim powinna dbać o interes publiczny, a nie o interes partyjny. Troszczyć się o dobro wspólne, a nie dobro tej czy innej grupy interesu. Instytut Spraw Obywatelskich od 15 lat prowadzi kampanie obywatelskie, m.in. „Tiry na tory”, „Wolne od GMO? Chcę wiedzieć!”, „Obywatele decydują”. W ramach tych działań systematycznie przygotowujemy spoty telewizyjne, które niestety od lat są cenzurowane przez TVP – niezależnie od tego, która partia aktualnie rządzi w państwie.

Tymczasem telewizja prawdziwie publiczna powinna być otwarta na działania organizacji społecznych. Powinna dopuszczać do debaty publicznej oddolne głosy obywateli. Marzy mi się też masowa organizacja społeczna broniąca praw widzów na wzór krajów skandynawskich czy Wielkiej Brytanii. Tamtejsi nadawcy są bliżej ideału prawdziwej telewizji publicznej, bo respektują głos zorganizowanych widzów.

ANDRZEJ MAŚLANKIEWICZ,
sekretarz generalny SDRP

Telewizja publiczna nie może być rządowa, partyjna ani narodowa, powinna być publiczna w całym tego słowa znaczeniu. Musi więc być rzetelna i bezstronna, a zatrudnieni w niej dziennikarze nie mogą być propagandystami. Media publiczne nie mogą reprezentować stanowiska tylko jednej strony sporów politycznych. Ważna jest również kwestia finansowania, bo ono uzależnia. W wielu krajach telewizja publiczna otrzymuje ściśle określone dotacje z budżetu państwa. Mowa o stałych, gwarantowanych środkach, a nie

o przekazywaniu pieniędzy według bieżącego zapotrzebowania partii rządzącej, tak jak w niedawnym przypadku 2 mld zł, które są potrzebne na propagandę w czasie kampanii prezydenckiej. Telewizja publiczna powinna ponadto realizować wyznaczoną jej misję. Być po prostu prawdziwa.

Czytelnicy PRZEGŁADU
ANDRZEJ B. IZDEBSKI

Technicznie to proste. Powinna mieć niepolityczną radę nadzorczą (czy programową) złożoną z profesjonalistów delegowanych przez partie parlamentarne i wybranych przez Sejm kwalifikowaną większością – wyrażoną procentem (np. 60%, 70%) lub ułamkiem (np. 2/3, 3/5) głosów. Praktycznie jest to niemożliwe, gdyż niewielu polityków jest zainteresowanych takim rozwiązaniem.

BOGUMIŁ WOŹNIAKOWSKI

Teoretycznie powinna być apolityczna, przedstawiająca fakty z obiektywnymi komentarzami. Ale takiej nigdzie nie ma, nawet BBC taka nie jest.

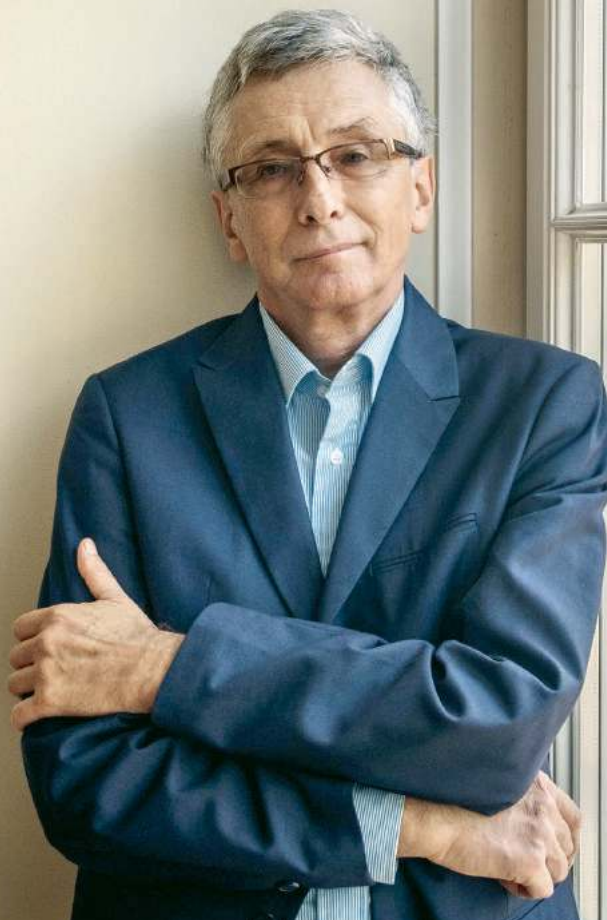
Not. Michał Sobczyk

Kapitalizm w czarnej dziurze

ŚWIAT JAKO OBÓZ PRACY

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ

– profesor nauk społecznych w Zakładzie Teorii Polityki i Myśli Politycznej Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW, członek kolegium redakcyjnego „Colloquia Communia”. Autor m.in.: „Stawka większa niż rynek. U źródeł stagnacji kapitalizmu bez granic”, „Kapitalizm na rozdrożu. Obłęd zysku czy odpowiedzialny rozwój”.



Rozmawia Robert Walenciak

Polska na mapie świata...

– ...to półperyferie, przynajmniej w europejskim systemie gospodarczym.

I te półperyferie chcą się wybić.

– Historycznie patrząc, mieliśmy kolejne modernizacje, które miały nas zbliżyć do tzw. nowoczesności, w sensie i kulturowym, i gospodarczym, ale gdzieś się zatrzymywały w pół drogi. Pierwsza fala to Królestwo Polskie, reformy Druckiego-Lubeckiego, Staszica, założenie Zagłębia Staropolskiego, banku narodowego, systemu kredytowego itd. Potem były fala industrializacji

wokół Łodzi, rozwój włókiennictwa dzięki niemieckim przedsiębiorcom, ale też uprzemysłowienie Zagłębia Dąbrowskiego, którego jądrem był dzisiejszy Sosnowiec. Inwestowano tam głównie kapitał francuski. Najważniejszym ośrodkiem przemysłu metalowego stała się Warszawa.

Jak się wybić z mierności?

Potem przyszła niepodległość.

– II Rzeczpospolita, z punktu widzenia rozwoju gospodarczego i struktury społecznej, to właściwie degrengolada. 700 rodów ziemiańskich rządzi, nie ma reformy rolnej, wskutek tego wieś jest przeludniona; małe działki, chłop kupuje na rynku naftę,

zapałki, gwoździe i na tym koniec. Największe zakłady przemysłowe, zatrudniające ponad 100 pracowników, są zagraniczne. Kobiety jako służące w bogatych domach. Mamy analfabetyzm, przynajmniej do początków lat 30. Finisz pod koniec lat 30., wymuszony koniecznością zbrojeń, niewiele sytuacji polepszył.

A Polska Ludowa?

– Myślę, że dużo racji ma Andrzej Leder, pisząc, że Polacy prześnili swoją rewolucję mieszczańską, która polegała na tym, że uboga ludność, w zasadzie chłopska, objęła zakłady rzemieślnicze, przeniosła się najpierw do miasteczek, nastąpiła industrializacja, przeniesienie ludzi z rolnictwa do innych gałęzi gospo-

darki. Zaczęliśmy budować podstawy awansu cywilizacyjnego: huty, kopalnie, przetwórstwo przemysłowe, infrastrukturę transportową i energetyczną. Tyle że to było trochę anachroniczne. Inne gospodarki już się nastawiały na rynek światowy, na artykuły masowej konsumpcji, które zaspokajałyby potrzeby gospodarstwa domowego i rozrywki.

W Polsce Ludowej to było niemożliwe?

– A jaki był punkt wyjścia? Kraj zacołany, na dodatek zniszczony, z przetrzebioną inteligencją. Wpierw trzeba było zbudować uniwersytety, wykształcić inżynierów, kadrę zarządzającą, osłabić wzorcową rolę przedwojennej elity, bo z nią głęboka modernizacja byłaby niemożliwa. Warszawa przed wojną to był Paryż Północy, ale tylko w ścisłym centrum. Reszta to dzielnice czynszówek bez kanalizacji, bez toalet. W jednej izbie potrafiły mieszkać dwie, trzy rodziny. A urozmaicheniem diety był śledź kupiony za parę groszy w żydowskim sklepie. Rolą dzisiejszej lewicy powinno być przypomnienie, że awans społeczny w okresie PRL dotyczył milionów. Powinna ona walczyć z obrazem rozpowszechnianym przez jej wrogów, że Polska Ludowa to tylko stalinowskie represje i satelityzm.

Tak doszliśmy do III RP.

– Transformacja neoliberalna polegała w zasadzie na udostępnieniu wewnętrznego rynku w zamian za umorzenie kredytów zaciągniętych w epoce Gierka. Dziś widać, jakie efekty przyniosła prywatyzacja –

– Kapitalizm samoczynnie tworzy centrum i peryferie. Centrum przejmie nadwyżki, ma lepiej zorganizowane państwo, jego elity tworzą ideologiczny obraz świata, czyli doktryny, które przewagę centrum uzasadniają. W centrum kwitnie nauka, są pieniądze, cuda architektury, imponujące muzea. Natomiast peryferie dostarczają surowców, siły roboczej, tam lokowana jest produkcja wymagająca pracowników o niskich kwalifikacjach, energochłonna, zanieczyszczająca środowisko.

II Rzeczpospolita, z punktu widzenia rozwoju gospodarczego i struktury społecznej, to właściwie degrengolada.

Kapitalizm ma strukturę wielopiętrową?

– Na samej górze znajdują się jego tytani. Na początku to byli wielcy negocjanci: Jakob Fugger, John Law, Jacques Necker. Teraz – władcy aplikacji, np. Jeff Bezos, twórca Amazona. Jego majątek oceniany jest na 130 mld dol. A co on wytwarza? On jedynie umożliwia obieg towarów. Ci na górze nie mają żadnych fabryk, tylko jakiś nowy produkt, nową usługę. Uruchamiają taśmę produkcyjną opłatającą glob, oferując marżę operacyjną na poziomie 2-3%. A oni sami jako ogniwo końcowe, np. Microsoft, przejmują 30-40%. Nie zdajemy sobie sprawy, że do nich, a nie do uniwersytetów czy państw, należy decyzja, co można robić z naszym DNA, jaki będzie zakres naszej prywatności, kiedy wdrożyć robotykę, cuda bioinżynierii. Do nich należą podstawowe

noszą innowacyjne produkty, a te wdrażają globalne koncerny, takie jak Toyota. Teraz buduje ona w Polsce za ponad 1 mld zł fabrykę, w której będą montowane sprzęgła do nowego modelu Yaris. Czyli powstanie 200-300 stanowisk pracy, na dodatek prawdopodobnie inwestycja jest zwolniona na lata z podatków. Nasza korzyść – ograniczamy bezrobocie. Ale – co najważniejsze dla tego obiegu kapitału – transferowany jest zysk. Ludzie w Polsce nie wiedzą, że ten transfer wynosi ok. 3% naszego

PKB. Wracając do macierzy, powieksza on szanse nowych rentownych zastosowań. Tymczasem inwestycje polskich „przedsiębiorców” mają charakter finansowy, spekulacyjny, choć to tylko 0,35% światowych przepływów kapitału. A jak wygląda lista głównych krajów, do których ten kapitał finansowy płynie, by tworzyć „miejsca pracy” tak hołubione przez narodową telewizję? Na czele są Malta, Luksemburg, Szwajcaria. A na czwartym miejscu – Nowa Kaledonia.

Czwarte miejsce?

– To jest tzw. kapitał w tranzycie.

Elity na obcej służbie

Da się to jakoś ucywilizować?

– To przekracza możliwości jednego państwa. Wymaga współdziałania, przynajmniej w skali Europy, by zlikwidować raje podatkowe i wprowadzić globalne podatki od zysków korporacji. A my wstawiamy z kolan w naszym skansenie, zamiast współtworzyć lepsze warunki pracy i życia dla wszystkich Europejczyków. Unia powinna zmienić oblicze, do wolnego obiegu towarów, kapitału i siły roboczej dołożyć tzw. notę socjalną. Czyli nie tylko wspólna waluta, ale również wspólny system fiskalny.

Takie półperyferium jak Polska nie ma zatem szans się przebić do kapitalistycznej czołówki? Korei Południowej się udało.

– Nie wiem, czy pan zna azjatyckie realia, jaki w Korei był reżim polityczny, jaki poziom życia, system zarządzania firmami i całą gospodarką. Poza tym to jest inne społec-

Dwie trzecie polskiego eksportu powstaje w zagranicznych filiach, a tylko 6% zatrudnionych pracuje w przemysłach wysokiej techniki.

zlikwidowano zakłady, które zajmowały się samodzielnym wytwarzaniem finalnych produktów, i zastąpiono je montowniami. Jesteśmy mistrzami dokręcania śrubek! Dwie trzecie polskiego eksportu powstaje w zagranicznych filiach, a tylko 6% zatrudnionych pracuje w przemysłach wysokiej techniki. Tak wygląda bolesna prawda o polskim kapitalizmie.

Szpital na peryferiach

Dlaczego Polska tkwi na peryferiach światowego kapitalizmu?

decyzje dotyczące przyszłości cywilizacji. Wykupują wynalazki, innowacje, w zasadzie kontrolują wdrażanie postępu technicznego. A na samym dole jest ten drobiazg, uwielbiany przez rządzących i PO, czyli ci tzw. small biznesmeni, Janusze biznesu.

W Polsce jest ich ponad 2 mln.

– Ich firmy nie są innowacyjne, mają małe zyski, vegetują na obrzeżach szarej strefy. Są poddostawcami różnych komponentów dla wielkich koncernów. Ten plankton musi się zadowolić okrucami z pańskiego stołu. Dużą wartość dodaną przy-

► czeństwo, o konfucjańskiej kulturze o prospołecznym nastawieniu. Bardzo wykształcone i oddane pracy. Tamtejsze elity: w Korei Południowej, w Japonii, w Chinach, też są inne. To były elity produktywne, a nie pasywnożytnicze. Jasno widziały, co państwo powinno zrobić, jak rozwijać poszczególne gałęzie gospodarki, jak chronić te powstające, jak stosować protekcjonizm. A nasze elity są kompradorskie – służą obcym.

Jak to się stało?

– Amerykański badacz ruchów społecznych Lawrence Goodwyn twierdzi, że sukces ruchu protestu polskiej klasy wielkoprzemysłowej polegał na tym, że zostały wyciągnięte wnioski z wcześniejszych porażek rewolt 1956, 1970 i 1976 r. Stworzono po raz pierwszy sieć komitetów obejmujących kraj, sam strajk też był ogólnopolski. I dopiero wtedy dołączyli warszawscy intelektualiści, przedstawiciele inteligencji. Teraz to oni spijają śmietankę – i jako bohaterzy, którzy pokonali komunę, i jako właściciele spółek wydawniczych, i jako „głosy wolne wolność ubezpieczające”. „Trybuni narodu” jak Piłat skazali klasę wielkoprzemysłową na terapię szokową, dostali się na szczyt na grzbiecie fali ich protestu. I teraz to oni są kreatorami dobrego smaku, recenzują lewicowe programy, oceniają politykę gospodarczą, prospołeczne reformy. Ale w gruncie rzeczy są wyrazicielami tych,

sze na wykup tych wszystkich patentów i praw własności. 70% prac badawczo-rozwojowych finansują wielkie korporacje. Czyli trzeba mieć w przedsiębiorstwach działy badawczo-rozwojowe. A u nas zatrudnienie w sektorze innowacyjnym spadło o 100 tys. ludzi. Nie mamy globalnych korporacji, które by inwestowały w sektory wysokiej technologii, np. elektronikę czy przemysł precyzyjny. Technika w polskiej gospodarce jest kreowana gdzie indziej. Czyli w sumie nie mamy innowacyjnej gospodarki i przypada nam rola albo

Nie mamy innowacyjnej gospodarki i przypada nam rola albo poddostawców, albo montażyстів.

poddostawców, albo montażyстів. Plus logistyka, bo trzeba rozprościć towar w kraju i w regionie. Z tego powodu deforma nauki i szkolnictwa wyższego ministra Gowina niczego nie zmieni. Jeszcze bardziej kolonizuje polską naukę.

Opisuje pan stan istniejący. Ale spróbujmy wyrwać się z niego.

W przyszłość!

– Nasza strategia narodowa powinna polegać na podniesieniu pozycji w łańcuchu produkcji i wartości Niemieckiego Cesarstwa Przemysłowego. Zacząłbym od tworzenia, we współdziałaniu z niemieckimi firmami, komplementarnych wydziałów na politechnikach, żeby chociaż

naukowa, baza inżynierska, świetnie wykształcone kadry, także pracowników montażytowych, operatorów maszyn itd. Niemcy stworzyły rozległy obszarowo system współpracy, należą do niego również gospodarki Austrii, Holandii, częściowo Belgii, w Europie Środkowej – Słowacji, Czech i Węgier. No i Polski. Tylko nie możemy być ciągle montażyстами, specjalistami od dokręcania śrubek! Wyroby polskiej gospodarki powinny lokować się w coraz wyższych ogniwach wartości dodanej, powinniśmy samodzielnie wytwarzać przynajmniej

ważne komponenty finalnych wyrobów. To zaś wymaga reindustrializacji polskiej gospodarki, o czym na łamach PRZEGLĄDU wielokrotnie pisał Andrzej Karpiński.

Premier Morawiecki o tym mówił.

– Nazywam go fircykiem w założach, bo jest najlepszym propagandystą swojego rządu. To on wymyślił hasło państwo dobrobytu, które w obecnej formie ma przecież niewiele wspólnego z dobrobytem. Bo strategia PiS polega na kierowaniu strumienia finansów do rodzin. Na zasadzie: macie 500+, a potem sami sobie radźcie, kupujcie usługi zdrowotne, edukacyjne itd. A przeciw główną ideą państwa dobrobytu było okiełznanie konfliktu między pracownikiem a właścicielem, czyli między robotnikiem a kapitalistą. W ten sposób, że ich relacje są regulowane przez umowy zbiorowe dotyczące warunków zatrudnienia, płacy; że jest progresja podatkowa i sektor usług publicznych o bardzo wysokim standardzie. W szkołach dzieci dostają obiady, podręczniki, jadą na ferie zimowe. W sumie chyba lepiej, żeby pieniądze zostały w kraju, służyły nowemu pokoleniu, niż emigrowały do Nowej Kaledonii.

Czym się żywi kapitalizm?

Gospodarka rozwija się dzięki kapitalistom.

– Trzeba odróżniać rewolucję przemysłową od kapitalizmu. Kapitalizm to najwyżej turbosprężarka dodana do nowych źródeł energii, do nowego silnika gospodarki w posta-

Deforma nauki i szkolnictwa wyższego ministra Gowina niczego nie zmieni. Jeszcze bardziej kolonizuje polską naukę.

którzy skorzystali na transformacji w ten sposób, że mając odpowiednie wykształcenie i kontakty, obsługiwali nowe, powstające zagraniczne biznesy. W bankach, w kancelariach prawnych, w polskich filiach zagranicznych koncernów, kierowali też nowymi spółkami skarbu państwa. Służą obcym. Stan półperyferyjności pozwala im prosperować.

Big is beautiful

A dlaczego w Polsce nie są rozwijane badania naukowe, przemysł? Co się dzieje?

– Bo *big is beautiful*. Żeby wdrożyć nowy produkt, trzeba działać w skali całego globu, mieć fundu-

jeden z instytutów Maxa Plancka był w Polsce. Sukces gospodarki Niemiec polega na tym, że oni już w XIX w. stworzyli system wiążący uczelnię z przemysłem. Mają 82 instytuty Plancka oraz centra technologiczne Fraunhofer-Gesellschaft, które w połowie są finansowane przez państwo, w połowie przez przemysł. Niemiecki potencjał wytwórczy jest więc związany z nauką, z innowacyjnymi technologiami, to dziś jedyne w świecie centrum konkurencyjne wobec Chin w dziedzinie nowoczesnych gałęzi przemysłu. Nasza cywilizacja wciąż jest przemysłowa. Operuje nadal gigatonami materii złożonej z atomów, a nie bitów. Uber sam nie buduje samochodów. Niemcy to jest baza



ci maszyn. Jeden z laureatów tzw. ekonomicznego nobla, Herbert Simon, ocenił, że tylko w 10% wartość produktu jest efektem przedsiębiorczości. Reszta to zasługa otoczenia społecznego: korzystnej polityki gospodarczej, sprawnego państwa, wykształconych na dobrych uczelniach kadr, pomysłów przejętych z sektora publicznego, infrastruktury. Zresztą sam Warren Buffett powiedział: „Jakie by było moje życie, gdybym urodził się w Peru czy Bangladeszu? Jaką bym tam zrobił karierę?”.

Warren Buffett powiedział: „Jakie by było moje życie, gdybym urodził się w Peru czy Bangladeszu? Jaką bym tam zrobił karierę?”.

Amerika daje taką gwarancję?

– Amerykanie wierzą, że każdy ma otwartą drogę do kariery, od pacybuta do milionera, czy raczej od pracownika McDonalda do właściciela Amazona. Okazuje się, że to mit! Dwie trzecie osób w Stanach poniżej 40. roku życia nie ma żadnych oszczędności. Połowa zatrudnionych nie ma wystarczających dochodów, żeby opłacać składki emerytalne. Jeśli chodzi o 20%, które przejmują najmniejszą część dochodu narodowego, to tylko 6% z nich dostaje się do grup lepiej sytuowanych. Owszem, są dziedziny, w których Stany mogą zaimponować wszystkim na

świecie, ale są i takie, którymi nie powinny się chwalić. 14% Amerykanów (ok. 40 mln) potrzebuje bonów żywieniowych, ludzie mieszkają w nieogrzewanych przyczepach kempingowych. Czy to jest model dla świata?

A jaki powinien być?

– Kapitalizm jest w okresie interregnum, poszukiwania nowej funkcjonalnej formy przetrwania. Napędem tej gospodarki są inwestycje. Ale żeby odzyskać to, co się wytworzy dzięki inwestycjom, trzeba to sprzedać. Stąd konsumeryzm. No

i cały problem kapitalizmu polega na tym, że wskutek rozbudowy mocy produkcyjnych i zwiększania się populacji musimy mieć cztery-pięć planet, żeby ten system działał. Mamy jedną. To wymusi zmniejszenie wzrostu gospodarczego. Nie będzie oscylował wokół 3%, tak jak to było w złotych latach *welfare state*. Szacunki wskazują ok. 1% PKB. Limity przyrodnicze pozwolą co najwyżej na „dobrobyt bez wzrostu”. A jak się okaże, że robimy coraz bardziej księżycową gospodarkę, to wszyscy zwolennicy koncepcji życia jako użycia oprzytomnieją. Bez ograniczeń będzie można konsumować dobra

duchowe i kumulować bogactwo więzi międzyludzkich. Zresztą sama Unia zaczyna korygować konsumpcjonizm, choćby wprowadzając przepisy, że klient musi mieć możliwość naprawy zepsutego urządzenia. Świat zaczyna też mówić o ludziach zbędnych, a jest ich ok. 1 mld. Niedawno Mark Zuckerberg powiedział, że rozwiązaniem jest tworzenie warunków do życia tam na miejscu. Ale to by oznaczało, że np. Europa musi zrezygnować z subsydiowania żywności. Unia dopłaca ok. 40% jej wartości. Jeżeli od tego by odeszła, żywność byłaby droższa, więc biedne kraje z Południa mogłyby z nami konkurować.

Kontrreformacja kontra oświecenie

Jakie są hamulce rozwoju Polski?

– Na pewno jesteśmy jednym z nielicznych krajów, które nie przeszły rewolucji intelektualnej oświecenia. To w oświeceniu powstały idee samodzielności intelektualnej człowieka, państwa narodowe przejęły majątek Kościoła i właściwie sprowadziły go do roli przewodnika duchowego, gdyż zorganizowały inaczej publiczną oświatę i służbę zdrowia. Z tego punktu widzenia w Polsce nadal jesteśmy świadkami spóźnionej o dwa stulecia wojny kulturowej między tradycjonalizmem a nowoczesnością. ►

► **Między kontrreformacją a oświeceniem.**

– I co słyszymy w telewizji? Że na Polskę napierają kulturowy marksizm, lewactwo, cywilizacja śmierci, LGBT! A na czym ich atak polega? Neomarksizm to synonim wszystkiego, co przynoszone jest przez postęp nauki, medycyny, to są prawa człowieka, prawa kobiet, prawa różnych mniejszości, czyli dalszy ciąg upodmiotawiania jednostki. Powrócił klimat polowań na czarownice i walki z diabelskimi mocami, z „zarazami”, z którymi zawierają pakt zwolennicy edukacji seksualnej, świeckiego państwa, autonomii moralnej jednostki. W tamtej epoce oni wszyscy by spłonęli na stosach. To jest jakieś żywe przeniesienie kontrreformacyjnego Kościoła, który był przeciw temu, co przynosi postęp; nie chciał odczarowania świata przez naukę. Słusznie się wskazuje, że to jest Kościół narodowy, który niewiele ma wspólnego z chrześcijaństwem, głównie umacnia wampiryczny polski patriotyzm. Zawsze przy tej okazji cytuję Tuwima: „Już katolicy, ale jeszcze nie chrześcijanie”. Przecież przesłanie Jezusa jest uniwersalne, pacyfistyczne, to pogarda dla gromadzenia bogactwa jako celu życia, postulat wzajemnej pomocy, umie-

jętności wybaczenia i szacunku dla innych. Ale nasz Kościół nie naucza Ewangelii. Jest walczący, a w walce można paść.

Prawica też jest walcząca.

– Pisz się czarną księgą komunizmu itd. Ale co to ma wspólnego z Marksem? Z socjaldemokracją? Równie dobrze można pisać czarną księgą kapitalizmu, czarną księgą kolonializmu, czarną księgą Kościoła (co zresztą zrobił Karlheinz Deschner w wielotomowej „Kryminalnej historii chrześcijaństwa”), czarną księgą narodowego populizmu, ra-

70% prac badawczo-rozwojowych finansują wielkie korporacje. A u nas zatrudnienie w sektorze innowacyjnym spadło o 100 tys. ludzi.

sizmu i ksenofobii... I tu nie ma co się licytować, kto więcej cudzej krwi i potu przelał. Żenująca jest próba wygrania II wojny światowej przez polskie elity 75 lat po jej zakończeniu. I to w walce z państwem, którego armie rozgromiły cztery piąte sił Wehrmachtu!

Ale te zarzuty pod adresem poprzedniego systemu są powtarzane.

– Tak, żeby demonizować potencjalny ustrój, w którym jest progresja podatkowa, bezpieczeństwo socjalne, w którym nie ma wyścigu szczurów, istnieje więc pokoleń dzięki

systemowi repartycyjnemu. Spójrzmy, jak funkcjonuje np. społeczeństwo szwedzkie. Z jednej strony, jest ciepłą wspólnotą, a z drugiej – ma konkurencyjną gospodarkę. Szwedzi łączą indywidualistyczny luteranizm z solidarnością chłopską. Im również zależy na indywidualnym sukcesie, pozycji zawodowej, ale potrafią łączyć te dążenia z potrzebami całej wspólnoty. I trzeba pokazywać, że lepiej się wszystkim żyje, gdy dziecko jest odkarmione, ma warunki do edukacji, startu zawodowego, potrafi współpracować w grupie.

Wtedy z kolei neoliberalowie pytają, skąd na to wziąć pieniądze.

– Dlatego trzeba uświadomić każdemu, że silne państwo musi mieć pieniądze na wspólnym koncie. A dlaczego nasze jest słabe? Bo jest wysuszone podatkowo. W 2017 r. 10% najlepiej zarabiających przejęło 40% dochodu narodowego, w Czechach 29%, a w Szwecji 27,7%. Średnia unijna oscyluje wokół 34%. Tu są duże rezerwy. Jak to możliwe, że taki menedżer, który zarabia 50-70 tys. zł miesięcznie, albo i więcej, rozlicza się według stawki 19-procentowej? Bo jest samozatrudniony. Tego nie powinno się tolerować, bo to tylko rodzi poczucie niesprawiedliwości, głównie wśród wyzyskiwanych pracowników budżetówki. Oni za pieniądze, których nie zabierze fiskus, kupią sobie jeszcze jeden kupon totolotka, a krezus stworzy dodatkowe miejsce pracy dla księgowego w Luksemburgu. Trzeba więc rozbroić tę opiekę nad umysłami Polek i Polaków, którą sprawują Kościół i prawica narodowa, a z drugiej strony – neoliberalowie. Polemizując z nimi, trzeba pokazywać, jak wygląda model biznesowy władców aplikacji z Doliny Krzemowej, kto tworzy i jakim kosztem ich majątek, a także odstąpić nadużycia finansowe i obyczajowe Kościoła oraz jego niewydolność intelektualną. I co najmniej dwuznaczną rolę rodzimej elity kompradorskiej: plastikowych polityków, klasy menedżerskiej, ekonomistów bankowych, trenerów motywacji i specjalistów od coachingu.

Członkowie, sympatycy i przyjaciele Unii Pracy
z wielkim smutkiem przyjęli wiadomość o śmierci

ŚP.

dr Janiny Stolec

Odeszła osoba prawa, ideowa, wrażliwa społecznie,
zawsze gotowa do niesienia pomocy innym.

Będzie nam Ciebie brakowało, Janeczko.

Pozostaniesz w naszej pamięci jako osoba pogodna, wyrozumiała,
mądra życiowo, na którą zawsze mogliśmy liczyć.

Cześć Twojej Pamięci!

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
rodzinie i przyjaciółom
składają

Sekretarz Generalny
Unii Pracy
Grzegorz Andrzej Niski

Przewodniczący
Unii Pracy
Waldemar Witkowski

Robert Walenciak

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

Flaki szlacheckie

Studenci to narodek bardzo podatny na snobizmy, często całkiem niespodziewane. Chwytnie i przyswajanie sobie wzorów amerykańskich, zwłaszcza afroamerykańskich, nie ma w sobie nic dziwnego, należy do prawie obowiązującej formy uspołecznienia. Piszę „prawie”, bo ta forma pozostawia spory margines na wolny wybór. Poza tym amerykańizm jako obyczaj i kultura nie rozchodzi się drogą snobizmu, lecz na inne sposoby i wskutek innych podnieci, silniejszych od snobizmu.

Koledzy z uniwersytetu mówią mi, że wśród swoich studentów zauważyli snobizm, w którym można dopatrzyć się antyamerykanizmu, chociaż pojawił się nie z takiego impulsu. Nie można powiedzieć, że się krzewi, ale daje o sobie mocno znać w środowiskach i kółkach towarzyskich mocno prawicowych, gdzie poszukuje się wzorów – że tak powiem – uszlachetnionych, ale nie oderwanych od życia. Mówi mi kolega, że studenci, z którymi wiązał nadzieję, którzy wyróżniali się oryginalnym myśleniem i zwracającym uwagę sposobem bycia, przynoszą do swoich promotorów propozycje pisania prac magisterskich czy doktorskich na temat dworskiej, szlacheckiej kultury, dworskiego stylu życia rozumianego dość szeroko, branego nostalgicznie i z niejakim nabożeństwem. Niewątpliwie mamy tu przejaw jakiejś tradycji i niewątpliwie ma ona widoczny związek ze szlachecczością, ale pojmowaną zupełnie inaczej niż w moich czasach studenckich. Miałem kolegę, który nazywał się Wdziękoński z Wdziękonia herbu Koński Łeb i niewątpliwie wywodził się z kultury dworskiej, a może jeszcze w niej tkwił, ale z pewnością nie miał takiego snobizmu, raczej, uprzedzając kpiny kolegów, sam ze swego herbu pokpiwał. Nie był zresztą wyjątkiem.

Czesław Miłosz pisał, że przed wojną i po wojnie jego koledzy i on sam wstydzieli się swego szlacheckiego, dworskiego, bo ono takie było, pochodzenia. Ale pod koniec życia stawiał sobie pytanie, czy nie postąpił źle, zdradzając swoją klasę. Tak się zmienia duch czasu.

Dużo pisano o wpływie tradycji szlacheckiej na polskie obyczaje i zachowania polityczne. Dziś uczeni tym się nie zajmują jako sprawę oczywistą, temat został połączony z tematem Kresów i przedstawiany jest głównie w postaci kolorowych obrazków.

Mówi się, że w starej Polsce szlachta stanowiła 10% albo i 20% populacji, podczas gdy francuska *noblesse* tylko 1%. Zapomina się, że szlachta polska i francuska to kategorie i zjawiska zupełnie odmienne. Większość polskiej szlachty stanowili chłopi, o tyle wolni, o ile magnat

im na to pozwalał, szlachtę brukową trzeba nazwać lumpenproletariatem – nie pracując i nie mając nic na wymianę, bywało, że wynajmowała się w sądach, jak wiemy od Kitowicza, w roli fałszywych świadków. Na drugim krańcu drabiny społecznej można się doszukać kilku rodów arystokratycznych, ale ogólnie magnateria to oligarchia, nie arystokracja. Nieco kształtu zachodniego polska oligarchia uzyskała pod zaborami.

Pamiętnikarze i dawni historycy pisali malowniczo o polskim republikanizmie, bo też był on malowniczy i totalnie skorumpowany. Może warto przytoczyć świadectwo o „szlachcie dworskiej”, nie najniższej rangi, bo tej, która brała udział w sejmikach. Kajetan Koźmian, poeta wybitny, choć zawsze niemodny, konserwatysta i wielbiciel szlachecczości, takie dał jej świadectwo w swoich znakomitych „Pamiętnikach”. „Co dzień (podczas obiadów sejmikowych) nikły ze stołu nie tylko noże, łyżki, widelce, lecz obrusy. (...) Patrzyłem na to, jak podczas obiadu wszedł nieznamomy mi szlachcic w szarej, z kapturem na plecach opończy i zaczął się

Większość polskiej szlachty stanowili chłopi, o tyle wolni, o ile magnat im na to pozwalał.

cisnąć do obsiadłego już stołu, mówiąc: »Panowie bracia, wy jecie, a ja głodny, od wczoraj nic nie jadłem. – Czemuż Waś nie pospieszyl, nie naprzykrzaj się«, lecz gdy szlachcic ciągle się pchał między obiadowych i wyrwał drugim widelce, zawsze powtarzając: »Ja nic nie jadłem«, wypchnięto go od stołu. Wtem hajduk niesie na stół ogromną i głęboką misę gorących i kurzących się flaków. Szlachcic wypchnięty porywa za nią i wołając »Ja nic nie jadłem«, łyka flaki i parzy się. Współbiesiadnicy zrywają się od stołu, jeden mu wydziera misę, drugi rozdziera kaptur z opończy, drudzy wołają: »Nasyć się Waś, kiedyś nic nie jadł« i całą misę gorącej stawy wlewają mu w kaptur; szlachcic parzony w plecy flakami wrzeszczy i skacze, zrywają się drudzy z widelcami, chcąc jeść flaki z kaptura, kolą nieboraka i kaleczą, wrzask, hałas, aż na koniec obrywają kaptur z flakami, wysypują na misę i jedzą. Podobny wypadek widziałem i na innym Sejmiku z półmiskiem pierogów: porwał go głodny szlachcic, uciekał z nim, inni gonili».

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Rodzice swoich rodziców

Na temat pielęgnacji i wychowania dzieci jest cała masa poradników, internetowych forów. Jeśli chodzi o seniorów, informacji brakuje



Anna Brzeska

– Nie można na coś takiego się skazywać. Dziwię się, że po dziewięciu miesiącach jestem jeszcze normalna – jeżeli jestem, bo może już nie. Nie miałam chwili dla siebie, a jeśli taka się zdarzyła, padałam i zasypiałam w ubraniu – mówi Barbara. – Mama zaczęła mieć problemy z pamięcią jakieś dwa-trzy lata wcześniej. Wciąż opowiadała te same historie. Podśmiewaliśmy się z tego, a gdybym wtedy wysłała ją do psychiatry, wyklęłaby mnie. Poszłam więc sama. Pani doktor przepisała lek, który bardzo pomógł mamie na stany depresyjne.

Miałam wtedy jeszcze własne życie na emeryturze – troje dorosłych dzieci, wnuczkę, partnera. Chodziłam po górach, jeździłam na basen. Do mamy przychodziłam w razie potrzeby, zanosłam jej obiady. Mieszkała sama w maleńkim mieszkaniu, parę bloków dalej. Tam mogłabym spać najwyżej na podłodze przy jej łóżku, bo inaczej to chyba w łazience. Poza tym każda z nas ma swoje nawyki – ja śpię przy otwartym oknie, mamie jest wtedy zimno. Ani jednej nocy tam nie spędziłam. Założyłam jej internet i kamerę w mieszkaniu.

W styczniu w zeszłym roku upadła i złamała szyjkę kości udowej. Już w szpitalu po wypadku było widać szybko postępującą demencję. Nie

pamiętała nawet, że miała operację. W maju doczekała się na rehabilitację w specjalnym ośrodku. Myślałam, że trochę odetchnę, chciałam się urwać chociaż na weekend. Tyle że gdy mój partner przyjechał po mnie, odebrałam telefon z ośrodka rehabilitacyjnego, że mama złapała zapalenie płuc. Do szpitala jej nie przyjeźli. Lekarz, który akurat miał dyżur, powiedział: „90 lat i zapalenie płuc? No, gdzieś musi umrzeć, ale dlaczego na moim dyżurze?”. Wzięłam więc mamę do domu. Miałymy znajomego pulmonologa i ten ją z zapalenia płuc wyciągnął.

Potem były problemy ze spuchniętymi nogami. W przychodni kardiolog na drugim piętrze, bez windy. Pani doktor natychmiast skierowała nas do szpitala. W szpitalu znowu ten okropny lekarz! Powiedziałam, że mamie nie można odstawić lorafenu, bo psychiatra ostrzegła, że grozi to padaczką, poza tym mama bez tego leku ma omamy. Przy wypisie co się okazuje? Oczywiście odstawili. Dali inny lek, zupełnie ma-

mę tym załatwili. Wyszła ze szpitala w połowie sierpnia.

Te dwa tygodnie, które spędziła w domu, to już był totalny koszmar. Miała zwidy. Do mnie mówiła „mamusiu”. Fizycznie i psychicznie nie dawałam już rady, mimo że jestem zdrowa i wysportowana. Dźwiganie przy korzystaniu z toalety, myciu i kąpielach już mnie przerastało, a z dnia na dzień było coraz gorzej.

Bywałam u niej po sześć-siedem razy dziennie. W nocy zrywałam się i patrzyłam w kamerę. Co robi? Leży pod łóżkiem! To lecę. Znajdowałam ją zmarzniętą, bo musiałam wcześniej zlikwidować wiecznie zalany dywan. Gdy któregoś dnia – to było pod koniec sierpnia – podnosiłam ją z tej podłogi, zaczęła mnie po prostu bić. Nie wytrzymałam. Wsadziłam ją do łóżka, przykryłam, zostawiłam jej jakąś kromkę chleba. Pojechałam do sklepu, stanęłam w kolejce, zdruzgotana. Spotkałam mamy sąsiada, kolegę. Poleciał mi dom opieki prowadzony przez jego znajomą.

Za dwa tygodnie mama już tam była – to od nas 35 minut jazdy samochodem, więc jeżdżę do niej co dwa-trzy dni. W weekendy w miarę możliwości odwiedzają ją moje dzieci. Widzę, że żyje w swoim świecie. Mówi, że jest jej dobrze. Chyba miałabym większe poczucie winy, gdyby miała sprawny umysł i cierpiała przez to, że ją zostawiam.

DomySeniora.pl

Na portalu DomySeniora.pl znajdziemy listę państwowych domów pomocy społecznej i prywatnych domów seniora, ale też wiele praktycznych porad i informacji związanych z opieką nad starszymi osobami.

Bardzo to przeżyłam, ale nie żałuję mojej decyzji. Nie mogłam mamy zabrać do siebie, choćby dlatego, że mieszkam na czwartym piętrze bez windy. Cały miesiąc po oddaniu mamy nie mogłam spać. Wcześniej ciągle musiałam zrywać się, gdzieś biec, więc potem długo nie mogłam przywyknąć do tego, że nagle już nic nie muszę. Dopiero w październiku, gdy znów zaczęłam chodzić po górach, udało mi się trochę wrócić do normalności.

Najgorsza jest niepewność jutra

– Zupełnie nie byłam przygotowana do opieki nad tatą. Jeśli spodziewamy się dziecka, mamy na przygotowania dziewięć miesięcy, a konieczność zajęcia się starszą osobą zwykle spada na nas dość nagle – opowiada Małgorzata. Jej ojciec ma 84 lata i zaawansowaną demencję. Mieszka na tej samej posesji, ale w osobnym domku.

– Poza tatą mam pod opieką dwójkę dzieci – 13-latkę i 9-miesięczne niemowlę. Jest też mąż, ale pracuje, więc od godz. 6 do 18 i tak nie ma go w domu.

Tata rozpoznaje mnie, ale nie pamięta, kim jestem. Zawsze bardzo dobrze funkcjonował, był osobą aktywną. Być może dlatego nie zorientowaliśmy się od razu, że coś się dzieje. Jego zapominanie o różnych rzeczach traktowaliśmy jako

a ja byłabym w pracy, mają mnie zawiadomić. W końcu – po konsultacji z psychologiem, bo nie wiedziałam, czy wolno mi to zrobić – wymieniliśmy zamki.

Na temat pielęgnacji i wychowania dzieci jest cała masa literatury, poradników, forów internetowych. Tymczasem jeśli chodzi o seniorów, informacji brakuje, choćby tych o przygotowaniu domu, na co w ogóle zwrócić uwagę. Do wszystkiego musiałam dochodzić metodą prób i błędów. Przykładowo – tata zostawił odkręcony gaz, więc usunęliśmy z domu kuchenkę, a ja

Byłam dwa miesiące po porodzie i dowiedziałam się, że zaraz przywiozą mi półprzytomnego tatę, który ma leżeć przez następne dwa.

zaczęłam przynosić wszystkie posiłki i zostawiałam herbatę w termosie. Kupiłam taki z pompką, ale okazało się, że tata nie umie go obsługiwać, więc musiałam wymienić na termos starszego typu. W poszukiwaniu informacji przeczesywałam internet i Facebooka. Niestety, trudno było tam znaleźć jakiegokolwiek grupy, gdzie byłby poruszany temat domowej opieki nad seniorami. Założyłam w końcu własną – „Jestem rodzicem swoich Rodziców”. Choć nieduża, jest wsparciem organizacyjnym i pomocą w znajdowaniu rozwiązania niektórych problemów. O opiece

Następnego dnia po zawiezieniu go do szpitala – kolejny cios. Poinformowano mnie, że tata nie będzie operowany, biodro ma zrastać się samo, a chory ma leżeć w łóżku. Byłam wtedy dwa miesiące po porodzie i dowiedziałam się, że zaraz przywiożą półprzytomnego człowieka, który ma leżeć przez kolejne dwa miesiące.

Z dnia na dzień zostałam pielęgniarką na 24 godziny na dobę, z maleńkim dzieckiem. Na szczęście mieszkamy blisko Warszawy i zdecydowałam zamówić specjalistyczne łóżko z pilotem do zmiany pozycji na siedzącą.

Tata przyjechał bez żadnego gipsu. Nie dostałam też żadnych instrukcji ze szpitala, jak opiekować się osobą, która jest w takim stanie, a wiedziałam, że leżenie to ryzyko odleżyn czy innych powikłań.

To właśnie w sieci zasugerowano mi, by szukać pomocy w MOPS. Przyznaję, że panie stamtąd stanęły na wysokości zadania. W ciągu tygodnia załatwiły, by przychodziła do mnie pani do pomocy.

Po dwóch miesiącach tata stanął na nogi. W tej chwili chodzi, sam je i ma się względnie dobrze. W 80-90% przypadków udaje mu się zdążyć do toalety. Czasem nie ma siły wstać, boli go drugie biodro – powinien mieć endoprotezę, ale nie można już jej wszczepić z powodu wieku. Dajemy sobie radę, ale wiadomo, że sytuacja kiedyś się pogorszy... Ta niepewność, co wydarzy się następnego dnia, bardzo wpływa na funkcjonowanie mojej rodziny. Nie mogę wyjechać na wakacje czy na weekend, nawet wizyta z dzieckiem u lekarza w Warszawie jest wyzwaniem.

Dom jest dla taty względnie bezpieczny. Nie ma w nim noży, kuchenki, zniknęło z niego jakieś 80% rzeczy. Jest stół z krzesłem, ale zastanawiałam się nawet nad zabraniem tego krzesła, bo kiedyś tata zaczął na nie wchodzić, chcąc wyjść przez łufcik.

Opiekunka z MOPS? Zrezygnowałam. Nasz ośrodek korzysta z agen-

Opiekunka z MOPS to zatrudniona na czarno schorowana rencistka, której legalnie nie wolno było dorobić.

normalne w podeszłym wieku. Przełom nastąpił, gdy pod moją nieobecność powiedział sąsiadowi, że ktoś włamał się do jego domu. Sąsiedzi wezwali policję. Wtedy poszliśmy z tatą do psychiatry.

Na początku czułam się bezradna wobec jego niektórych zachowań. Stawał przy bramie posesji i opowiadał przechodniom, że jest tu więziony i głodzony. Obcy ludzie przynosili mu jedzenie, bo mówił, że od trzech dni nic nie jadł. Uciekał z posesji – baliśmy się, że zaginie. Żyłam jak na szpilkach. Cała nasza ulica była postawiona w stan gotowości – sąsiedzi wiedzieli, że gdyby wyszedł,

nad schorowanymi rodzicami mało się mówi nawet wśród znajomych czy sąsiadów. Trudno prosić o pomoc czy pisać znajomym, że toniemy w ekskrementach i potrzebujemy 10 zmian pościeli.

Potem zdarzyło się nowe nieszczęście – tata przewrócił się w domu i złamał biodro. Pogotowie zabrało go do szpitala, ale mimo że ratownicy byli poinformowani, że upadł, i widzieli, że ma uraz nogi, jeszcze tego samego dnia odesłano go do domu. Dopiero trzy dni później lekarz wezwany na wizytę domową stwierdził poważny uraz i dostaliśmy skierowanie na ortopedię.

► cji pośrednictwa pracy. Liczyłam na to, że ta pani będzie miała jakieś doświadczenie, poradzi mi: „Proszę zrobić tak i tak”. Ale okazało się, że opiekunka to zatrudniona na czarno schorowana rencistka, której legalnie nie wolno było dorobić. Nie mogła mi pomóc nawet w dzwignięciu taty. W MOPS powiedziano mi, że nie mogę liczyć na więcej, bo tylko jedna pani na rejon jest pielęgniarką.

Jak się czuję? Cóż, jestem z tych niezniszczalnych. Oczywiście gdy tata miał wypadek i musiałam się nim zająć, mając maleńkie dziecko, było tragicznie. Teraz radzę sobie, ale wiem, że inni nie muszą, szczególnie jeśli ktoś ma jeszcze małe dzieci lub sam jest schorowany.

Dom pomocy społecznej? Biorę to pod uwagę. Może być tak, że tata znów będzie leżący i ja wtedy sobie nie poradzę. Uważam, że jeśli opieka nad tatą miałaby zniszczyć moją rodzinę, nie będziemy mieli wyjścia.

Zakłęty krąg wypalenia

W ciągu ostatniej dekady odsetek osób w wieku poprodukcyjnym (dla mężczyzn 65 lat, dla kobiet 60) wzrósł z 16,5% do 21,4%. Prędzej czy później coraz więcej z nas stanie więc przed takim wyborem – choć trudno powiedzieć, że to w ogóle wybór – z jakim musiały się zmierzyć Barbara i Małgorzata. Ma to ogromne konsekwencje społeczne.

W 2018 r. eksperci szacowali, że w naszym kraju brakuje aż 20 tys. opiekunów osób starszych.

Psychogeriatra Urszula Kłosińska z Wydziału Psychologii Uniwersytetu SWPS: – Polskie Towarzystwo Alzheimerowskie szacuje, że w naszym kraju choroba Alzheimera dotknęła aż pół miliona osób (nie licząc osób z demencją, u których nie zdiagnozowano tej choroby – przyp. red.). 92% mieszka w rodzinnych domach. Choroba trwa od ok. 8 do 16 lat. Za każdym chorym stoi co najmniej jeden opiekun, co daje nam ponad 450 tys. osób opiekujących się bliskim przez co najmniej kilka godzin dziennie, często przez wiele lat bez urlopu. Rodziny najczęściej oddelegowują do roli opiekuna jedną osobę – zwykle kobietę. A ona dzieli swój czas między



dzi opiekę nad seniorami i dziećmi, pracę zawodową, obowiązki rodzinne itd. Dlatego badacze określają takie osoby mianem pokolenia kanapki, aby oddać wielość ich ról.

Dane GUS z 2018 r. pokazują, że wśród sprawujących opiekę nad schorowanymi seniorami zaledwie 35% stanowią mężczyźni. Tę sytuację sankcjonują rządzący. – Niższy wiek emerytalny dla kobiet to przywrócenie kapitału opiekuńczego – mówiła

choć standardy opieki w wielu miejscach są naprawdę wysokie i ciągle się poprawiają.

Według psycholożki kluczowym czynnikiem wywołującym syndrom wypalenia wśród opiekunów jest poświęcenie: – Pierwszym objawem jest samotne dostosowywanie się do nowych obowiązków. Nie prosimy o pomoc i jesteśmy przekonani, że damy radę opiekować się bliskim samodzielnie. Tłumaczymy: „Moi bliscy nie mają przecież czasu, dzieci pracują i mają własne rodziny”. Prostą drogą zmierzamy do przeciążenia nadmiarem obowiązków i ignorowania przemęczenia – nie możemy przy tym wypocząć, bo trzeba zajmować się seniorem. Musimy się poświęcić i wytrwać na straży, zamiast pojechać na urlop. Z czasem pojawia się złość na podopiecznego – ale nie możemy mu tego powiedzieć, bo przecież jest chory. Przekierowujemy więc tę złość na siebie, a potem dochodzi kolejny etap – depersonalizacji chorego. Podchodzimy do niego obojętnie i mechanicznie, odmierzając czas na mycie, przebranie. Żadnej bliskiej rozmowy. Nie jesteśmy już w stanie okazywać naszych emocji, bo na skutek zmęczenia sami mamy ich deficyt. Wtedy narasta w nas bezsilność, poczucie krzywdy, drażliwość i przekonanie, że jesteśmy fatalnymi opiekunami. W tym

w 2017 r. ówczesna szefowa resortu rodziny, pracy i polityki społecznej, Elżbieta Rafalska.

Urszula Kłosińska: – Na początku, gdy objawy demencji są jeszcze łagodne, zwykle wystarcza poświęcenie seniorowi kilku godzin w tygodniu, ale w ostatnim stadium mówimy już o opiece całodobowej. Jednak gdy stajemy przed decyzją, czy umieścić rodzica w domu opieki, wielu opiekunów zaczyna się obwiniać czy ganić już za sam taki pomysł. Martwią się, że okażą się „złymi dziećmi”, lub o to, co pomyślą o nich inni. Tym bardziej że placówki długoterminowe mają przyklejoną łatkę umieralni lub przechowalni,

stanie nie potrafimy spać, wypocząć, mamy koszmary, podwyższone ciśnienie czy chroniczne migreny. To dlatego osoby należące do pokolenia kanapki są o 60% bardziej narażone na przedwczesną śmierć niż ich rówieśnicy.

Na system nie mogą liczyć. – W Polsce brakuje dostępu do informacji dla opiekunów, w jaki sposób radzić sobie z wyzwaniami choroby czy różnymi trudnymi zachowaniami podopiecznych – zauważa Urszula Kłosińska. – Poza tym niewielu jest psychologów pracujących z osobami mającymi demencję i ich opiekunami. Dostępność do nich okazuje się utrudniona. Podobnie jak do geriatrów, którzy powinni być lekarzami pierwszego wyboru dla osób z demencją. Tymczasem na Zachodzie niezwykle popularne są grupy wsparcia i standardem jest objęcie opiekunów – postrzeganych jako najważniejszy „czynnik leczący” – opieką psychologiczną oraz wsparciem systemowym i społecznym.

DPS to nie jest najgorszy scenariusz

Alternatywą jest skorzystanie z opiekunów z ośrodka pomocy społecznej albo angażowanych prywatnie. Jednak, jak pokazuje przykład Małgorzaty, to rozwiązanie nie zawsze wystarcza. Zresztą wykwalifikowanych opiekunów brakuje, a ich usługi są coraz droższe.

Inną opcją pozostają domy pomocy społecznej. Miejsca w nich przysługują osobom, których stan zdrowia nie pozwala na samodzielność egzystencję, a przy tym nie ma

Mazowszu. – Brakującą kwotę zgodnie z Ustawą o pomocy społecznej są zobowiązani wnieść kolejno: małżonek, zstępni, czyli dzieci, wnuki itd., wstępni (np. rodzice), a wreszcie gmina, z której skierowana jest osoba – np. wtedy, gdy senior jest bezdzietny, a jego współmałżonek i rodzice nie żyją.

Ukrainki stały się filarem sektora usług opiekuńczych.

Co jednak, jeśli rodziny seniora nie stać na dopłacenie? Niezamożnym pomóc może gmina. Trzeba to sprawdzać indywidualnie w ośrodku pomocy społecznej.

Pozostaje jeszcze kwestia dostępności miejsc. Czas oczekiwania trudno oszacować. – To się często zmienia, w tej chwili nie mamy kolejki, ale jeszcze jesienią na liście oczekujących było kilka osób – mówi pracownik DPS.

Według danych GUS pod koniec 2018 r. funkcjonowało w Polsce 1831 państwowych stacjonarnych zakładów pomocy społecznej, czyli o 108 placówek więcej niż w 2017 r. Łącznie przebywało w nich 71,2 tys. seniorów.

Co z prywatnymi domami? – Ich liczba rośnie. Nie tylko pojedynczych, ale też sieci obiektów, szczególnie luksusowych, z bogatą ofertą dla seniorów – wskazuje Olga Kosior z portalu DomySeniora.pl. – Ponieważ państwowe DPS też już nie są tanie, rośnie popyt na domy prywatne. Budowa nowych to jednak długi proces, ponieważ w Polsce nie jest łatwo dostać od wojewody zezwolenie na taki obiekt.

gi opiekuńcze przyznają wprost, że Ukrainki stały się filarem sektora usług opiekuńczych, cierpiącego na ogromne braki kadrowe.

Urszula Kłosińska dodaje, że problemy kadrowe pogłębia wypalenie zawodowe tzw. formalnych opiekunów: – Szacuje się, że ponad połowa, o ile nie zostaną objęci w porę

opieką psychologiczną, po mniej więcej siedmiu latach wykaże objawy wypalenia. To w konsekwencji powoduje, że doświadczeni opiekunowie odchodzą z zawodu.

Zdjąć odium porzucenia

– W DPS, wbrew temu, co się uważa, tętni życie. Organizujemy codzienne zajęcia aktywizujące, spotkania okolicznościowe, seniorzy mają możliwość celebrowania świąt i uroczystości. Regularnie mogą także oglądać występy artystyczne dzieci i młodzieży. Życie do placówek wnoszą również wolontariusze. Młodzi rozmawiają z mieszkańcami domu, słuchają ich wspomnień, opowiadają starszym o życiu współczesnej młodzieży. Współpracujemy z jedną ze szkół podstawowych. Mamy w tej chwili 12 wolontariuszy, dzięki którym nasi mieszkańcy cztery razy w tygodniu mają możliwość spotkań z młodzieżą – zapewnia mój rozmówca z jednego z mazowieckich DPS. – Niestety, w społecznej świadomości pokutuje bardzo negatywny obraz takich placówek. Dla mnie jako pracownika tej instytucji jest to przykre, bo wiem, ile pracy i wysiłku trzeba włożyć w zapewnienie opieki i zorganizowanie mieszkańcom czasu wolnego. Placówek jednak się nie docenia, a rodziny bywają piętnowane za decyzję o umieszczeniu w nich bliskiego, choć DPS są niezbędne w systemie pomocy społecznej i dają możliwość zapewnienia godziwej starości wszystkim, którzy nie są w stanie sami czy z pomocą rodziny funkcjonować w dotychczasowym miejscu zamieszkania.

Zanim więc ktoś wyda niesprawiedliwą opinię, powinien się zastanowić, jaki los spotkałby te osoby, gdyby pozostawić je samym sobie.

Anna Brzeska

Osoby należące do pokolenia kanapki są o 60% bardziej narażone na przedwczesną śmierć niż ich rówieśnicy.

możliwości, by opiekę nad nimi sprawowali bliscy w domu, nawet przy wsparciu osoby świadczącej usługę opiekuńczą.

Ile to kosztuje? Za państwowy DPS zwykle trzeba zapłacić między 3,5 tys. a 5 tys. zł miesięcznie. – Podopieczny wnosi opłatę w wysokości 70% swojego świadczenia, czyli np. emerytury lub renty, 30% świadczenia zostaje do jego dyspozycji – wyjaśnia pracownik jednego z DPS na

Drugim istotnym problemem właścicieli DPS jest brak rąk do pracy, szczególnie jeśli chodzi o pielęgniarstwo. – Pomaga obecność Ukrainek, z kolei Polki wyjeżdżają np. do Niemiec, opiekować się tamtejszymi seniorami, więc deficyt i tak się utrzymuje – tłumaczy Olga Kosior.

W 2018 r. eksperci szacowali, że w naszym kraju brakuje aż 20 tys. opiekunów osób starszych. Przedstawiciele firm świadczących usług

Rozmawia Beata Igielska

Premiera krótkiego filmu „Znikające dzieci. Stop samobójstwom w nastoletniej depresji” odbyła się w Światowym Dniu Walki z Depresją, 23 lutego. Jego wyświetlenia idą w miliony. Co sprawia, że dzieci nie chcą żyć? Czy jest aż tak źle?

– Jest źle, dziś wielu młodych ludzi cierpi. Myślom o śmierci towarzyszą samouszkodzenia. Ten film jest cenny, bo pokazuje, że cierpienie może być niewidoczne. Wydaje się nam, że dzieci, które myślą o śmierci, są wycofane, nieśmiałe, źle się uczą. Wcale nie musi tak być. Często cierpią także młodzi ludzie, którzy na pozór mają się dobrze, są uśmiechnięci, żartują, mają przyjaciół, dobrze się uczą. Czas wyrzucić stereotypów, że smutni są zagrożeni myślami rezygnacyjnymi, a uśmiechnięci na pewno czują się dobrze. I jedni, i drudzy mają niską samoocenę.

Skąd ta niska samoocena?

– Jeśli cały czas nastolatek żyje w kulturze błędu, bo już w dzieciństwie rodzice, nauczyciele, rówieśnicy porównywali go do innych i przekazywali komunikaty: jesteś beznadziejny, bezużyteczny, zaczyna wierzyć, że inni ludzie robią większość rzeczy lepiej od niego. Mało który dorosły docenia dziecko, jeśli to robi coś dobrze. Nie doceniamy spraw małych, koncentrujemy się na błędach, wpisujemy dzieci w rolę tych złych: z tobą zawsze są problemy, ty zawsze masz zachcianki, nigdy nie zrobisz nic dobrego. Wtedy w młodym człowieku rozwija się wewnętrzny krytyk, który go hejtuje. Nastolatek obraża sam siebie. I ma niską samoocenę. To proste w diagnostyce. Wystarczy zapytać: czy czujesz się czasami bezużyteczny, czy chciałbyś mieć więcej szacunku do samego siebie, czy jesteś przekonany, że wiele osób większość rzeczy robi lepiej od ciebie? Wejście z niską samooceną w wiek dojrzewania jest niebezpieczne, pojawiają się samouszkodzenia, myśli i zamachy samobójcze.

Etykietujemy: ty zawsze, a ty nigdy...

– Stygmatyzujemy, porównujemy jednego do drugiego, co jest zupełnie bez sensu. Niepokorna, źle ucząca się Ania nigdy nie będzie grzeczną i dobrze uczącą się Agnieszką. Ale czy Agnieszka osiągnie w życiu większy sukces niż Ania? Oprócz wpisywania

Dlaczego młodzi nie chcą żyć?

Helikopterowi rodzice i dzieci jak płatki śniegu



TOMASZ BILICKI

– koordynator Centrum Interwencji Kryzysowej dla Młodzieży RE-START w Łodzi, prowadzonego przez Fundację Innpolis

młodych w rolę bagatelizujemy ich kłopoty. Wydaje nam się, że tylko my, dorośli, mamy prawdziwe problemy: kredyt do spłacenia, kłopoty w pracy, niesnaski małżeńskie. A nasze dziecko ma tylko do odrobienia matematykę – to co to za kłopoty? Albo jeśli naszej 13-letniej córce czy synowi posypał się związek, który trwał dwa tygodnie, to o co chodzi? Jednak dla nich to ważne wydarzenia, chcą być rozumiani, mieć wsparcie dorosłych, nie chcą słyszeć: weź się w garść, nie bądź taki wrażliwy, inni mają gorzej, co cię nie zabije, to cię wzmocni. Mówiąc tak, zaprzeczamy ich uczuciom, dajemy wyraźny sygnał: nie rozumiem cię, czyli w jakiś sposób odrzucam cię, nie akceptuję. To bardzo silne źródło cierpienia i mechanizm tworzenia niskiej samooceny.

Na dzieci jest wywierana presja, której nie wytrzymują.

– Wywieramy na dzieci presję jako rodzice poprzez nasze wyobrażenia

na temat ich życia. Jako szkoła metodami sprzed 150 lat próbujemy uczyć o współczesnym świecie, w którym w niedalekiej przyszłości od 60 do 90% dzisiejszych nastolatków pracować będzie w zawodach obecnie nieistniejących. Młodzi to wiedzą i dlatego czują bezsens presji szkolnej. Jest jeszcze silna presja rówieśnicza, mediów społecznościowych, a na koniec presja wewnętrznego krytyka – autopresja. Niewielu młodych ludzi potrafi dziś żyć ze sobą tak, jakby byli swoim najlepszym przyjacielem. Mówię im: ponieważ to wydarzenie było dla ciebie trudne, co byś chciał sobie powiedzieć, gdybyś był swoim najlepszym przyjacielem? Nie wiedzą. W naszym centrum RE-START poświęcamy nieraz miesiące, żeby nastolatek spojrzął na siebie po przyjacielsku.

Już w trzeciej klasie podstawówki dziecko ma wytyczoną ścieżkę kariery i trzyma się jej: chce być nauczycielem, lekarzem, prawnikiem.

– Z doświadczenia wiem, że mało jest młodych ludzi, którzy mają takie plany. To rodzice określają ich ścieżkę kariery, nauczyciele też wywierają presję: musisz być przygotowany, że świat to wyścig. Trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś, czyja osobowość dopiero się kształtuje, czyli eksperymentujący, podejmujący ryzyko, niepewny nastolatek – czy dziecko – dookreślił, że będzie lekarzem. Jeśli jednak młody człowiek ma tak wyraźną wizję siebie, często go stopuje: hola, być może ta wizja się nie spełni. A jeśli się nie spełni, będzie źródłem frustracji. Bo ktoś jest przekonany, że będzie lekarzem, a nagle dostaje z biologii słabą ocenę. I nie trafia do klasy biologiczno-chemicznej, a w konsekwencji nie będzie lekarzem, choć ubzdurał sobie, że tylko lekarze są szczęśliwi. Myślę, że młodzi nie wiedzą, co mogą robić w przyszłości, bo nie znają swoich mocnych stron, zainteresowań. Prowadzę w szkołach warsztaty, pytam:



Codziennie próbuje się zabić dwoje nastolatków

W 2018 r. samobójstwo próbowało popełnić 746 osób w wieku 13-18 lat (w 2017 r. 702 przypadki) i 1143 w wieku 19-24 lata (tyle samo w 2017 r.). Zginęły 92 osoby w wieku 13-18 lat (115 w 2017 r.) oraz 344 w wieku 19-24 lata (353 w 2017 r.). W zestawieniu Eurostatu z 2014 r. pod względem samobójstw wśród młodych Polska z 209 samobójstwami zajęła drugą pozycję. Wyprzedziły nas Niemcy (224 próby samobójcze zakończone śmiercią). Dalej były Francja (171), Wielka Brytania (134), Włochy (87) oraz Hiszpania (69).

macie jakiś talent, bo chciałbym was wesprzeć w tym kierunku. Słyszę: nie mamy żadnych talentów ani zainteresowań. Albo robią sobie żarty, że jedynym ich zainteresowaniem jest pobudka w sobotę o trzeciej po południu, denerwowanie dorosłych i granie w gry przez 20 godzin. To nie ich wina, że nie mają zainteresowań.

A czyja? Rodziców?

– Kiedy do Centrum Interwencji Kryzysowej przychodzą rodzice z córką czy synem i mówią, że chcieliby, aby ich dziecko miało więcej pasji, pytam ojca, matkę o ich pasje. Okazuje się, że nic nie robią. Dzieci nie mają zainteresowań, bo rodzice ich nie mają. Młodzi z niską samooceną unikają jakichkolwiek działań, wejścia w nową grupę rówieśniczą, podjęcia hobby, zapisania się na zajęcia dodatkowe. Bo działanie to niebezpieczeństwo porażki, krytyki.

Jak budować wysoką samoocenę u dziecka? Mówić mu, że nieważne,

czy odniesie sukces, ważne, żeby działało?

– Jeżeli coś takiego mówimy dziecku, zaprzeczamy jego uczuciom. Bo przy niskiej samoocenie kluczowe jest to, czy odnosisz sukces, czy zaliczasz porażkę. U osoby z niską samooceną porażka jeszcze ją obniży. Podnoszenie samooceny jest procesem długotrwałym, psychoterapia trwa kilka lat. Ale to dobrze, bo szybkie zmiany, jeśli chodzi o depresję, samouszkodzenia, są nietrwałe, lepiej więc, jeśli są powolne i konsekwentne. Najczęściej konieczna jest osoba obca, która przyjrzy się z boku i spróbuje odszyfrować mechanizmy sprawiające, że ktoś ma tyle fałszywych przekonań o sobie samym. Nawet najlepszy rodzic nie jest w stanie dopatrzeć się tych mechanizmów, bo nie ma dystansu. Tu kluczowa jest rola psychologa, psychoterapeuty. Dlatego dziecka z niską samooceną, które ma myśli samobójcze, samouszkadza się, nie straszmy dodatkowo tymi profe-

sjami, co jest nagminne. Gdy rzeczywiście trzeba pójść do specjalisty, robi się problem. Psycholodzy, psychoterapeuci, szpitale psychiatryczne powinny kojarzyć się dziecku z pomaganiem, nie z zagrożeniem.

Znam przypadki, gdy dziecko idzie do pani pedagog, bo ma myśli samobójcze, i słyszy: ogarnij się, bo jak nie, będę musiała powiadomić rodziców. Rodzice w roli straszaka.

– Straszanie rodzicem i wierzenie, że dziecko przestanie mieć myśli samobójcze, jest głęboko nieprofesjonalne. Oczywiście rodzica powinno się zaprosić do współpracy, ale nie straszyć nim. Najczęściej moi pacjenci słyszą: nie rób tego, przecież to ci nic nie daje, co powiedzą twoje dzieci, jak zobaczą takie blizny?! Tymczasem trzeba odnaleźć przyczynę, dlaczego dziecko tak postępuje. To może być trudne, bo może mieć związek z nami, dorosłymi. Ale jest istotne, żeby dziecko przestało się ciąć. Kiedy proszę rodziców o wymienienie cech pozytywnych swojego dziecka, czasami potrzebują około tygodnia, żeby się do tego przygotować. Na co dzień są dla dziecka prokuratorami, bo myślą, że taka postawa będzie mobilizować je do działania. Nie mobilizuje.

Trzeba z dziećmi rozmawiać nie na zasadzie: jak tam w szkole?

– Ważna jest prawdziwa rozmowa, a nie techniczna: jak w szkole, przyjdź na kolację, przestań grać. Trzeba być obecnym w życiu dziecka, ale niech to będzie mądra obecność. Dziś na całym świecie dyskutuje się o pokoleniu płatków śniegu. Są przepiękne, ale wystarczy trochę wiatru, deszczu i roztapiają się. Młodzi są dużo bardziej delikatni, niż nam się wydaje, cierpią, płaczą w ukryciu, żeby nikt nie widział. Pokolenie płatków śniegu wzięło się prawdopodobnie stąd, że bardzo wielu rodziców jest rodzicami helikopterowymi – zawsze obecnymi nad głową dziecka. Albo są lotniczym pogotowiem ratunkowym, to znaczy na co dzień nieobecni przy dziecku, ale jak trzeba stoczyć jakąś walkę, natychmiast się pojawiają. Rodzice helikopterowi obniżają samoocenę dziecka, bo swoim postępowaniem pokazują mu, że sobie nie poradzi, nie umie, odbierają poczucie sprawczości. W poniedziałki pracuję jako nauczyciel WOS w szkole. Widzę, jak wielu rodziców nosi za swoim dzieckiem teczkę czy plecak. Nie tędy

► droga, trzeba rozwijać samodzielność adekwatną do wieku. To buduje poczucie własnej wartości.

Jaką rolę w życiu tych płatków śniegu odgrywa przemoc rówieśnicza?

**Jak mądrze na nią reagować? Po-
trafimy wysłać człowieka w kosmos,
a jedynym pomysłem dyrektora
szkoły, gdy dziewięciolatek narozra-
bia, bywa zadzwonienie na policję.**

– Myślę, że wbrew pozorom wysłanie człowieka na Księżyc jest łatwiejsze niż zatrzymanie przemocy rówieśniczej. Ale oczywiście trzeba jej przeciwdziałać. To zjawisko często bywa trudne do zauważenia, dręczenie odbywa się w białych rękawiczkach. Na przykład uczeń rozdaje ankiety, wszystkie dzieci otrzymują, a jedno zostaje pominięte i dostaje na końcu. Albo dziecko wypowiada się na jakiś temat, a trzy osoby nagle patrzą się na siebie i pod nosem się uśmiechają. Inny przykład: ktoś nigdy nie jest zapraszany na urodziny, na wydarzenia klasowe. Albo nikt z nim nie rozmawia na przerwie. Sprawcy zawsze mogą powiedzieć: przecież nie mam obowiązku zapraszać go na swoje urodziny.

**Nauczyciel musi być niestychanie
czujny i nie zgadzać się na żadne
tego typu przejawy przemocy.**

– Tak. Zanim wystąpi przemoc, może integrować klasę, by zjawisko ograniczyć, np. raz w tygodniu robić losowanie, w którym miejscu sali kto z kim siedzi. Inny pomysł – praca w grupach. Ważne, aby mówić dzieciom o różnorodności, szacunku, godności. I pamiętać o świadkach przemocy rówieśniczej, bo od nich w dużej mierze zależy, czy ta przemoc będzie długotrwała. Jeśli świadkowie nie będą jej zgłaszać albo będą się śmiać, że ktoś jest gnębiony, to będą wspierać sprawców. Jeżeli zaś powiedzą, że tego nie akceptują – osłabia sprawców. Jeśli ofiara otrzymuje wsparcie, bardzo często stopuje to przemoc wobec niej.

**Czy nastolatki wiedzą, kiedy taką
przemoc mogą zgłosić dorosłemu?**

– Często nie wiedzą. Dlatego na warsztatach z ósmoklasistami uświadamiamy im, w jakich sytuacjach nie warto skarżyć: jeśli robimy komuś na złość, jeżeli jest to jakiś drobiazg, a w jakich sytuacjach powinni zgłosić coś dorosłemu, któremu ufają, i nikt nie przypnie im łatki donosiciela: kiedy przemoc jest długotrwała, a nie

incydentalna, kiedy ktoś się samouszkadza, dzieli się myślami o śmierci. Bardzo często jedynymi osobami, które o tym wiedzą, są rówieśnicy.

Przerabiałem już kilka przypadków, gdy nastolatek odebrał sobie życie. Od pół roku czy od roku o jego planach wiedzieli przyjaciele, próbowali mu pomóc, ale nie powiedzieli nikomu dorosłemu. Teraz sami są w rozpaczce, bo się obwiniają. Przy przemocy rówieśniczej nieraz występuje efekt kokpitu bombowca. Pilot leci 10 km nad ziemią, zrzuca bomby. Gdzieś daleko na ziemi są krzyki, płacz, krew, ale on w kokpicie tego nie słyszy, nie widzi, robi swoje. Sprawcy przemocy rówieśniczej tłumaczą się: przecież to były tylko żarty, ani niebezpieczne, ani szkodliwe. Nie dostrzegają, że druga osoba bardzo z tego powodu cierpi. Nie wypada jej rozplakać się przy grupie, napisać na komunikatorze:

Cierpienie może być niewidoczne.

blagam, zostawcie mnie, bo tego nie wytrzymam. Bardzo wielu młodych ludzi cierpi w wyniku przemocy rówieśniczej, ale nie daje tego po sobie poznać. Bez sensu jest mówienie: tobie to robią, bo jesteś delikatny, babski chłopak, odpyskuj im, a nigdy więcej nie będą tego robić. To tak samo jak w przypadku kobiety, która nietrzeźwa, w krótkiej spódnicy wraca do domu i zostaje zgwałcona – sama się prosiła. Otóż ofiara przemocy nigdy się o nią nie prosi. Musimy o tym pamiętać.

**Co więc robić, skoro psychika mło-
dych jest tak krucha, a wyszkolenie
psychiatry dziecięcego i młodzież-
owego wymaga czasu i pieniędzy?**

– Brakuje nam psychiatrów zajmujących się dziećmi i młodzieżą, dostępność do nich, szczególnie z NFZ, jest bardzo ograniczona.

**Tymczasem badania CBOS poka-
zują, że coraz więcej młodych ludzi
ma depresję i myśli samobójcze. Co
20. osoba w wieku 18-24 lata dekla-
ruje myśli samobójcze, a co czwarta
depresję i bycie nieszczęśliwym.**

– Psychiatra może wypisać leki, czego nie mogą zrobić psycholog, pedagog, psychoterapeuta. Oczywiście kształćmy psychiatrów, ale w moim przekonaniu w Polsce brakuje systemu interwencji kryzysowej, pierwszej pomocy psychologicznej. A przecież

mamy pierwszą pomoc przedmedyczną, której wcale nie świadczą ratownicy medyczni czy lekarze. Na tej samej zasadzie trzeba zbudować system świadczenia pierwszej pomocy psychologicznej, czyli kształcić interwentów kryzysowych, terapeutów, niekoniecznie będących psychiatrami, ale pedagogami, psychologami, socjologami, nauczycielami, kuratorami sądowymi, pracownikami socjalnymi. Żeby wiedzieli, jak się zachowywać wobec dziecka, które się samouszkadza i myśli o śmierci, jest po zamachu samobójczym albo padło ofiarą jakiegoś przestępstwa, hejtu, odrzucenia. Dramatycznie brakuje nam takiej wiedzy i umiejętności.

Oczywiście różne grupy zawodowe szkolą się, ale bywa to zaledwie wprowadzeniem w temat. Wciąż brakuje długotrwałych szkoleń, studiów podyplomowych. Pierwsza pomoc psychologiczna powinna być udzielana od razu, kiedy młody człowiek doświadcza traumy.

Wszystkie badania, które znam, w tym te po zamachach na World Trade Center, pokazują, że jest ona najskuteczniejsza. Późniejsza terapia, kiedy traumatyczne wydarzenie rozrosło się w myśli lękowe, depresyjne, jest mniej skuteczna. Punktów interwencji kryzysowej powinno być dużo. Żeby można było tam każdego dnia przyjść i szybko skorzystać z pomocy psychologicznej.

**Wzrost problemów psychicznych
młodych nałożył się na reformę
oświaty. Do psychologów klinicz-
nych trafiają dzieci z syndromem
stresu pourazowego.**

– Reforma systemu edukacji połączona z brakiem stabilnych reguł i wynikająca z tego frustracją dotknęła szczególnie gimnazjalistów. Ich nauczyciele odchodzili do pracy gdzie indziej, młodzi czuli się opuszczeni, nieważni. Jednocześnie nie czuli się dobrze przygotowani do egzaminu gimnazjalnego. Tak jak ósmoklasiści nie czuli się przygotowani do swojego egzaminu. To był kolejny stres, kolejny rodzaj presji. Ostatnio wśród młodych jest widoczne silne przejmowanie się brakiem reakcji polityków na zagrożenia ekologiczne. Dla niektórych dorosłych może to być śmieszne, ale moi pacjenci, którzy mają myśli rezygnacyjne, mówią, że to ich dobija.

Beata Igielska



Grecja, żandarm Europy na pierwszej linii frontu, strzela (pod pozorem ćwiczeń) na razie obok łodzi i pontonów z uchodźcami, usiłującymi z Turcji dotrzeć do Twierdzy Europa. Policja strzela gazem łzawiącym w tłum z dziećmi. Pogranicznicy bosakami biją ludzi na pontonach, którzy próbują łapać burzę statków, faszysty ze Złotego Świtu biją lekarzy, dziennikarzy i działaczy organizacji pozarządowych, którzy jako jedyni pomagają uchodźcom sfłoczonemu w obozach na wyspach, głównie na Lesbos. Te krótkie sceny, urywki filmików z telefonów, nie dają się

obecnie uzurpacyjny wymiar władzy i zadufanego bogactwa. Nie osłabia go nawet wypowiedź trzech kardynałów, a wśród nich papieskiego jałmużnika, kard. Konrada Krajewskiego, którzy zapelowali do episkopatów wszystkich państw Unii Europejskiej o przyjęcie uchodźców z greckiej wyspy Lesbos. I nic. Po raz kolejny.

Dramat trwa. Turcja, opłacona miliardami euro, żeby trzymać u siebie uchodźców (jest ich już tam ponad 3,5 mln), umywa ręce, czyli pozwala opuszczać swój kraj, jednocześnie prowadzi ofensywę wojenną w Syrii,

nować naszych granic i czuwać, żeby nikt niepowołany w naszym kraju się nie znalazł. A z tego, co wiem, nasze granice nie są odpowiednio zabezpieczone, bo to, co się dzieje w tej chwili, jest bardzo, bardzo niebezpieczne”.

Amnesty International w swoim apelu pisze: „Nieludzkie środki, które władze Grecji podejmują w celu powstrzymania ludzi przed przekroczeniem granicy, stanowią rażące naruszenie spoczywających na rządzie w Atenach zobowiązań w zakresie praw człowieka, a ponadto narażają na niebezpieczeństwo osoby uciekające przed działaniami wojennymi”.

Grecja pałkarzem Twierdzy Europa

odzobaczyć. Ale trzeba też widzieć tych wszystkich, którzy grecki paroksyzm przemocy wspierają politycznie, odpowiadają za zaryglowanie granic Europy i jadem nienawiści wypełniają krater niemocy. Którzy odpowiadają nawet za to, że społeczeństwa, państwa takie jak Portugalia, deklarujące chęć pomocy, przyjęcia uchodźców, nie mogą tego zrobić, bo Twierdza Europa będzie się bronić do ostatniego pontonu i kamizelki ratunkowej. Bo ogrodzenie z drutu kolczastego można w ostateczności pokonać, kosztem ran i obrażeń, ale lekceważonego prawa azylowego, przepisów spychających obowiązujące kraje europejskie konwencje humanitarne w nicość i nieobowiązywanie, wieczne zawieszenie – już nie.

Kiedy bezpieczni oglądamy te sceny na ekranach naszych komputerów, telefonów i telewizorów, wszystkie deklaracje o jakiejś cywilizacji europejskiej, wzorcu, poziomie humanitaryzmu trzeba wyrzucić na śmietnik. Europa w takiej odsonie jest wcieleniem najgorszych egoistycznych, kolonialnych, rasistowskich – mówiąc krótko, nieludzkich – wzorców i modelu funkcjonowania. W pierwszej kolejności powinna wsadzić sobie gdzieś całe swoje chrześcijaństwo i jego jakiegokolwiek miłosierne przesłanie. Dzisiaj to już tylko wszech-

co generuje kolejny *exodus*. W Syrii jest śnieg i mróz, ludzie zamarzają. Inni w śmiertelnej determinacji chcą dobić do raju na ziemi, Europy. Ale raj nieczynny, remont, wejścia nie ma. Polska lewica apeluje do greckich władz „o przyspieszenie rozpatrywania wniosków o azyl”; do mediów, „aby nie weszły kolejny raz w narrację „uchodźca twój wróg”, tak jak w 2015 r.”; do naszego rządu „o relokację uchodźców na bazie porozumień z 2015 r. Realnie dla Polski oznacza to przyjęcie kilkudziesięciu uchodźców rocznie (!)”. Wzywa do solidarności międzynarodowej i wspierania krajów UE, które są dotknięte kryzysem uchodźczym, a do politycznych konkurentów woła: „Bądźcie ludźmi. Miejcie ludzkie odruchy!”.

I w takim momencie kandydatka na urząd prezydenta Małgorzata Kidawa-Błońska oznajmia językiem rasizmu Twierdzy Europa: „Turcja i Putin chcą wpływać na Europę. I rzeczywiście przestali działać, żeby chronić przed wpływem migrantów (...). Ważne jest wzmocnienie Włoch i Grecji, aby pomóc tym krajom zatrzymać migrantów (...). Ale co najważniejsze, ja chciałam przypomnieć, że w tej chwili w Polsce, za rządów Prawa i Sprawiedliwości, prawie 19 tys. ludzi przyjechało i jest w naszym kraju. Więc powinniśmy pil-

„Grecja powinna w pilnym trybie zaprzestać nadużywania siły i zagwarantować możliwość prowadzenia operacji poszukiwawczych i ratunkowych na morzu. Ludziom szukającym w Grecji azylu należy udzielać pomocy, a nie traktować ich jak przestępców lub źródła zagrożenia dla bezpieczeństwa publicznego”, komentuje Aleksandra Fertlińska, ekspertka ds. monitoringu praw człowieka w Amnesty International Polska.

Bądźcie ludźmi? To dzisiaj dla Europejczyków, w tym Polaków, nieosiągalne. Tylko nieliczni pamiętają, że „żaden człowiek nie jest nielegalny”. Wciąż jest nas za mało i nasz głos ginie. To tylko głos – a uchodźcy giną naprawdę.

ROMAN KURKIEWICZ

PONIEDZIAŁEK / 07:00 - 10:00
CZWARTEK / 21:00 - 23:00

SŁUCHAJ NA WWW.HALO.RADIO
LUB PRZEZ APLIKACJĘ MOBILNĄ
HALO.RADIO NA IOS I ANDROID

HALO RADIO
MEDIUM OBYWATELSKIE

Biuro Odbudowy Stolicy

Największe na świecie biuro architektoniczno-urbanistyczne

Jacek Cezary Kamiński

Gdy 17 stycznia 1945 r. do Warszawy wkraczali polscy i radzieccy żołnierze, stolica Polski była niemal całkowicie zburzona. Zniszczeniu uległo 71% przedwojennej zabudowy lewobrzeżnej części miasta. Odbudowę zrównanej z ziemią metropolii powierzono Biuru Odbudowy Stolicy. 14 lutego przemknęła niezauważona 75. rocznica powołania przez Krajową Radę Narodową tej zasłużonej instytucji.

„Boże, odbuduj stolicę!”, tłumaczył skrót BOS niezapomniany dozorca Popiołek z telewizyjnego serialu „Dom”, przedstawiającego panoramę powojennych dziejów Warszawy. Wielu ludziom wydawało się wtedy, że z tak ogromnej kupy gruzów nieprędko da się na powrót

dy gazowe w 46%. Z 64 kościołów zachowały się cztery. Miasto było praktycznie całkowicie wyludnione. „Mury cmentarzy wydają się zbędne: nie dzielą już dwóch światów”, przejmująco komentował skalę destrukcji architekt Józef Sigalin, jeden ze współtwórców dzieła odbudowy stolicy.

W obliczu tak tragicznej sytuacji również przedstawiciele władz państwowych mieli wątpliwości co do zachowania stołeczności Warszawy. Myślano o tymczasowym przynajmniej ulokowaniu centralnych urzędów państwowych w Łodzi. Dylemat na korzyść Warszawy rozstrzygnął jednak... Józef Stalin, zapytany o to wprost podczas wizyty w Moskwie przez przedstawicieli polskiej delegacji. „Marszałek Stalin uważa, że Warszawa powinna być jak najszybciej odbudowana i ze swej strony

odbudowy Warszawy Andrzej Skalmowski, „ogromny autorytet, którym się cieszył, pomógł zmobilizować przedstawicieli środowiska – wśród nich wielu niechętnych władzy lubelskiej – do włączenia się w prace nad odbudową”.

Już 18 stycznia 1945 r. do lewobrzeżnej części miasta dotarła Grupa Operacyjna „Warszawa” PKWN pod kierunkiem Józefa Sigalina. Jej zadaniem było dokonanie wstępnego oszacowania zniszczeń i znalezienie siedziby dla Biura Planowania i Odbudowy. To wtedy Sigalin wypatrzył ocalały dom przy ul. Chocimskiej 33 na Mokotowie, w którym znalazło później siedzibę Biuro Odbudowy Stolicy. „Tam właśnie. Jutro poprosić Spychalskiego (prezydenta Warszawy – przyp. aut.). Niech da. Kto tu właściwie daje domy?”, notował na gorąco.

Kilka dni później, 22 stycznia 1945 r., prezydent Warszawy Marian Spychalski powołał Biuro Organizacji Odbudowy Warszawy, z którego 14 lutego wyłoniło się Biuro Odbudowy Stolicy, już o statusie urzędu centralnego. Zadanie, jakie władze państwowe postawiły przed nową instytucją, było gigantyczne. BOS miało odpowiadać za całokształt prac nad odbudową Warszawy, projektowanie urbanistyczne, rekonstrukcję zabytków, plan gospodarczy i inwestycyjny oraz wykonawstwo.

Do realizacji tak szeroko zakrojonych celów szybko zatrudniono armię ludzi. Już w lipcu 1945 r. w Biurze Odbudowy Stolicy pracowało ok. 1,5 tys. osób, głównie architektów i urbanistów, ale także inżynierów różnych specjalności, ekonomistów i prawników. Według Andrzeja Skalmowskiego było to największe biuro architektoniczno-urbanistyczne na świecie. Kierownikiem BOS został 50-letni architekt Roman Piotrowski, związany przed wojną z lewicującą awangardową grupą architektów i plastyków Praesens i lewym skrzydłem PPS, po wojnie członek PPR. Szybki rozwój Biuro zawdzięczało

Z 957 budynków wpisanych do rejestru zabytków we względnie dobrym stanie przetrwały jedynie 34.

stworzyć miasto. „Ja byłem przekonana, że stolicę przeniosą do Krakowa. Bo jak się spojrzało, dosłownie jak się weszło do Warszawy, to nie było widać budynków. Tylko wszędzie gruz”, opisywała swoje wrażenia z powrotu do stolicy w marcu 1945 r. przedwojenna warszawianka Julianna Rozenbaum.

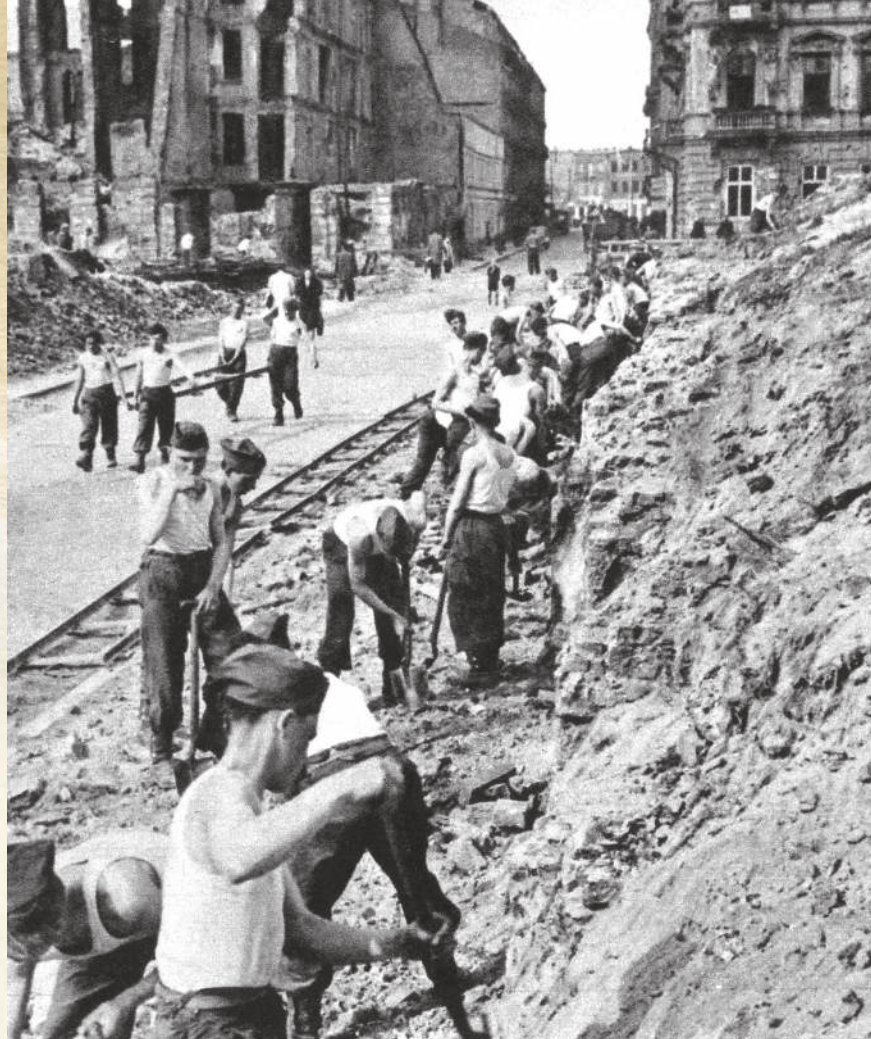
Niemal całkowitej zagładzie uległa zabytkowa substancja miasta. „Spośród 957 budynków wpisanych do rejestru zabytków aż 782 uległy całkowitemu zniszczeniu, a 141 zostało poważnie uszkodzonych, czyli we względnie dobrym stanie przetrwały jedynie 34”, szacuje znany warszawianista Jarosław Zieliński. Nie lepiej prezentowała się miejska infrastruktura. Zburzone były wszystkie mosty, 95% teatrów i kin. Przemysł i budynki służby zdrowia zostały zniszczone w 90%, sieć tramwajowa w 85%, a jej tabor w 75%, obiekty związane z oświatą w 70%, drzewostan w 60%, elektrownie w 50%, przewo-

pragnie przyjąć nam z jak najbardziej wydajną pomocą. To przesądza dla nas sprawę, że Warszawa będzie siedzibą rządu”, relacjonował na posiedzeniu Rady Ministrów 21 stycznia 1945 r. Bolesław Bierut.

Grupa Operacyjna

Ta decyzja nadała tempo przygotowaniom do odbudowy, ale przecież działania w tym kierunku „lubelskie” władze rozpoczęły już jesienią 1944 r., po wyzwoleniu warszawskiej Pragi. Początkowo nie wyodrębniano Warszawy jako oddzielnego podmiotu prac planistycznych. 20 listopada 1944 r. przy Prezydium Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego powstało Biuro Planowania i Odbudowy, kompletowano sztab fachowców. Szczególnie cenne dla nowych władz było pozyskanie do współpracy profesora Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej Lecha Niemojewskiego. Jak ocenia historyk

Batalion im. Janka Krasickiego odgruzowuje ul. Marszałkowską przy zbiegu z ul. Królewską, 1947 r.



na blisko 40 lat”, komentował Andrzej Skolimowski.

Włączenie w dzieło odbudowy kraju wielu polondyńsko nastawionych profesjonalistów powojenne władze uważały za jeden ze swoich sukcesów. „Nam udało się dokonać poważnych wyłomów w środowisku inżynierów i ekonomistów oraz architektów. Tych ostatnich pozyskaliśmy przede wszystkim dzięki odbudowie Warszawy, która stała się sprawą ich honoru”, chwalił się w rozmowie z Teresą Torańską Jakub Berman. Było to potwierdzeniem propagandowego hasła „Cały naród buduje swoją stolicę”, ale także wyrazem pragmatycznego podejścia przywódców PPR. W wyniszczonym wojną kraju brakowało bowiem profesjonalnych kadr i każdy fachowiec był na wagę złota.

Niejednorodny ideowo i politycznie skład Biura Odbudowy Stolicy był przyczyną wewnętrznych napięć, dających o sobie znać zwłaszcza na etapie planistycznym. „Przez cały okres odbudowy aż do 1952 r. działalność BOS naznaczona była ostrym konfliktem między frakcją »zabytkarzy«, skupionych wokół Zachwatowicza, a frakcją »modernizatorów«, którym przewodzili szef BOS Roman Piotrowski oraz jego zastępca Józef Sigalin. Podział odzwierciedlał poglądy polityczne architektów: grupa Zachwatowicza wywodziła się z akowskiego podziemia, Piotrowski i Sigalin byli ludźmi nowego porządku”, twierdzi Mikołaj Gliński z portalu Culture.pl.

Niejednokrotnie spory wewnątrz Biura rozstrzygać musieli przedstawiciele władz państwowych, do których zresztą i tak należały ostateczne decyzje w tak strategicznej kwestii jak kształt stolicy nowego, socjalistycznego państwa polskiego. Formalnie decyzje te pozostawały w gestii Ministerstwa Odbudowy, faktycznie jednak decydujący był głos prezydenta Bolesława Bieruta, który przewodniczył Naczelnej Radzie Odbudowy Warszawy. Rada, powołana dekretem rządu 24 maja 1945 r., była organem o charakterze programowym, gromadzącym przedstawicieli najwyższych władz państwowych i wy-

jednak w znacznej mierze rzutkości i operatywności jego zastępcy ds. organizacyjnych, Józefa Sigalina, przedwojennego komunisty i oficera armii Berlinga. „Koordynował prace związane z planowaniem gospodarczym i przestrzennym, nadzorował 10 wydziałów i trzy sekretariaty, a co najważniejsze – reprezentował BOS publicznie i utrzymywał kontakty z aparatem administracyjnym i politycznym. Dzięki znajomościom w środowisku komunistów to ostatnie przychodziło mu łatwiej niż innym”, pisał jego biograf Andrzej Skolimowski.

profesorowie, będący autorytetami w swoim środowisku”.

Adiutanci wodzów

Wydziałem Architektury Zabytkowej BOS kierował światowej sławy konserwator zabytków prof. Jan Zachwatowicz, w czasie okupacji współpracownik londyńskiej Delegatury Rządu na Kraj. Jednym z najbliższych współpracowników Sigalina został były cichociemny i powstaniec warszawski Stanisław Jankowski. Wspólnie zaprojektowali m.in. Trasę W-Z i most Śląsko-Dąbrowski.

Symboliczny wymiar ma fakt, że w osobach Sigalina i Jankowskiego spotkali się we wspólnej pracy nad odbudową Warszawy adiutanci wodzów konkurencyjnych polskich armii. Ten pierwszy był bowiem przez pewien czas adiutantem gen. Zygmunta Berlinga, drugi – gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego. „Oficerowie, którzy w sierpniu 1944 r. znaleźli się po przeciwnych stronach Wisły, trzy lata później, projektując łączący jej brzegi most, zostali przyjaciółmi

Z 64 kościołów zachowały się cztery.

Choć ściśle kierownictwo Biura Odbudowy Stolicy stanowili zdeklarowani lewicowcy, których w środowisku architektów i urbanistów nie brakowało już przed wojną, do pracy nad odbudową Warszawy udało się włączyć ludzi z różnych środowisk, choćby Politechniki Warszawskiej. Andrzej Skolimowski podkreśla, że „BOS współtworzyli przedwojenni

Prace wykończeniowe na Rynku
Starego Miasta.

- ▶ bitne osobistości życia społecznego. Rola Bieruta wykraczała jednak poza formalne obowiązki z tego tytułu. Jako przedwojenny działacz Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej był mocno zaangażowany w dzieło odbudowy stolicy. To jego opinia przesądziła m.in. o realizacji budzącego kontrowersje projektu Trasy W-Z.

Tak wspominał okoliczności podjęcia tej decyzji Stanisław Jankowski: „Po kilku godzinach referaty i wypowiedzi rzeczoznawców były zakończone. Prezydent wstał i wolno podszedł do stojącej na środku sali makiety. (...) Przyglądał się jej długo. Potem zaczął mówić. Najpierw bardzo cicho, niemal półgłosem, jakby do siebie. Potem coraz głośniejsze, już nie tylko do nas, zgromadzonych na sali, ale do wszystkich ludzi w Warszawie (...). Wiedzieliśmy, że stanął po naszej stronie... Że będziemy budowali Trasę W-Z”.

Ostre polemiki

Biuro Odbudowy Stolicy istniało tylko do 1951 r., jednak jego działania, formujące fundament nowej Warszawy, ukształtowały na trwałe oblicze stołecznej metropolii. Do największych osiągnięć Biura należą bezsprzecznie odbudowa Sta-

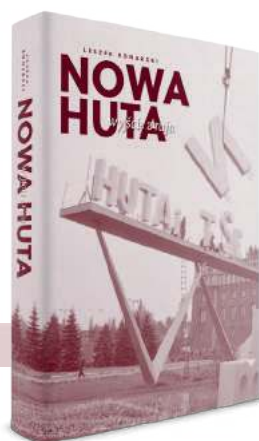


rego Miasta i Traktu Królewskiego, budowa Trasy W-Z, mostów Poniatowskiego i Śląsko-Dąbrowskiego, Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Grzegorz Piątek, autor książki „Najlepsze miasto świata. Warszawa w odbudowie 1944-1949”, uważa jednak, że najważniejszy dorobek ekipy Piotrowskiego, Sigalina i Zachwatowicza to prace planistyczne. „Mimo wielu kompromisów czy

zmieniających się konfiguracji politycznych nadal żyjemy w mieście rozplanowanym przez BOS”, ocenia.

Andrzej Skolimowski zwraca uwagę na fakt, że Biuro działało w szczególnie trudnych warunkach w związku z żywiołowo napływającymi do zrujnowanego miasta rzeszami ludzi. Przyrost liczby ludności był przeogromny. Już w lipcu 1945 r. Warszawa liczyła 395 tys. mieszkańców, a pół roku później aż pół miliona. Omnipotencja BOS powodowała w tej sytuacji rozdarcie między potrzebą doraźnego uporządkowania miasta a opracowywaniem długofalowych wizji rozwoju nowoczesnej metropolii. Często prowadziło to do wewnętrznego konfliktu interesów.

Biuro przejęło bowiem funkcje samorządu miejskiego zarówno w sferze planistycznej, jak i technicznej – od nadzoru nad odgruzowaniem i wyburzeniami wypalonych budynków, aż po przywracanie infrastruktury komunalnej i realizację nowych inwestycji. W gestii BOS znalazło się opracowywanie nie tylko projektów poszczególnych budynków czy osiedli, ale także całościowych planów zagospodarowania przestrzennego. W praktyce była to ogromna władza, polegająca m.in. na prawie decyzji o tym, które obiekty mają zostać odbudowane, a które rozebrane. Budziło to ogromne



49 zł



Tygodnik „Przegląd”
oraz Stowarzyszenie „Kuźnica”
zapraszają na premierowe spotkanie
z Leszkiem Konarskim
poświęcone książce

NOWA HUTA *wyjdzie z raju*

17 marca (wtorek), godz. 17.00
Stowarzyszenie „Kuźnica”
Kraków, al. Słowackiego 44 (parter)

WSTĘP WOLNY

Książka w sprzedaży od 12 marca 2020 r. www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

emocje społeczne, bo niejednokrotnie decyzje te uderzały w prywatne interesy. Odbiciem tego były ostre polemiki prasowe, szczególnie zażarte w okresie funkcjonowania jeszcze opozycyjnych gazet peeselskich.

Dorobek Biura Odbudowy Stolicy budzi zresztą kontrowersje po dziś dzień. Wielu krytyków zarzuca projektantom nowej Warszawy tendencje do zbyt daleko idących wyburzeń zachowanej zabudowy miejskiej, zwłaszcza śródmiejskich kwartałów kamienic z przełomu XIX i XX w. Takie stanowisko reprezentują m.in. warsawianie Jerzy S. Majewski i Tomasz Markiewicz, autorzy głośnej wystawy „Budujemy nowy dom. Odbudowa Warszawy w latach 1949-1952”, prezentowanej w 2011 r. w Domu Spotkań z Historią. „O ileż lepsza byłaby Warszawa z tą ciasną XIX-wieczną ul. Marszałkowską, z zachowaną zabudową niż z dzisiejszą Marszałkowską, która jest niczym innym jak tylko trasą komunikacyjną”, przekonywał w jednym z wywiadów Jerzy S. Majewski.

Najbardziej skrajne, kuriozalne wręcz opinie mówią o „zniszczeniu Warszawy” przez BOS na zlecenie Stalina. Wyrazicielem tego nurtu jest Artur Bojarski, historyk z Muzeum Historycznego w Legionowie, autor książki „Z kilofem na kariatyde. Jak nie odbudowano Warszawy”. Głosi on, że „Warszawa była dla Stalina



Budowa Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej (MDM), widoczna ul. Marszałkowska i wschodnia pierzeja pl. Konstytucji oraz wylot ul. Koszykowej, 1951 r.

wyważone oceny dorobku BOS, podkreślające, że powstające w nim projekty były wyrazem koncepcji dominujących w owym okresie w środowiskach urbanistycznych zarówno w Polsce, jak i w Europie Zachodniej. Także wśród polskiej emigracji. Wskazują, że zniszczone w podobnym stopniu miasta zachodnioeuropejskie, zwłaszcza Rotterdam i Hawr, zostały zbudowane na nowo w stopniu znacznie radykalniej przekraczającym ich przedwojenną tożsamość niż Warszawa, z jej odbudowaną Starówką i Traktem Królewskim.

do życia były znane i rozwijane także nad Wisłą. Rozmyślano zatem nad gestami, które Corbusier nazywał eufemistycznie »chirurgią urbanistyczną«, a które zakładały wymianę starej tkanki na nową. Takie działania przerastały możliwości przedwojennej Polski, ale w sytuacji »likwidacji zabudowy«, która wydarzyła się wbrew naszej woli w efekcie powstania, urbaniści mogli myśleć o realizacji najśmielszych wizji. Tak powstała nowa powojenna Warszawa. (...) Bilans BOS oceniam więc jako bardzo pozytywny, to ojcowie jednego

Zburzone były wszystkie mosty, 95% teatrów i kin. Przemysł i budynki służby zdrowia zostały zniszczone w 90%, sieć tramwajowa w 85%, a jej tabor w 75%, obiekty oświatowe – w 70%.

symbolem, który chciał zniszczyć do końca. (...) Mieszczańskie kamienice były skazane na zagładę przez Stalina i jego otoczenie, ponieważ nie życzyli sobie, aby warszawiacy mieli dokąd wracać i mogli odtworzyć przedwojenny dorobek”. W dyskusji redakcyjnej na łamach magazynu „Mówią Wieki” bezceremonialnie wyraził się o Piotrowskim i Sigalinie: „Ci ludzie stali się wykonawcami woli Stalina, aby Warszawa zmieniała się na wzór miasta sowieckiego. Czy robili to na jego osobisty rozkaz, tego nie stwierdziłem. Natomiast jestem przekonany, że pracowali tak, aby Stalin był zadowolony”.

W kręgu warsawianistów, społeczników i historyków zajmujących się tym tematem, dominują jednak

Zwracają uwagę na polityczne perturbacje towarzyszące pierwszym latom odbudowy, których wyrazem było odgórne narzucenie przez władze państwowe w 1949 r. doktryny socrealizmu, wypierającej popularne w kręgu planistów BOS idee modernistyczne.

Wyrazicielem tej umiarkowanej opinii jest m.in. były wicedyrektor Muzeum Warszawy dr Jarosław Trybuś. „Wielu architektów w Europie już wówczas rozmyślało o nowym, lepszym, modernistycznym mieście, którego zasady wypracowywało grono awangardowych architektów i urbanistów pod wodzą Le Corbusiera. Byli wśród nich także Polacy. Stąd idee radykalnych rozwiązań mających uczynić miasta lepszymi

z największych sukcesów XX-wiecznej Warszawy”, komentował w wywiadzie dla TVN 24.

Dzieło Biura Odbudowy Stolicy zostało docenione za granicą. W 2011 r. akta tej instytucji zostały wpisane na listę „Pamięć Świata” UNESCO, gromadzącą dokumenty o światowym znaczeniu historycznym lub cywilizacyjnym. Są one dostępne w internecie. Ponad 10 tys. zeskanowanych dokumentów BOS z Archiwum m.st. Warszawy, w tym opisy stanu budynków, rejestry zniszczeń i szczegółowe plany konkretnych kwartałów powojennej Warszawy, można odnaleźć w serwisie www.szukajwarchiwach.pl.

Jacek Cezary Kamiński

O Stanisławie Kani (1927-2020)

ANDRZEJ WERBLAN

Odszedł ostatni z żyjących pierwszych sekretarzy KC PZPR. Znałem go dobrze, blisko współpracowaliśmy w czasie całej gierkowskiej dekady 1971-1980 i w pierwszych miesiącach kryzysu solidarnościowego. Był działaczem politycznym nietuzinkowym i człowiekiem ze wszech miar godnym szacunku. W dziejach Polski Ludowej zapisał się dobrze.

Z chłopskiej rodziny i ludowego środowiska wyniósł dobre cechy charakteru: prostolinijność, rzetelność, skromność, prawdość. Osiągnął wysokie stanowiska, ale obce mu były dygnitarskie obyczaje i narowy. Wbrew nawykom ruchu politycznego, w którym działał, nie był doktrynerem, prawda życia była mu zawsze bliższa niż prawda świętych ksiąg.

Odcisnął piętno na historii Polski w kilku ważnych momentach dziejowych. W grudniu 1970 r. w dramatycznym konflikcie na Wybrzeżu z wielką energią i odwagą zaangażował się na rzecz zmiany ekipy rządzącej i polityki. Później w całym gierkowskim dziesięcioleciu, gdy nadzorował z ramienia kierownictwa partii politykę wewnętrzną, dał się poznać jako zwolennik kompromisu i minimalizacji konfliktów. Przyczynił się do uchylecia sądowo-policyjnych konsekwencji wydarzeń marcowych 1968 r. Unikanie ofiar w konfliktach politycznych pozostawało jego nienaruszalną zasadą. Przewidując niepokoje społeczne w wyniku zamierzonej latem 1976 r. podwyżki cen, której bezskutecznie się sprzeciwiał, przeforsował decyzję, że siły porządkowe przeciwdziałające zamieszkom nie będą wyposażone w broń palną.

Zainicjował i przeprowadził zwrot w polityce państwa wobec Kościoła, uchylenie praktycznie wszystkich restrikcji, m.in. w budownictwie sakralnym, oraz normalizację relacji z Watykanem.

Kryzys społeczny zapoczątkowany falą strajków latem 1980 r. sprawił, że kierownictwo partii i kraju znalazło się w jego ręku. Z godnością mierzył się z ciężarem tej funkcji i czasu. I tu szukał kompromisu, zmagając się ze strajkową bezmyślnością Solidarności i nieustanną presją radziecką. Musiał wysłuchiwać pogróżek Breżniewa: *W dubinu tiebia, towarzyszu Kania!* (Łagą by ciebie, towarzyszu Kania!). Trwał w optymizmie, wierzył w możliwość kompromisowego wyjścia z kryzysu. Nie udało się, zapewne nie było możliwe. Odszedł z funkcji, ale przekonania nie zmienił. Nawet sąd posolidarnościowy ścigający go po 20 latach musiał to przyznać.

Takim go znałem i zapamiętałem. Nie wszystko mu się udało, ale jak mógł, to w konfliktach swojego czasu zawsze stawiał po jaśniejszej, bardziej światłej stronie. ■

Stanisław Kania – co go pchało do przodu, co było motorem jego kariery?

– Myślę, że odpowiedź jest prosta: bardzo złe położenie wyjściowe, jako młodego człowieka ze wsi. Pamiętam ten czas, zaraz po wojnie. To wtedy zrodziła się taka zbiorowa ambicja – mówię zbiorowa, bo mnie także ogarnęła, i tysiące innych – żeby wyrwać się ze środowiska wiejskiego, zejść jak najdalej, jak najwyżej. Żadne inne motywy nie mogły wchodzić w grę. Przecież wtedy nie myślało się o tym, żeby zostać ministrem, politykiem wysokiego szczebla. Chodziło o to, żeby się uwolnić od ciężaru życia na wsi, nie być obciążeniem dla rodziny i budować samodzielne życie.

A władza ludowa dawała takie możliwości.

– Tak! To cała tajemnica, nierozumiana dziś przez wielu, jak to się stało, że tamta władza, nazywana ludową, miała jakieś poparcie. Bo oni myślą w kategoriach wyższych wartości, wolności, demokracji itd., a wtedy to nie odgrywało wielkiej roli. Jeśli była jakaś wartość główna – to uczyć się! Bo na wsi wcześniej właściwie nie było żadnej możliwości, by znaleźć się w nurcie awansu oświatowego.

Po wojnie okazja się pojawiła. I trzeba było ją wykorzystać?

– Tak było. Ja przed tą moją rewolucją oświatową pracowałem w różnych miejscach: u gospodarza, bogatego rolnika, w sklepie jako subiekt. Potem, jak tylko wojna się skończyła, pootwieraty się różne drogi życiowe i gdy w Łańcutcie powstało liceum, bardzo ciekawe, wybitne, to szybko się oderwałem od wszystkich wiejskich powiązań i tam poszedłem się uczyć. Myślę, że nasze drogi, moja i Stanisława Kania, są podobne.

Spotkaliście się pierwszy raz w ZMP?

– Tak. Ja przyjechałem do Warszawy z Łańcuta, a on już tu

JÓZEF TEJCHMA

– członek Biura Politycznego KC PZPR (1968-1980), wicepremier w latach 1972-1979, dwukrotnie pełnił funkcję ministra kultury i sztuki (1974-1978, 1980-1982), minister oświaty i wychowania (1979-1980).

działał, na szczuble wojewódzkim. Złączyła nas organizacja młodzieżowa, ZMP.

On nie był przecież pryncypialnym towarzyszem, raczej pragmatykiem.

– Na ogół, jak się myśli o ludziach ze szczubla aparatu partyjnego, to uważa się, że to jacyś dogmatycy. A Kania był człowiekiem praktycznym. I wszędzie, gdzie się znalazł, patrzył na swoje zadania od strony bardzo praktycznej, jak je wykonać. Bez zbędnej ideologii. To była jego zaleta.

Takim go pan zapamiętał?

– Takim go pamiętam i taki mnie przyciągał. Wprawdzie nasze usposobienia trochę się różniły, moje na rzecz oświaty, kultury, jego na rzecz rolnictwa, rozumianego konkretnie, jako produkcja. Ale obaj pochodziliśmy z rejonów wiejskich, więc szybko znaleźliśmy wspólny język.

On w partii nadzorował MSW, a pan kulturę. Między tymi pionami były tarcia.

– W każdym razie nie widziałem go nigdy jako człowieka zakochanego w kulturze, w teatrze. Ważniejsze dla niego były sprawy praktyczne.

Pamięta go pan z grudnia 1970 r.?

– Nie tylko pamiętam, ale i w jakimś sensie wtedy współdziałaliśmy – w odejściu Gomułki i przyjeździe Gierka. Kania był gomułkowcem, tak jak ja. Ale kiedy narastał kryzys, trzeba było działać, by to zatrzymać.

I działaliście.

– To był też strach przed konsekwencjami złej polityki. Najbardziej bałem się tłumy, który

wtargnie do KC i będzie robił swoje porządki.

Kania był mocną postacią za Gierka?

– Był mocny, ale osłabiało go to, że nie miał swojego środowiska. Ja miałem – to była kultura, ludzie kultury, twórcy. A Kania? Co to za środowisko pracownicy SB? Owszem, są wpływowi, ale raczej w tym, żeby coś zablokować, zatrzymać. Kania miał także w opiece wojsko. Ale wojsko miało swojego ministra, więc jego dostęp do generałów, oficerów nie był taki łatwy.

Dlaczego został pierwszym sekretarzem po Gierku?

– Kulis nie znam. Wtedy mnie nie było w kraju, byłem ambasadorem w Szwajcarii.

Ze Szwajcarii wrócił pan do kraju, na stanowisko ministra kultury.

– Po raz drugi! Żegnając się ze Szwajcarią, miałem spotkanie z dziekanem korpusu dyplomatycznego, był nim nuncjusz papieski. Radził mi: „Nie dajcie się pchać w żadne skrajności! Rozwiązujcie swoje sprawy sami!”. Na końcu mnie poświadczył, uściśnił, jakbym szedł na wojnę. A z Kanią... Gdy został pierwszym sekretarzem, napisałem do niego list. Że w kraju zaistniała taka sytuacja, że nie mam nic do roboty w Szwajcarii jako ambasador, ale mogę pomóc w ważnych sprawach w Polsce. I dlatego go proszę, żeby jako pierwszy sekretarz wyraził zgodę na mój powrót. Niekoniecznie musiał ją wyrazić.

Ale wyraził.

– Przyjechałem od razu do KC, do niego do gabinetu. Kania wiedział, że chcę dostać jakieś zadanie, objąć jakieś stanowisko. Od razu więc powiedział, że nie widzi potrzeby ani możliwości mojego powrotu do gmachu KC. Czyli do aparatu partyjnego, na sekretarza czy kogoś tam. Zapytał, co mnie interesuje. To było dla mnie luksusowe pytanie, bo w tych czasach tak nie pytano. Odpowiedziałem, że siłą rzeczy kultura. Byłem ministrem kultury wiele lat i tę funkcję mógłbym pełnić. Ucieszył się, że taką niekonfliktową dla niego propozycję wysunąłem. Od razu sprawa poszła na tory procedur i zostałem ministrem kultury.

Wracał pan ze Szwajcarii jako jego sojusznik?

– Tak. Wracałem jako człowiek Kani. Jako człowiek, który może być mu



Przez większość roku 1981 Stanisław Kania (z prawej) był I sekretarzem KC, gen. Wojciech Jaruzelski premierem, a Mieczysław F. Rakowski wice-premierem.

pomocny w – jak to określił – walce przeciwko skrajnościom.

A on miał poparcie w partii?

– Najsilniejsze poparcie miał w Krakowie. Nie wiem, dlaczego ci z Krakowa Ignęli do niego. Józef Klasa... W Warszawie popierał go Kazimierz Barcikowski. Ale także Mieczysław Rakowski, który oceniał, że Kania się nadaje, że to jest rozwiązanie dobre dla kraju. Że nie jest skrajny, nie lubi walk personalnych, nie jest uzależniony od Mocząra, a to też się liczyło.

Dlaczego Kani się nie udało? Dlaczego musiał odejść?

– To oddzielna sprawa. Po jakimś czasie poprosił mnie o spotkanie. Nie u siebie, ale w gabinecie ministra kultury. W moim. Widocznie miał powody. W tym gabinecie, jakby po koleżeńsku, powiedział mi, że czuje, że zadania stają się coraz bardziej skomplikowane i go przerastają, traci siły. I że myśli o tym, żeby się uwolnić od funkcji pierwszego sekretarza partii. Wprawdzie rozmawialiśmy na równej stopie, ale byłem zaskoczony. Na poziomie pierwszego sekretarza takich oświadczeń się nie składa. Bo albo nim się jest, albo nie jest. Widocznie przestraszył się narastających napięć i podał się do dymisji. W tamtych czasach było to nietypowym gestem. Bo dymisji nie było w ogóle w praktyce! Kania był w pewnym sensie pionierem tego rozwiązania. Jakby chciał uniknąć walk wewnętrznych,

niszczenia ludzi. Jakby zobaczył, że znacznie lepszy na pierwszego sekretarza będzie Jaruzelski. I właściwie on go wymyślił i przymusił do tej funkcji. **Może nie chciał wprowadzać stanu wojennego?**

– Przeczytałem w internecie, że dwa razy sprzeciwił się wprowadzeniu stanu wojennego. Przyjmuję to dzisiaj z większym przekonaniem niż wtedy, kiedy o tym się mówiło i kiedy takie decyzje trzeba było podejmować. Być może znajomość środowiska bezpieczeństwa, a także wojska, uchroniła go przed zbyt dużym zaufaniem do rozwiązań opartych na siłach specjalnych. Był człowiekiem bardzo racjonalnym. Tak to sobie tłumaczył. Wtedy byłem zdumiony. Myślałem, że Kania raczej będzie zwolennikiem stanu wojennego – on, związany z tym środowiskiem. A on podał się do dymisji. Tłumaczyłem ten ruch jego rozczarowaniem najwyższym stanowiskiem, niewiarą w siebie samego, strachem przed odpowiedzialnością. Po latach jego decyzja skojarzyła mi się z wypowiedzią papieża, chyba Jana Pawła I, że prosi Boga, aby przebaczył tym, którzy wybrali go na papieża. Bo to tak odpowiedzialna funkcja, że on boi się ją pełnić. Wtedy pomyślałem o Kani. Dla mnie jego dymisja była dojrzałością do odpowiedzialności. Żeby nie trzymać się stanowiska, które przerażało jego siły.

Rozmawiał Robert Walenciak

Łukasz Grzesiczak
Korespondencja z Bratysławy

W takich chwilach dziennikarze lubią pisać, że skończyła się pewna epoka. W tym wypadku to sformułowanie nie jest na wyrost. Słowacy w wyborach parlamentarnych zdecydowali, że z władzą pożegna się partia Roberta Fico Smer – socjalna demokracja (Kierunek – Socjalna Demokracja). Rządziła ona tym młodym, istniejącym od 1993 r. – nie licząc epizodu państewka uzależnionego od Hitlera – krajem aż 12 lat. Zdobyła władzę w 2006 r. i rządziła do dziś z krótką przerwą na lata 2010-2012, kiedy miała większość w parlamencie, ale bez zdolności koalicyjnej.

O miejsce w 150-osobowym, jednoizbowym parlamencie walczyły 24 ugrupowania (25. wycofało się przed wyborami), ale zasiądzie w nim sześć partii. Zwycięzcą jest partia OĽaNO, czyli Zwyczajni Ludzie i Niezależne Osobistości Igora Matoviča, która wprowadziła 53 posłów. Drugi wynik osiągnął Smer – 38 posłów. Po 17 przedstawicieli będą mieli Sme rodina (Jesteśmy Rodziną) Borisa Kollára, która ponoc reprezentuje tradycyjne rodzinne wartości, choć jej lider ma dziewięcioro dzieci z ośmioma kobietami, i faszystowska Partia Ludowa Nasza Słowacja Mariana Kotleby. 13 posłów mają liberałowie z partii Sloboda a Solidarita (Wolność i Solidarność) Richarda Sulika, a 12 reprezentantów wprowadził były prezydent Andrej Kiska, który stworzył centrową i proeuropejską partię Za ľudí.

By lepiej zobrazować słowacką sytuację polityczną, warto zaznaczyć, kogo w parlamencie nie będzie. Nieobecni to koalicjanci Smeru – partia mniejszości węgierskiej Most-Híd (Węgrzy stanowią 8,5% obywateli Słowacji) oraz prawicowa SNS (Słowacka Partia Narodowa). Nie ma zaskoczenia, taką sytuację przewidywały sondaże. Co prawda, słowackie prawo zabrania ich publikacji na dwa tygodnie przed wyborami, ale ten przepis jest fikcją, bo bez żadnych ograniczeń drukowały je czeskie gazety, a ze względu na bliskość obu języków Słowacy czytają je bez problemu.

Zaskakujący był za to wynik koalicji Progresívne Slovensko-Spolu



TO KONIEC rządów Smeru

Lider zwycięskiej partii Igor Matovič majątku dorobił się jako właściciel lokalnych gazet reklamowych i inwestując na rynku nieruchomości.

Socjaldemokracja oddaje władzę, a Słowacja skręca w prawo

(Progresywna Słowacja-Razem). To z socjalliberalnej PS wywodzi się obecna prezydentka Zuzana Čaputová, która przed rokiem w pierwszej turze wyborów zdobyła ponad 40% głosów. Koalicja PS i Spolu z wynikiem nieco ponad 20% wygrała na Słowacji zeszłoroczne majowe wybory do europarlamentu. Teraz zdobyła ledwie 6,96% i znalazła się poza parlamentem. Nie przekroczyła siedmioprocentowego progu wyborczego dla koalicji, zabrakło jej 900 głosów. W skali kraju to niewiele,

prezydentem partyjnym. Jeden z zagranicznych fotoreporterów, którzy przyjechali relacjonować wybory na Słowacji, na wysłane do sztabu PS-Spolu pytanie, kiedy i gdzie będzie głosować Zuzana Čaputová, otrzymał odpowiedź, że ta jest niezależną prezydentką i politycy jednej partii nie mają informacji na ten temat. Komentatorzy zwracali też uwagę, że prezydentka nie pokazała się na wieczorne wyborczym PS-Spolu, choć byli tam europarlamentarzyści czy popularny prezydent Bratysławy Matúš Vallo, który wywodzi się z tego ugrupowania. PS-Spolu jeszcze kilka miesięcy temu wydawała się najgroźniejszym przeciwnikiem Smeru, a trzon nowego rządu mieli stworzyć socjalliberałowie i partia Andreja Kiski. Obie formacje są zdecydowanie prodemokratyczne i proeuropejskie,

Media wielokrotnie informowały o defraudacjach środków z UE przez biznes powiązany ze Smerem.

zwłaszcza że od momentu ogłoszenia wyników do PS-Spolu napływają informacje od sympatyków o rzekomych błędach w liczeniu głosów. Politycy tego ugrupowania rozważają zgłoszenie protestu wyborczego.

Na Słowacji niemal wszyscy zastanawiają się, skąd ta porażka socjalliberałów. Politolodzy podkreślają, że Zuzana Čaputová zdobyła poparcie dzięki charyzmie, której brak liderom PS-Spolu. Wiele się mówi o różnicy zdań między prezydentką a liderami. Čaputová nie jest

a wielu komentatorów uznaje za błąd, że ich przedstawiciele nie stworzyli wspólnej listy wyborczej.

Odsunięcie od władzy Smeru niektórzy przyrównali do pokonania słowackiego premiera Vladimíra Mečiara, który pchał Słowację w objęcia totalitaryzmu, a jego współpracownicy dopuszczali się różnych nagannych czynów – porwali np. syna prezydenta. Czy to jest porównanie na wyrost? Robert Fico przez lata miał dwie twarze. Za granicą widzieliśmy proeuropejskiego poli-

tyka, za czasów którego na Słowacji wprowadzono euro. Kiedy w Polsce, Czechach i na Węgrzech straszono kanclerką Merkel, uchodźcami i Brukselą, Fico deklarował, że chce, by Słowacja jak najszybciej dołączyła do rdzenia UE, i nie protestował przed przyjęciem uchodźców. Jednak Słowacy widzieli w nim również polityka, który rządzi partią uwikłaną w niejasne interesy i korupcję. Według ogłoszonego w 2020 r. przez Transparency International Indeksu Percepcji Korupcji problem ten na Słowacji jest ogromny. Zajmuje ona dalekie 59. miejsce na liście najmniej skorumpowanych państw świata. Polska jest na 41. miejscu. Słowackie media wiele razy informowały o defraudacjach środków z UE przez biznes powiązany ze Smerem.

Wielu Słowaków ma więc Smer za partię korupcji. Fico tłumaczy, że zawsze w otoczeniu partii, która rządzi od 12 lat, znajdują się osoby nieuczciwe. Jego przeciwnicy pytają zaś, ilu jeszcze takich nieuczciwych polityków musi się pojawić, by uznać Smer za przesiąknięty korupcją. Czarę goryczy przelało zabójstwo dziennikarza śledczego Jána Kuciaka, który pisał o korupcji na najwyższych szczeblach władzy. To po jego morderstwie dwa lata temu w całej Słowacji protestowało ponad 100 tys. ludzi żądających dymisji Ficy. Ten musiał oddać władzę, ale nie zdecydował się na przedterminowe wybory, został szefem partii, a stanowisko premiera objął jego bliski współpracownik Peter Pellegrini. Od tego czasu Smer, atakowany z pozycji liberalnych, demokratycznych i proeuropejskich, musiał pisać o przesuńnię na prawo i łowić wśród wyborców populistycznych i antysystemowych. Było to widoczne, kiedy kandydat Smeru w wyborach prezydenckich, dyplomata i eurokomisarz Maroš Šefčovič, w walce z Zuzaną Čaputovou musiał puszczać oko do eurosceptyków i nagle stać się wyznawcą konserwatywnych wartości.

Dlatego wielu obawiało się po tych wyborach parlamentarnych rządu stworzonego przez Smer i Partię Ludową Nasza Słowacja Mariana Kotleby. Faszyści są stałym elementem krajobrazu politycznego Słowacji. Kotleba w 2016 r. wprowadził swoich polityków do parlamentu, w 2019 r. zajął trzecie miejsce w wyborach do

europarlamentu, a w 2013 r. sam wygrał wybory bezpośrednie na marszałka województwa bańskobystrzyckiego. W zeszłym roku sąd odmówił delegalizacji jego partii, choć przeciw Kotlebie toczy się rozprawa za promowanie faszyzmu.

Rząd prawdopodobnie stworzą jednak cztery partie z Igorem Matovičem na czele, a Smer i Partia Ludowa Nasza Słowacja znajdą się w opozycji. Jeśli Andrej Kiska, który jeszcze się waha, wejdzie do koalicji, ta będzie miała większość konstytucyjną.

Nowy rząd będzie konserwatywny. Zagrożone są prawa mniejszości węgierskiej i prawa kobiet, np. do aborcji.

Kim jest Igor Matovič, który niespodziewanie wyrósł na najgroźniejszego oponenta Roberta Ficy? Od 10 lat jest postem, ale udało mu się wmówić ludziom, że nie ma nic wspólnego z klasą polityczną i będzie patrzył jej na ręce. To typowy populistą, na swoje listy wpuścił polityków, którzy reprezentują szerokie spektrum poglądów. Są wśród nich aktywiści religijni i przeciwnicy aborcji. Dlatego wielu obawia się, że nowy rząd – biorąc też pod uwagę jego koalicjantów – będzie konserwatywny. Podczas kampanii wyborczej Matovič postawił na jeden temat – walkę z korupcją. Wykorzystywał przy tym niestandardowe sposoby komunikacji. Przed siedzibą rządu wraz z zespołem rozdał ludziom 5 tys. świeczek – za tych, którzy z powodu skorumpowanej słowackiej służby zdrowia stracili życie. Chodził po parlamencie w koszulce z napisem: „Fico chroni złodziei”, publikował wideo na żywo z Cannes, sprzed willi byłego ministra Smeru, który ponoć kupił ją za państwowe pieniądze.

Matovič jest byłym przedsiębiorcą, majątku dorobił się jako właściciel lokalnych gazet reklamowych i inwestując na rynku nieruchomości w Trnawie. Kiedy wszedł do polityki, przepisał majątek na żonę. „W oświadczeniu majątkowym nie ma nic, a do żony należy połowa Trnawy”, pisali dziennikarze. Matovič odpowiadał, że nigdy nie ukrywał, że był przedsiębiorcą.

„Rząd Matoviča będzie konserwatywny. Moim zdaniem sukcesem będzie, jeśli w kwestiach mniejszości uda się utrzymać *status quo*.

I nie mówię tylko o mniejszości węgierskiej, ale także o kobietach i ich prawie do aborcji czy o parach homoseksualnych. Prawdopodobnie Matovič będzie się starał to zrehabilitować, działając w obszarze sprawiedliwości i być może służby zdrowia (...). Innymi słowy, będzie się starał pokazać, że mamy inne ważne sprawy do rozwiązania i z tymi jest w stanie sobie poradzić”, uważa słowacki politolog Pavol Baboš. Ekspert podkreśla, że partia Sme rodina już zapowiada, że jeśli jakiś projekt

uzna za słuszny, będzie głosować za nim, nawet jeśli w koalicji będzie panował przeciwny pogląd. A to istotne, ponieważ kotlebowcy na pewno będą w ciągu najbliższych czterech lat proponować różne projekty, testując zgodność koalicji.

Czy rząd będzie prozachodni i proeuropejski? „W porównaniu z Węgrami i Polską – minimalnie tak. Matovič zarówno w kampanii przed wyborami, jak i teraz był stosunkowo proeuropejski. Podobnie jak Za ľudí, SaS i Sme rodina. Choć SaS – najmniej, ich można by właściwie określić jako partię eurosceptyczną, ale w koalicji będą najstabsi, więc nie powinni mieć dużego wpływu na geopolityczną orientację rządu”, mówi Pavol Baboš. ■



Jakub Dymek

Bernie i Biden, czyli walka o duszę demokratów

W prawyborach prezydenckich Amerykanie wybierają dziś więcej niż konkurencję dla Trumpa

Naprzeciw siebie stoją zamaskowani kowboj i bandyta – chusty na ich twarzach nie pozwalają z daleka odróżnić, kto jest kim. Jeden celuje do drugiego z broni, obaj trzymają się na muszce, wszyscy są w tej sytuacji zakładnikami. To klasyczny *Mexican standoff*, patowa sytuacja znana z westernów i przechowana w zbiorowej wyobraźni dzięki filmom Tarantina, serialom Netflixa i grom wideo.

Z czymś podobnym mamy do czynienia dzisiaj w amerykańskich prawyborach. W grze o nominację prezydencką, najważniejszy przystanek na drodze do Białego Domu, ostatecznie zmierzają się – o ile nie wydarzy się jakiś kataklizm, o co teraz nietrudno – Joe Biden i Bernie Sanders. Łączy ich to, że są białymi facetami po siedemdziesiątce, którzy nie lubią Trumpa, dzieli natomiast ocean różnic ideowych i kilkadziesiąt lat odmiennych doświadczeń w polityce. I to ci kandydaci zwarli się w klinczu, którego przełamanie może także rozbić całą Partię Demokratyczną.

Ale żeby zrozumieć, co właśnie się stało w prawyborach, które wyłonią kontrkandydata Donalda Trumpa i rozstrzygną los amerykańskich liberałów na kolejne lata, jeśli nie dekady, trzeba się cofnąć dalej niż do ostatniej rundy prawyborów i spojrzeć na sytuację z pewnego dystansu.

Cała naprzód czy zwrot o 180 stopni?

Amerykańskie wybory prezydenckie są prawie zawsze starciem zmiany z kontynuacją – to oczywistość, ale bardzo istotna. Jedną z partii, najczęściej tą, która ma kontrolę nad administracją, obiecuje trwanie przy aktualnym kursie, ewentualnie z korektą czy próbą nadrobienia zaległości z kilku poprzednich lat. Konkurenci zaś wychodzą z obietnicą radykalnego zerwania, tektonicznej zmiany czy nowego otwarcia, co nie tylko ma sens marketingowy, ale również jest głęboko umocowane w amerykańskiej tradycji politycznej, która cała wypływa przeciw z obietnicy Nowego Świata.

Barack Obama, który odniósł spektakularne zwycięstwo w wyborach prezydenckich w 2008 r., był w swoim czasie reprezentantem zmiany. Świetnie wykształcony prawnik, złote dziecko merytokracji i pierwszy niebiały prezydent, rzeczywiście wnosił nowego ducha i inną kulturę polityczną do Białego Domu. O czym jednak mówi się dużo rzadziej, a co pomógł przysłonić olbrzymi entuzjizm towarzyszący Obamie, to fakt, że senator z Illinois był raczej partyjnym centrystą, człowiekiem umiarkowania, namysłu i kompromisu. A mimo niebywałych umiejętności retorycznych politykiem dalekim w codziennej praktyce od widowiskowych gestów i górnolotnych deklaracji. Republikanie i medialna prawica – od szarlatanów w rodzaju Alexa Jonesa po arcypopularną telewizję Fox – przedstawiali Obamę jako radykała, komunistę i skrajnego lewaka. W rzeczywistości trudno było o demokratę bliższego republikańsko-liberalnemu centrum amerykańskiej polityki. Dziś, po ponad dekadzie od jego wyboru, demokraci są bardziej podzieleni w kwestii tego centrowego kursu niż czegokolwiek innego. Dlatego problem kontynuacji i zmiany, nad którym się pochylają, dotyczy wcale nie Trumpa, ale właśnie dziedzictwa Obamy.

Badania – choćby niedawny panel HuffPost/YouGov – pokazują, że liczni młodszy wyborcy chcą kandydata lub kandydatki bardziej na lewo niż ostatni demokratyczny prezydent. Twierdzi tak 42% badanych poniżej trzydziestki i kolejne 25% osób powyżej 30. roku życia. Z kolei im wyborcy starsi, tym bardziej skłonni są zwracać uwagę na wybieralność kandydata, czyli ocenę szans we właściwych wyborach prezy-

denckich, a nie na jego propozycje programowe. To drugie bywa więc uznawane za synonim umiarkowania, bo zwolennicy tego stanowiska idą o zakład, że tylko ktoś zdolny przekonać do siebie także część prawicy zdoła odebrać Białą Dom Trumpowi. Najpoważniejsi kandydaci – z wyjątkiem miliardera Mike’a Bloomberg, którego niekonwencjonalne podejście do kampanii to osobny temat – podzielili się zatem na początku 2020 r. na dwa obozy.

Młody poliglota, weteran wojenny, dziecko profesorskiej pary i burmistrz miasta South Bend w stanie Indiana, Pete Buttigieg, ustawił się pośrodku stawki. Wygadany i świeży, pełen optymizmu, ale centrowy i niechętny przesadnie lewicowym pomysłom – wiadomo, skąd czerpał inspiracje. Niektórzy dowodzili zresztą, że nawet naśladował styl i tempo mówienia Obamy. Obok niego w obozie kontynuacji znalazł się naturalny wybór dawnych zwolenników Obamy, Joe Biden, wiceprezydent za jego czasów, weteran polityki i, jak sam chce się przedstawiać, urodzony i twardy negocjator. Ktoś ze środka establishmentu, ale pozujący na swojaka i przyjaciela zwykłych ludzi, o aparycji i stylu mówienia dobrego, nawet jeśli nieco już irytującego wujka.

Naprzeciwko mamy parę kandydatów „zmiany” – polityczkę i polityka jasno deklarujących się jako krytyczni wobec dziedzictwa Obamy, domagających się wprowadzenia wielkich reform systemowych i aktywnego działania administracji rządowej. Prof. Elizabeth Warren to specjalistka od upadłości konsumenckiej i przeciwniczka Wall Street, która miała pomóc Obamie w pokrywającym sprzętaniu, ale ostatecznie



I Bernie Sanders (z lewej), i Joe Biden są najbardziej „kompletnymi” reprezentantami postaw i pomysłów na politykę poddawanych dziś próbie przez demokratów.

została z niego wykluczona jako zbyt ostra. A także ta kobieta w demokratycznej polityce, która na wszystko ma plan i jest w stanie każdy pomysł uargumentować zdecydowanie i konkretnie.

I wreszcie kandydat, który nie potrzebuje żadnych chyba słów wprowadzenia: Bernie Sanders, senator z północnego stanu Vermont, określający się jako demokratyczny socjalista. I choć jego propozycje uchodziłyby w Europie za właśnie taki socjaldemokratyczny i umiarkowany pakiet, Bernie jest największym od długiego czasu radykałem mogącym liczyć na nominację jednej z dwóch liczących się partii w wyborach prezydenckich.

Czy może więc dziwić, że to do tych dwóch panów – Bidena i Berniego – zawężił się wyścig prawyborczy? Obaj są najbardziej „kompletnymi” reprezentantami postaw i pomysłów na politykę poddawanych dziś próbie przez demokratów.

Zadowoleni i kontestatorzy

Demokraci nie wybierają już wyłącznie najlepszego kandydata na wybory. Każda karta wyborcza i stanowisko na konwencji jest również głosem za takim lub innym programem i drogą Partii Demokratycznej w USA.

Jedni twierdzą, że dobrze jest, jak jest. Ich zdaniem Partia Demokratyczna podejmuje słuszne decyzje, wygrana Hillary Clinton w głosowaniu większościowym w 2016 r. (przegrała z Trumpem wskutek odmiennej niż nasza ordynacji, która opiera się na głosach elektorów) i skuteczne odwojowanie Izby Reprezentantów dwa lata później dowodzą, że zasadniczy kurs jest właściwy. Może partię trzeba bardziej sfeminizować i nieco

Program Sandersa to rozmach i wizja, Bidena – pragmatyzm i kompromis z rzeczywistością.

wyostrzyć język, oprzeć się na charyzmie kilkorga polityczek i polityków, którzy w spektakularny sposób stawiają opór Trumpowi, ale generalnie jest dobrze. Trumpa trzeba najpierw odsunąć od władzy, a potem będzie czas na dyskusję programową – sugerują niektórzy, w słowach kojarzonych też, choć z innego kontekstu, przez każdego obserwatora polityki w Polsce. Patronem tego ruchu jest dziś Joe Biden.

Drudzy udowadniają, że droga środkiem prowadzi donikąd – partia miała dość okazji, żeby przetestować „kompromisowe” rozwiązania, za każdym razem ponosząc porażkę. Właśnie nieudana kampania Hillary Clinton służy zwolennikom bardziej

radykalnego skrzydła za koronny dowód: partia wystawiła już najbardziej doświadczoną, zajmującą najwyższe państwowe stanowiska, najlepiej umocowaną zarówno w krajowej, jak i światowej polityce kandydatkę do wyborów i co? Miała poparcie mediów, partii, bogatych darczyńców, a przegrała z klaunem z *reality show*, który początkowo wybory prezydenckie potraktował jak rodzaj kampanii reklamowej dla swojego nazwiska i marki. Skrajna niechęć do polityki, jaką znamy, spowodowała, że ludzie skłonni byli wybrać kogośkolwiek, byle nie tradycyjnego polityka – mówią na przekór centrystom zwolennicy zmiany.

Zdaniem tych drugich właśnie *status quo* doprowadziło do największych nieszczeń ostatnich lat: wygranej Trumpa, ale i dalszej korupcji amerykańskiej polityki, rozczarowania demokracją jako taką, pozbawiania kolejnych grup Amerykanów praw wyborczych, rosnącego rasizmu, ksenofobii i politycznej przemocy. Trzeba kandydata – twierdzą – który różni się od całej klasy politycznej klarownością sądów i bezkompromisowością w działaniu, który nie jest zakładnikiem interesów i układów krępujących każdą administrację w Waszyngtonie od dziesięcioleci. Ich wyborem, kandydatem zmiany dotychczasowej polityki demokratów, jest oczywiście Sanders. Dodajmy, że dostał się on

do Senatu jako kandydat niezależny i tylko na czas wyborów zapisuje się do demokratów.

Spór między tymi dwoma kandydatami i obozami ich zwolenników, wtłoczony w takie ramy, siłą rzeczy dotyczy w większym stopniu tego, co sobą reprezentują, niż różnic programowych. Ale te również widać. Program Sandersa to rozmach i wizja, Bidena – pragmatyzm i kompromis z rzeczywistością. Były wiceprezydent u Obamy uważa, że należy zagwarantować dwa lata bezpłatnej edukacji wyższej, zapewnić wszystkim rządowe lub prywatne ubezpieczenie zdrowotne i redukcję długu studenckiego. Bernie jest za zapewnieniem jednego i drugiego – opieki ▶

► zdrowotnej i edukacji wyższej – z pieniędzy budżetowych poprzez wprowadzenie państwowego ubezpieczyciela i nieodpłatnego college'u. Do tego jego program przewiduje umorzenie... ponad 1,5 bln dol. (!) długu osób prywatnych za opiekę zdrowotną i uczelnie. Program Bidena skłonni są poprzeć w Kongresie umiarkowani i doświadczeni demokraci, Sandersa mniejsza, ale bardziej medialna i wyrazista ekipa debiutantek i debiutantów.

Zjednoczonych była ich zdolność do zniszczenia siebie nawzajem (i całego świata przy okazji).

Im dłużej trwa prawyborczy wyścig i im mocniej atakować się będą w najbliższej przyszłości obaj kandydaci, tym większe będą wewnętrzne antagonizmy w Partii Demokratycznej. A mówiąc wprost, tym bardziej będą się nie znosić obozy progresywny i centrowy, zwolennicy jednego kandydata będą czuć wyjątkowo większy wstręt do kandydata

wencji wyborczej i odmowa poparcia jednego z kandydatów byłaby z pewnością bardzo spektakularne, ale konsekwencje takiego wydarzenia zamknęłyby się w jednym cyklu wyborczym. Demokraci przegraliby sromotnie, jak zresztą zdarzało się każdej partii, która w wyniku wewnętrznych nieporozumień stawiała w obliczu podobnego problemu. Rozbicie partii „po skrzydłach”, na socjalistyczne i liberalne, po ewentualnej porażce partyjnego nominata jest wciąż mało prawdopodobne – niosłoby natomiast konsekwencje nie na lata, lecz na dekady. Nie da się jednak zaprzeczyć, że podział ten istnieje i mało kto ma pomysł, jak sobie z nim poradzić i jak pogodzić sprzeczne impulsy. Toksyczna dyskusja w internecie i wielkie emocje, jakie kandydaci wywołują u najzagorzalszych fanów, nie pomagają.

Złośliwi mogliby dodać, że bratobójcza wojna między Bidenem a Sandersem – i między obozami ich zwolenników – jest niestety symptomatyczna dla dzisiejszej lewicy, która lepiej sobie radzi z wyszukiwaniem wewnętrznego wroga i celebrowaniem małych różnic, nawet w obliczu wielkiego i całkiem realnego zagrożenia. Byłaby to opinia surowa, bo różnice polityczne faktycznie mają znaczenie, ale nie bezpodstawna –

Liczni młodszy wyborcy chcą kandydata lub kandydatki bardziej na lewo niż ostatni demokratyczny prezydent.

Nietrudno wobec tego wyobrazić sobie, jak spolaryzowana jest dyskusja zwolenników obu programów. To, co dla jednych jest konieczne, dla drugich oznacza utopię. I *vice versa* – to, co wyborcy jednego kandydata uznają za racjonalny kompromis, stronnicy drugiego mają za tchórzstwo i uleganie grupom wpływu.

Doktryna wzajemnego zniszczenia

I tu wracamy do obrazka z dwoma rewolwerowcami. Dopóki wylącznie w siebie celują, równowaga zostaje utrzymana. Gdy jeden zdecyduje się pociągnąć za spust, niechybnie zrobi to drugi, a obaj mogą skończyć w piachu. Wyścig prezydencki nie będzie miał (oby!) dla nikogo podobnie zabójczych konsekwencji, ale mechanizm wzajemnego szantażu naprawdę tu działa. Jak za czasów zimnej wojny, gdy największym odstraszcaczem dla Związku Radzieckiego i Stanów

drugich. Na sile przybiera ruch #BernieOrBust, czyli Bernie albo nic, ale niechęć działa w dwie strony.

Niedawno prof. Dan Hopkins (który bada od 12 lat nastroje demokratów u tej samej, niezmienniej grupy respondentów) opublikował analizę wskazującą, że 8% wyborców Bidena w ogóle nie poprze w głosowaniu demokratów, jeśli ten nie uzyska nominacji, a kandydatem okaże się Sanders. To wiadomość o tyle przełomowa, że pokazuje na liczbach coś, co obserwatorzy dyskusji amerykańskiej lewicy w internecie wiedzili od lat – że politycy dorobili się fanów, a nie wyborców, bardziej ceniących

Bratobójcza wojna między Bidenem a Sandersem – i między obozami ich zwolenników – jest symptomatyczna dla dzisiejszej lewicy.

konkretnego polityka czy polityczkę niż ogólne powodzenie partii w wyborach, a nawet perspektywę odsunięcia przeciwników od władzy.

Te kilka procent niechętnych w przypadku jednego i drugiego oznacza miliony straconych głosów w skali kraju, a o przegranej Hillary Clinton cztery lata temu zdecydowało ledwie kilkadziesiąt tysięcy głosów w trzech kluczowych stanach. Studiowanie dzisiejszej demografii jest ciekawe i przynosi interesujące, czasem sprzeczne wnioski na temat nadchodzącej kampanii. Ale fakt, że wyborcy Berniego mogą utopić Bidena i odwrotnie, nie podlega już chyba dyskusji.

Zdeterminowani stronnicy jednego albo drugiego mogą doprowadzić nawet do mniej lub bardziej dotkliwego rozłamu. Rozłam na kon-

zafascynowani efektywnym procesem prawyborczym sympatycy lewicy gonią za króliczkiem, nie zawsze pamiętając, że kiedyś trzeba spróbować go złapać.

Złośliwość czy nawet życzliwa kpina nie są jednak w stanie oddać sprawiedliwości wyborowi, jakiego muszą dokonać demokraci. A jest on ważny. Ponad 10 lat po kryzysie gospodarczym i ogłoszeniu najważniejszych projektów Obamy, ostatnim momencie globalnej hegemonii centrolewicy, po którym zaczął się uwieńczony sukcesem marsz po władzę prawicowych populistów, świat z uwagą patrzy na amerykańskich demokratów i ich decyzje.

Czy iść dalej środkiem drogi, czy jednak skrócić w lewo.

Jakub Dymek



Lech Miodek

Kubański lek w walce z koronawirusem w Chinach

Kuba może wysyłać personel medyczny do innych krajów

25 stycznia interferon alfa-2b, znany pod handlową nazwą Heberon Alfa R, został wybrany przez chińskie ministerstwo zdrowia jako jedno z 30 lekarstw do walki z epidemią COVID-19. Ponieważ na koronawirusa nie ma skutecznej szczepionki, w leczeniu stosuje się połączenie leków przeciwwirusowych z produktami tradycyjnej medycyny chińskiej oraz leki przeciwgorączkowe i inne likwidujące objawy.

Produkcja Heberonu Alfa R ruszyła 5 lutego w chińsko-kubańskiej firmie farmaceutycznej Chang-Heber w Changchun w prowincji Jilin w północno-wschodnich Chinach. Ten antywirusowy lek jest powszechnie stosowany w przypadkach zapalenia wątroby typu B i C, kłykcin kończystych i nawracających brodawczaków oddechowych wytwarzanych przez wirusa brodawczaka ludzkiego (HPV).

Heberon Alfa R nie jest jedynym innowacyjnym lekiem opracowanym na Kubie. Rolando Pérez Rodríguez, dyrektor ds. nauki i innowacji firmy BioCubaFarma, zarządzającej 12 zakładami farmaceutycznymi, które w 2019 r. dostarczyły na rynek 357 lekarstw, w wywiadzie dla hawańskiego dziennika „Granma” poinformował, że w fazie realizacji znajdują się 102 projekty, w tym 75 innowacyjnych. Firma produkuje m.in. szczepionkę terapeutyczną HerberSavax, będącą w II fazie badań klinicznych nad nowotworami jajnika i rakiem wątroby. Lek ogranicza tworzenie naczyń krwionośnych w guzie, a tym samym dostarczanie do niego składników odżywczych i tlenu, co prowadzi do zahamowania wzrostu guza. Niedługo rozpocznie się także I faza badania klinicznego immunomodulującego biofarmaceutyku opracowanego w Centrum Immunologii Molekularnej dla pacjentów z guzami litymi. Na początkowym etapie badań klinicznych jest ponadto pięć innych leków, które będzie można wykorzystać w leczeniu onkologicznym.

Opracowywane są nowe leki stosowane w chorobach sercowo-naczyniowych i mózgowo-naczyniowych. Na przykład kombinacja terapeutyczna CIGB 845, peptyd plus

rekombinowane białko, jest w II/III fazie badania klinicznego u pacjentów z udarem krwotocznym. Z kolei pacjenci z ostrym zawałem mięśnia sercowego biorą udział w II fazie badania klinicznego leku CIGB 500 o silnym działaniu kardioprotekcyjnym.

Osiągnięciem jest ustalenie, że erytropoetyna, hormon, który stymuluje produkcję czerwonych krwinek i zwiększa stężenie hemoglobiny we krwi, działa również na komórki mózgu. Centrum Immunologii Molekularnej (CIM) we współpracy z Centrum Badań



Chińskie ministerstwo zdrowia wybrało 30 leków do walki z epidemią, w tym Heberon Alfa R.

i Rozwoju Medykamentów (CIDEM) opracowało nowy preparat rekombinowanej erytropoetyny (NeuroEPO). Obecnie prowadzona II faza badań klinicznych dotyczy schorzeń układu nerwowego, w tym choroby Parkinsona i choroby Alzheimer. Są też inne innowacyjne produkty, które wykazały działanie terapeutyczne w chorobie Alzheimer, jak CIDEM 164 – cząsteczka, która hamuje tworzenie płytek beta-amyloidowych.

Kubańska medycyna od lat stoi na wysokim poziomie. W 1985 r. opracowano tu i wdrożono pierwszą i jedyną szczepionkę przeciw zapaleniu opon mózgowo-rdzeniowych typu B. Wypracowano nowe metody leczenia zapalenia wątroby typu B, stopy cukrzycowej, bielactwa i łuszczycy. Opracowano dwie szczepionki prze-

ciwko rakowi płuc, testowane obecnie w Stanach Zjednoczonych. Kuba jest też pierwszym krajem na świecie, gdzie wyeliminowano przenoszenie wirusa HIV z matki na dziecko. Światowa Organizacja Zdrowia uważa, że kubański system medyczny jest najlepszy w Ameryce Łacińskiej i znacznie przewyższa średnią światową.

To wynik ogromnych nakładów budżetowych. W 2019 r. wyniosły one 10,57% PKB (drugą pozycję zajęła oświata). Procentowo było to więcej niż w USA, Niemczech, Francji czy w Polsce (4,86% PKB). W 2014 r. Kuba zajmowała trzecie miejsce na świecie pod względem liczby lekarzy – ponad 67 na 10 tys. ludności. Więcej było tylko w Katarze i Monako, w Polsce w 2019 r. – 36.

Ta liczba lekarzy powoduje, że Kuba może wysyłać personel medyczny do innych krajów, w ramach misji pomocowych do miejsc, które dotknęły katastrofy

naturalne lub gdzie wybuchły epidemie. Po raz pierwszy kubańscy lekarze pojechali w 1960 r. do miasta Valdivia w Chile, zniszczonego wskutek trzęsienia ziemi. W 2014 r. brygada lekarzy im. Henry'ego Reevesa pomagała mieszkańcom Liberii, Sierra Leone i Gwinei w czasie epidemii eboli. Według Kubańskiej Agencji Wiadomości, od 1960 r. w misjach medycznych uczestniczyło ponad 300 tys. lekarzy i personelu pomocniczego w 158 krajach Ameryki Łacińskiej, Afryki i Azji. Obecnie ok. 50 tys. członków personelu medycznego przebywa w 67 krajach. Pomoc medyczna dla zagranicy stanowi największe źródło dochodów Kuby – przynosi rocznie ok. 8 mld dol., więcej niż turystyka. To również ważne narzędzie dyplomacji, element zdobywania międzynarodowego uznania. ■

Ubóstwo gorsze niż pusty portfel

Nawet pół miliarda kobiet na świecie nie ma dostępu do produktów higienicznych, a miesiączki wykluczają je ze społeczeństwa

Mateusz Mazzini

Susan, której imię zostało zmienione przez autorów badań ze Światowego Forum Ekonomicznego, jest ugandyjską nastolatką. Na co dzień uczęszcza do jednej ze szkół założonych przez zachodnie organizacje pozarządowe i utrzymywanych z datków charytatywnych i grantów rozwojowych. Zająć stara się nie opuszczać, bo doskonale wie, ile w jej życiu może zmienić edukacja. Mimo to co miesiąc nie ma jej w szkole przez trzy-cztery dni, czasami dłużej. Jej nieobecności przydarzają się regularnie, prawie jakby były z góry zaplanowane, cykliczne. Użycie tego ostatniego słowa nie jest przypadkowe, bo rzeczywiście Susan omija szkołę z powodu cyklu – cyklu miesiączkowego.

Według WHO problem wykluczenia z powodu braku artykułów higienicznych dotyka ponad 500 mln kobiet.

Na całym świecie wykluczeniem z funkcjonowania zawodowego i edukacyjnego z powodu tzw. ubóstwa miesiączkowego, czyli braku dostępu do artykułów higienicznych i środków medycznych lub do odpowiedniej wiedzy o możliwościach i zasadach ich stosowania, dotkniętych jest ponad 500 mln kobiet co miesiąc – szacuje Światowa Organizacja Zdrowia (WHO). Ten rodzaj ubóstwa ma szczególne konsekwencje, bo odbija się na kobietach nie tylko w sposób materialny. Młode dziewczyny nie chodzą do szkoły, a dorosłe kobiety do pracy nie tylko z powodu bólu menstruacyjnego, ale też ze wstydu, że ich stan będzie widoczny dla wszystkich wokół. Nierzadko są również stygmatyzowane, mimo że miesiączka nie jest chorobą, a kobieta nie wybiera przecież, że chce ją przechodzić. Według badań przeprowadzonych przez działającą w Stanach Zjednoczonych inicjaty-

wę THINX aż 58% kobiet w Ameryce przynajmniej raz w życiu doświadczyło publicznego wyśmiewania i upokarzania z powodu miesiączki.

W dyskusji o ubóstwie miesiączkowym fundamentalne znaczenie ma fakt, że jest ono zjawiskiem naprawdę światowym. Stereotypowo przypisuje się je głównie krajom tzw. globalnego Południa, czyli państwom ubogim, z problemami sanitarnymi i niskim odsetkiem uczestnictwa kobiet w rynku pracy i życiu publicznym. I owszem, w tych częściach świata sytuacja jest absolutnie dramatyczna. Niemal 68% kobiet mieszkających w krajach uznawanych za rozwijające się co miesiąc mierzy się z trudnościami medycznymi i higienicznymi z powodu miesiączki. Kolejne 20% napotyka te trudności średnio raz na dwa-trzy miesiące – wynika z badań zespołu naukowców

kolwiek artykułów sanitarnych czy tabletek przeciwbólowych.

Mylne jest jednak założenie, że łatwiejszy dostęp do tych produktów rozwiąże problem ubóstwa miesiączkowego. Przypadek wspomnianej Susan doskonale pokazuje, że dostępność środków higienicznych musi iść w parze ze zmianą norm edukacyjnych. Ugandyjka bowiem otrzymała od jednej z działających w tym kraju agencji pomocowych opakowanie z podpaskami wielokrotnego użytku, możliwymi do wyprania i ponownego zastosowania. Mimo to paczki nigdy nie otworzyła – ze strachu. Wśród jej koleżanek zaczęła krążyć plotka, że podpaski te są nasączone kwasem, środkami powodującymi bezpłodność albo wręcz prowadzącymi do kalectwa i śmierci. Nie wiedziała, że może ich użyć bez żadnych negatywnych konsekwencji dla zdrowia. Dopiero po rozmowie z edukatorkami w szkole przyznała się, że nie korzysta z podpasek.

Inną barierą sprawiającą, że kobiety, zwłaszcza młode, decydują się porzucić aktywność społeczną i pozostać w domu w czasie miesiączki, jest strach przed nieefektywnością środków higienicznych. Innymi słowy, krwawienie może się okazać zbyt obfite i stan kobiety czy dziewczynki będzie widoczny gołym okiem dla współpracowników bądź znajomych z klasy. To kolejny aspekt, w którym ubóstwo miesiączkowe przenika dawne i obecne granice polityczne i ekonomiczne, bo dotyczy kobiety w krajach bogatych i biednych. Lizzie Goolden, badaczka z angielskiego Uniwersytetu w Leeds, porównywała społeczną stygmatyzację miesiączek w Wielkiej Brytanii i krajach Afryki Subsaharyjskiej. Wyniki jej badań jednoznacznie pokazują, że wstyd z powodu tych dolegliwości jest tak samo silny na całym świecie. „Jedna z angielskich uczestniczek mojego badania opowiedziała mi o swojej siostrze, która panicznie bała się, że w czasie miesiączki krew

z amerykańskiego Uniwersytetu St. Louis. Problem z dostępem do artykułów higieny intymnej wykracza jednak daleko poza granice dawnego Trzeciego Świata, podobnie jest z brakiem edukacji na temat samych miesiączek. Dane opublikowane przez YouGov, brytyjski instytut badań opinii publicznej, wskazują, że na Wyspach pod względem korzystania z tamponów i podpasek całkowicie zależnych od banków żywności i punktów charytatywnych jest nawet 6 tys. kobiet. Innymi słowy, jeśli nie otrzymają ich za darmo, nie będą miały dostępu do jakichkolwiek środków higieny menstruacyjnej. W Macedonii Północnej, na progu Unii Europejskiej, dotyczy to aż 90% kobiet (dorosłych i nastoletnich) mieszkających poza obszarami miejskimi. Globalnie rzecz ujmując, co dziesiąta nastolatka przynajmniej raz w życiu zmuszona była przejść miesiączkę bez możliwości skorzystania z jakich-



W krajach globalnego Południa, takich jak Sierra Leone, dziewczęta wiedzą, ile w ich życiu może zmienić edukacja. Mimo to co miesiąc tracą kilka dni lekcji.

przebiję się przez tampon i poplamę jej ubrania w szkole. Dlatego wolała wtedy zostać w domu, bo lęk przed byciem szkolnym pośmiewiskiem ją paraliżował”, opowiadała w wywiadzie dla think tanku przy Światowym Forum Ekonomicznym. Dodała też, że wywiady przeprowadzane z nastolatkami z Wielkiej Brytanii często ukazywały dużo większy lęk przed tym, co może się stać, w porównaniu z ich rówieśnicami z krajów afrykańskich. Mimo że nastolatki nie miały osobistych doświadczeń związanych z wyszydzeniem z powodu przechodzenia miesiączki, sama perspektywa takiego przeżycia lub świadomość, że było ono udziałem kogoś znajomego, wywoływały chęć pozostania w domu.

Ubóstwo miesiączkowe i związane z nim lęki, nawet jeśli często niewynikające bezpośrednio z realnych doświadczeń, mają jak najbardziej realne konsekwencje. Według danych WHO i UNICEF w Kenii co druga nastolatka zapisana do szkoły traci rocznie co najmniej 30 dni

nauki z powodu braku dostępu do środków higieny i leków. Szerzej na ten aspekt wykluczenia społecznego patrzą Brytyjczycy, którzy zmierzili całościowy wpływ takich absencji na proces edukacyjny w przypadku dziewczyn i chłopców. Z tamtejszych statystyk wynika, że w ciągu całego okresu nauki w szkole dziewczęta spędzają w niej średnio 145 dni

Niemal 68% kobiet w krajach uznawanych za rozwijające się mierzy się z trudnościami medycznymi i higienicznymi z powodu miesiączki.

mniej niż ich koledzy – właśnie z powodu miesiączek i ich konsekwencji. Innymi słowy, mają o prawie pół roku szkolnego krótszą edukację.

Brak dostępu do właściwej higieny i opieki zdrowotnej często powoduje, że kobiety próbują własnymi sposobami radzić sobie z dyskomfortem spowodowanym miesiączką. WHO szacuje, że aż 12% kobiet na świecie przynajmniej raz w życiu usiłowało sobie pomóc za pomocą własnoręcznie wykonanych środków higienicznych lub zaimprovizowanych produktów medycznych.

Dotyczy to homeopatii, domowej roboty preparatów ziołowych, ale także tamponów i podpasek wykonanych z materiałów, które po prostu są dostępne – najczęściej lekkich tkanin. Nietrudno sobie wyobrazić konsekwencje takiego postępowania, zwłaszcza zdrowotne. Zwiększenie ryzyka infekcji jest wówczas nieporównywalnie większe, nie mówiąc o tym, że prowizoryczne metody są najzwyczajniej nieefektywne.

Wreszcie wykluczenie kobiet z powodu ubóstwa menstruacyjnego niesie ze sobą ogromne konsekwencje gospodarcze. Ola Perczyńska i Danielle Preiss w eseju dla brytyjskiego tygodnika „The Guardian” szacują, że zwiększenie udziału kobiet w populacji objętej szkolnictwem drugiego stopnia (licea, szkoły zawodowe) o 1% przekłada się na 0,3% wzrostu PKB danego kraju. Z kolei wyzerowanie różnic pomiędzy zatrudnieniem nastoletnich chłopców i dziewczyn podniosłoby ten wskaźnik o kolejne 1,2%. W przeliczeniu na konkretne kwoty robi to jeszcze większe wrażenie. Wyeliminowanie ubóstwa menstruacyjnego w Wielkiej Brytanii przyniosłoby dodatkowe 180 mld funtów na państwowych kontach w ciągu najbliższej dekady.

Jak zatem wyeliminować ten naprawdę globalny, choć wciąż niedoświetlony problem? Jak widać na przykładzie wielu krajów rozwijających się, samo zapewnienie dostępu do produktów higieny intymnej nie sprawi, że wykluczenie spowodowane miesiączkami zniknie. Działania pomocowe muszą iść w parze z edu-

kowaniem i zmianami norm społecznych. Niedawna decyzja szkockiego parlamentu o udostępnieniu środków sanitarnych za darmo wywołała wiele pozytywnych komentarzy, ale na fali entuzjazmu nie możemy zapomnieć, że są na świecie miejsca, w których podpaski uważa się za dzieło szatana, a miejsca intymne kobiet są kaleczone w ramach rytuałów religijnych. Wyeliminowanie ubóstwa menstruacyjnego, często o wiele gorszego niż pusty portfel, wymaga zmian o wiele głębszych niż zmiany cen w supermarketach. ■

Przemilczane gwałty i zbrodnie

Konferencja Klubu Parlamentarnego Lewicy i „Przeglądu”: wśród „żołnierzy wyklętych” wielu było pospolitymi bandytami

Tygodnik „Przegląd” od lat ściera się z poglądami i publikacjami IPN. Nasze książki wydawane w serii „Historia bez IPN” to reakcja na zakłamywanie przeszłości. Cztery tomy poświęciliśmy „żołnieriom wyklętym”. Logiczną konsekwencją działalności wydawniczej było więc zorganizowanie przez Klub Parlamentarny Lewicy i „Przegląd” konferencji naukowej w Sejmie (za zgodą jego prezydium): „Bezdroża państwa polityki historycznej. Polemicznie o »żołnierzach wyklętych«”. Otwierając ją, wicemarszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty przypomniał, że trzy lata temu przeprosił za ustawę z 2011 r. ustanawiającą Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, którą wtedy Klub SLD poparł. – Dzisiaj – mówił – jeszcze raz ją przeczytałem i uważam, że lewica nie mogła jej w sposób tak bezkrytyczny popierać. To nie powinno się zdarzyć.

Konferencja miała na celu przedstawienie roli „żołnierzy wyklętych” w polityce historycznej prawicy i IPN. Te środowiska uważają, że trzeba kształtować dumę narodową i przywracać pamięć o tych, którzy walczyli z sowieckim okupantem i nową władzą. – W rzeczywistości chodzi im o to, by usuwać z narodowej tradycji wszystko, co wiąże się z lewicą i Polską Ludową – powiedział Paweł Dybicz, który zaproponował, by

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych przekształcić w Dzień Pamięci o Ofiarach Wojny Domowej.

Prof. Maciej Gdula mówił, że dyskusja o „wyklętych” odnosi się do naszej historii, do tego, co się dzieje po 1989 r.: – Jeżeli przyjmujemy, że „wyklęci” definiują, jaki ma być stosunek do PRL, to znaczy, że podważana jest walka bez przemocy, bez użycia broni, walka ruchów społecznych, Październik 1956 r., Solidarność oraz to, co wiąże się z Okrągłym Stołem i porozumieniem opozycji z władzą.

W publikacjach IPN „żołnierze wyklęci” są bez skazy. – Większość historyków instytutu – powiedział prof. Julian Kwiek – często bagatelizuje ich zbrodnie. Pomiędzy niewygodne fakty, jak chociażby to, że Józef Kuras „Ogień” odpowiada nie tylko za zbrodnie podwładnych, ale również to, że osobiście mordował cywilów. Z tymi słowami współgrały wystąpienia Marka Zapalę i Tadeusza Morawy, synów żołnierzy działających na Podhalu AK. Od lat protestują oni przeciwko nazywaniu takich ludzi jak „Ogień” partyzantami AK, bo byli zwyczajnymi bandytami.

Drugim wątkiem konferencji był stosunek zbrojnego podziemia do mniejszości narodowych. Prof. Andrzej Rykała zaprezentował skalę antysemitów zbrodni w ujęciu geograficzno-historycznym. Ich genezę przedstawił dr hab. August Grabski. Powiedział, że były one realizacją wizji Polski bez mniejszości. Red. Tomasz Sulima mówił o zbrodniach „wyklętych” na Podlasiu i o ich kulcie, który propagują władze państwowe, a popierają środowiska nacjonalistyczne.

Marsze w Hajnówce organizowane są po to, by pokazać tamtejszej społeczności, w ogromnej większości prawosławnej, że „Bury” jest bohaterem i nadal obowiązuje hasło „Polska dla Polaków”. Zbrodnie wyklętych na ludności ukraińskiej omówił red. Jakub Woroncow, który pisał o nich na łamach „Przeglądu”.

Końcowym akcentem konferencji był okrągły stół: „Co zrobić z kultem »wyklętych«?”, w którym dr Agnieszka Dziemianowicz-Bąk zaakcentowała szkodliwość tego kultu, narzucanego już uczniom w podstawówce. – Trzeba się temu przeciwstawić, prezentując odmienną od prawicowej, ipeenowskiej, wizję przeszłości – podkreślała. Paulina Piechna-Więckiewicz powiedziała, że nie ma co liczyć na inne ugrupowania. Wspomniała, że kiedy zasiadała w Radzie Warszawy, to choć wielu radnych PO знаło prawdę o „wyklętych”, nie przeciwstawili się gloryfikującej ich uchwale. Justyna Rembiszewska przypomniała, że na Podlasiu podejmowane są działania przeciwstawiające się mitowi „wyklętych”.

W czasie konferencji redaktor naczelny „Przeglądu” Jerzy Domański poinformował, że „tygodnik planuje kolejne sesje, dwie chcemy poświęcić zagospodarowaniu Ziemi Zachodnich i reformie rolnej”. Krzysztof Gawkowski, przewodniczący Klubu Parlamentarnego Lewicy, zapowiedział, że redakcja może liczyć na poparcie klubu.

Całą konferencję będzie można obejrzeć i odsłuchać na stronach internetowych „Przeglądu”, Halo Radio oraz na YouTube.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

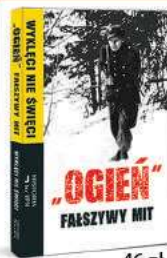
Zbieramy na kolejne tomy. Pomożecie?



45 zł



43 zł



46 zł



44 zł

**Morderstwa,
gwałty i rabunki!
Zamiast prawdy gloryfikacja
„żołnierzy wyklętych”.**



**4 KSIĄŻKI
W PAKIECIE
TANIEJ –
150 zł**

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: **72 1090 2851 0000 0001 2023 9821** Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książki można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nieresztrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

opis.pl 8f31290545

Spowolnienie gospodarcze

– czy będziemy mądrzy przed szkodą?

Andrzej Radzikowski
— przewodniczący OPZZ

Ciągle mamy biednych pracujących, a w związku z tym potrzebę dużych projektów wsparcia socjalnego. Jednakże środki na ten cel pozyskiwane są głównie od pracujących, w formie bezpośrednich i pośrednich danin i podatków, co pomniejsza ich wynagrodzenia, przez co stają się biedniejsi. To kwadratura koła, którą musimy przerwać.



progresji podatkowej i zmniejszania obciążeń dla osób o relatywnie niskich wynagrodzeniach. Należy opodatkować i oskładkować wszystkie dochody z pracy w sposób promujący zatrudnienie na umowę o pracę. Systemowych regulacji wymaga zapewnienie mechanizmów wzrostu wynagrodzeń w sferze finansów publicznych.

OPZZ oczekuje także zmiany podejścia do wydatków Funduszu Pracy i Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych. Ich rzeczywistymi zarządcami po-

Marcowe posiedzenie Rady Dialogu Społecznego zdominowała debata na temat spowolnienia gospodarczego oraz wynikających z tego wyzwań i zagrożeń. Inicjatorem debaty było Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych.

Wprowadzenie debaty do agendy posiedzeń RDS zajęło nam kilka miesięcy i nie obyło się bez irracjonalnych przeszkód. Uważamy jednak, że Rada Dialogu Społecznego nie może być biernym obserwatorem rzeczywistości czy tylko recenzentem projektów rządowych. Jej zadaniem jest zapobieganie problemom i konfliktom i działanie na rzecz poprawy życia społecznego i gospodarczego. Tym bardziej że nasze organizacje członkowskie sygnalizują kolejne zagrożenia.

Spowolnienie gospodarcze jest już odczuwalne zarówno przez pracowników, jak i przedsiębiorców. Rosną ceny podstawowych produktów żywnościowych i koszty utrzymania mieszkań. W styczniu 2020 r. inflacja wzrosła do 4,4%. Maleje siła nabywcza wynagrodzeń pracowniczych. A ostatnie dane wskazują, że osłabienie dynamiki rozwoju gospodarczego nie będzie tak łagodne, jak mogło to się wydawać jeszcze w ubiegłym roku.

Szczególnie niepokoi nas sytuacja na rynku pracy. Jego wymogi, w dobie przemysłu 4.0, rozwoju sztucznej inteligencji oraz intensywnego upowszechniania platform internetowych, wywołują wiele zagrożeń dla pracowników. Konieczne jest efektywne przeciwdziałanie bezrobociu, zapewnienie przedsiębiorcom optymalnych warunków do pełnego zatrudnienia, a także opracowanie i przyjęcie przez rząd polityki migracyjnej. W Polsce pracuje tylko 63% osób w wieku 18-65 lat (bez uwzględniania bezrobotnych zarejestrowanych w urzędach pracy – bo to nadal niepracujący). Niedawno kilka firm zapowiedziało duże zwolnienia grupowe, sygnalizowane są zagrożenia miejsc pracy tysięcy górników zatrudnionych w kopalniach węgla brunatnego.

Zdaniem OPZZ wynagrodzenie za pracę powinno być głównym źródłem utrzymania rodziny. Jednak rosnące obciążenia podatkowe powodują, że ciężar utrzymania państwa w coraz większym stopniu spoczywa na pracujących. W ten sposób zanika konstytucyjna zasada solidaryzmu społecznego oraz społecznej gospodarki rynkowej, a podatek dochodowy od osób fizycznych wciąż bardziej obciąża osoby o niskich dochodach niż osoby o dochodach wysokich. Zatrudnieni szukają sposobów na zmniejszenie obciążeń i uciekają w umowy cywilnoprawne, pozorowaną działalność gospodarczą lub szarą strefę. Dlatego trzeba większej

winni się stać ci, którzy je tworzą, czyli pracodawcy i pracownicy.

Pilnej interwencji państwa wymaga system emerytalny. OPZZ od lat apeluje o jego stabilność i gwarancję godziwych świadczeń dla przyszłych emerytów. Częste, nieskoordynowane „modyfikacje” zmniejszają jego wiarygodność. Systemowe zmiany mogłyby objąć takie obszary jak: podleganie ubezpieczeniom społecznym, zasady ustalania składek na ubezpieczenia społeczne, warunki nabycia prawa do emerytury, zasady ustalania wysokości emerytury, w tym waloryzacji, mechanizmy korygujące, szczególnie warunki nabywania prawa do emerytury, nowe dodatkowe segmenty emerytalne. Wnioskowaliśmy o możliwość przechodzenia na emeryturę osób opłacających składkę 35-40 lat, czyli wprowadzenie tzw. emerytur stażowych, oraz o niewygasający charakter emerytur pomostowych.

Szczególnym wyzwaniem dla Polski jest polityka klimatyczna. Alternatywne źródła energii elektrycznej to jedno, a wykorzystanie własnych zasobów surowców to drugie. Działania powinny iść w obu kierunkach. Już dzisiaj są technologie pozwalające praktycznie wyeliminować emisję dwutlenku węgla przy spalaniu

Rząd forsuje własne pomysły, o których często dowiadujemy się z mediów. Zmniejsza to zaufanie do państwa i potęguje niezadowolenie społeczne.

paliw konwencjonalnych. Wiele do życzenia pozostawia polityka koncesyjna na wydobywanie naszych bogactw naturalnych. Trzeba z nich korzystać z rozwagą, ale nie można zaprzestać ich wydobywania w Polsce, zastępując to importem. Zanieczyszczenia środowiska nie znają granic. Z tego względu musimy zabiegać o ochronę Polski i Europy przed negatywnymi skutkami wypychania produkcji wysokoemisyjnej poza nasze granice. To nie zmniejszy globalnej emisji, a tylko pozbawi nas miejsc pracy. Niezbędne są działania mające na celu szybkie wprowadzenie przez UE podatku od tzw. śladu węglowego oraz programu sprawiedliwej transformacji.

To ledwie kilka tematów do dyskusji. Niestety, od dłuższego czasu odnotowujemy naruszanie zasad dialogu społecznego. Przy stanowieniu prawa omija się RDS, korzystając ze ścieżki poselskiej. Rząd forsuje własne pomysły, o których często dowiadujemy się z mediów. Zmniejsza to zaufanie do państwa i potęguje niezadowolenie społeczne. ■

Ograniczenie czyni mistrza

Historia już pokazała, że na dłuższą metę walka z elitami źle się kończy dla tych, którzy z nimi walczą. Z PiS będzie tak samo



Na planie serialu „Mały Zgon”.

Rozmawia Artur Zaborski

Stęsknił się pan za „Kilerem”, skoro w „Małym Zgonie” powrócił motyw sobowótora, którego wszyscy biorą za tego drugiego?

– Nie wyszukuję projektów, w których pojawia się taki motyw. Po „AmbaSSadzie” wiedziałem, że praca z aktorem, który gra ze sobą jak z bratem bliźniakiem, znacznie wydłuży zdjęcia, i kiedy pojawił się ten pomysł, nie byłem zachwycony. Ale scenariusz „Małego Zgonu” przekonał mnie na tyle, że zdecydowałem się do tej wody wejść jeszcze raz. Podobało mi się, że autorzy – Maciej Kawalski, Filip Syczyński i Piotr Domalewski – uciekają od sztampy: jak pojawia się mafia, to nie rosyjska, tylko czeska, jak jest zabójca, to Fin, a nie Amerykanin.

„Mały Zgon” jest bardzo niegrzeczny – bohaterowie nie boją się zakłąć, a kamera nie ucieka przed przemocą ani seksem. Bardzo brakuje takiego nieskrępowania w zachowawczych filmach i seria-

JULIUSZ MACHULSKI

– reżyser, producent filmowy, aktor, scenarzysta i dramaturg. Założyciel Studia Filmowego Zebra. W niedzielę w Canal+ można oglądać serial „Mały Zgon” w jego reżyserii. 10 marca kończy 65 lat.

lach adresowanych do szerokiej publiczności.

– To tzw. serial premium, w którym można sobie pozwolić na więcej. Zależało mi, żeby pokazać widzowi sceny, jakich jeszcze nie widziałem. Choćby wbicie się ciężarówki w kościół w czasie pogrzebu. Maciek, Filip i Piotr tak jak ja kochają kino gatunkowe. Łatwo było nam się porozumieć, bo oglądaliśmy te same rzeczy na HBO, Amazonie czy Netflixie, mówimy tym samym filmowym językiem. Oczywiście kiedy zaczęły się zdjęcia, moje 40-letnie doświadczenie przydało się, żeby podpowiedzieć pewne zawodowe skrót, bo zdarza się, że młodzi reżyserzy chcą wyważać otwarte drzwi. **Podpowie pan, a lada moment młodzi wezmą się do kina rozrywkowego i pana wygrają.**

– W Polsce młodzi reżyserzy jakoś się nie garną do robienia filmów gatunkowych. A im więcej powstanie u nas dobrych komedii czy kryminałów, tym bardziej będę zadowolony, bo jestem przede wszystkim widz, który dostał możliwość robienia filmów, jakie sam chciałby oglądać. A oglądam dużo, od „Parasite” po „Szybkich i wściekłych”. Kino powstało po to, żeby opowiadać historie. Dziś mamy takie bogactwo kultury audiowizualnej, że jest miejsce i na mainstream, i na arthouse. Można tylko się cieszyć, że w Polsce jest coraz więcej reżyserów i producentów, którzy chcą nam opowiadać historie, a nie tylko mówić o swoim talencie, jak to się zdarza twórcom skupiającym się wyłącznie na tym, żeby dostać się na jakiś festiwal. Najtrudniej jest zrobić film, który

będzie doceniany i na festiwalach, i przez widzów.

Pan nie myśli o tym, gdzie i do kogo trafi to, co pan reżyseruje?

– Spekulowanie, na co widz będzie chciał iść do kina, niczemu nie służy, bo sam widz nie wie, co chciałby obejrzeć, póki tego nie zobaczy. Nie zmusiłbym się do wstawiania o szóstej rano, żeby robić film, którego nie czuję, ale który może zapewni mi poklask publiczności na Sundance czy w Berlinie, niczego nie ujmując tym imprezom. Kiedy oglądam niektóre nasze filmy przedzierające się na międzynarodowe festiwale, często widzę wyspekulowaną tezę, a nie widzę ludzkiej historii, życia. Idea kina od jego zarania jest taka sama: widzowie chcą dać się porwać fabule i zapomnieć o otaczającym ich świecie. Dzisiaj mamy wyjątkową łatwość technologiczną, żeby na tę potrzebę odpowiedzieć, bo jak pan widział w „Małym Zgonie”, kamerę można już zamontować nawet na obroży psa czy pod samochodem, który ulega wypadkowi. Kiedyś musiałem trzy dni czekać, żeby zobaczyć to, co nakręciłem, a dziś już na planie mogę mieć zmontowany materiał.

Czy to nie psuje magii kina? Jak trzeba było się nakombinować, żeby zrobić film, to i satysfakcja pewnie była większa.

– Każdy medal ma dwie strony. Pamiętam czasy, kiedy mogłem zrobić maksymalnie dwa duble, bo na więcej nie było negatywu, który na warunki PRL był bardzo drogi. Dzisiaj tego stresu nie ma, bo nie kręci się

zawsze się przydaje. Mnie komuna dała taki trening, jaki dzisiaj młodym filmowcom trudno sobie nawet wyobrazić. Praca wtedy była jak ćwiczenia siatkarzy, którzy obwiązują nogi obciążnikami, żeby bez nich potem wyżej skakać. Kinematografia PRL była z jednej strony siemiężna, a z drugiej rozbuchana – dzisiaj trudno sobie nawet wyobrazić, żeby ktoś mógł zrobić filmy takie jak „Ziemia obiecana” czy „Faraon”. Ale to jest zamknięty rozdział, za którym nie ma we mnie tęsknoty. Nie wróciłbym do tamtych prymitywnych czasów, kiedy kamerą można było poruszyć tylko wtedy, gdy się ją postawiło na wózek. Dzisiaj kamera robi wszystko i to kompletnie

Jestem przede wszystkim widzem, który dostał możliwość robienia filmów, jakie sam chciałby oglądać.

zmieniło język kina. Cieszę się, że jakoś jeszcze daję radę w tym współczesnym opowiadaniu filmowym. Nie chciałbym traktować reżyserii jako zawodu, który muszę wykonywać, bo nic innego nie potrafię. Cały czas mam chęć podtrzymania entuzjazmu, jaki towarzyszył mi w kinie, gdy byłem młodym chłopakiem i nie wiedziałem jeszcze, że będę robił filmy. Na razie to ciągle jest we mnie. Oczywiście jeśli tak miałoby się stać, że tylko ja będę chciał oglądać swoje filmy, to będzie gorzej. Jak się robi komedię czy thriller, to muszą być widzowie. Arthouse’owy film można zrobić dla garstki odbiorców, gatunkowego już nie.

momencie zacząłem siebie pytać, jak to jest po drugiej stronie kamery i co trzeba umieć, żeby robić filmy. Pod koniec podstawówki już miałem takie marzenia. I wtedy zacząłem się przygotowywać do konkretnych egzaminów do szkoły filmowej. Nic innego właściwie mnie nie interesowało, choć jeszcze wówczas nie mówiłem o tym głośno. Liceum było pasmem udręki, czymś w rodzaju poprawczaka, który mi przeszkadzał robić filmy. **Łódzka Szkoła Filmowa była zwolnieniem z więzienia? Poczut pan wyczekiwaną twórczą wolność?**

– Właśnie nie. Nabrałem stuprocentowej pewności, że szkoła filmowa w Łodzi to jest superszkoła, bo

my głównie oglądaliśmy filmy i dyskutowaliśmy o nich albo chodziliśmy do studia telewizyjnego, gdzie sami próbowaliśmy realizować jakieś scenki. Wiedziałem, że mam spokój przez cztery lata szkoły, ale byłem przerażony, bo nie miałem pojęcia, co potem. Miałem pustkę w głowie. Nie wiedziałem, czy coś mi się uda wymyślić.

Skąd się brał ten lęk?

– W szkole zobaczyłem, jak trudno zrobić dobry film. Uświadomiłem sobie, że wcale nie jest pewne, że akurat mnie się to uda. Ta świadomość mnie stresowała. Wiedziałem od samego początku, że chcę robić filmy fabularne, a nie dokumentalne, choć miałem szczęście, że poznałem Krzysztofa Kieślowskiego, kiedy jeszcze był dokumentalistą, opiekunem roku był Wojciech Has, Janusz Majewski był przyjacielem domu, więc obracałem się w dobrym towarzystwie. Szczególnie dużo zawdzięczam właśnie Majewskiemu, który ma anglosaskie poczucie humoru. Już na pierwszym roku chciałem robić komediowe etiudy i zaadaptować Mrożka. Bałem się, że wszyscy koledzy będą chcieli zrobić to samo.

Co się okazało?

– Że nikt nie chce. Oglądając filmy zaliczeniowe innych, odkryłem, że nikt nie kręci niczego zabawnego. A mnie tylko to pociągało. Miałem predylekcję, która jest konieczna, bo nie można się zmusić do opowiadania komedii. Dzięki wyniesionemu

Najtrudniej jest zrobić film, który będzie doceniany i na festiwalach, i przez widzów.

na taśmie, ale w efekcie powstaje dużo dubli i marnuje się czas. Potem w montażowni jest tyle materiału, że montażysta traci więcej czasu na przejrzenie go niż na właściwy montaż. Powtarzam młodym twórcom, żeby się dyscyplinowali pod tym kątem, bo choć nie mamy ograniczeń taśmy, to mamy ograniczenie czasu. Dzień zdjęciowy ma ciągle osiem godzin.

Ma pan sentyment do czasów, kiedy trzeba było stawiać czoła ograniczeniom technologicznym i cenzurze?

– Jak powiedział Goethe: „Ograniczenie czyni mistrza”, więc ono

Co się stało, że tamten młody widz zapragnął sam robić filmy?

– Byłem uwarunkowany rodzinnie. Jako trzylatek siedziałem na plaży na planie „Ostatniego dnia lata” Konwického, czego oczywiście nie pamiętam. Pamiętam natomiast wiele planów innych filmów, które kręcił mój ojciec. Dzięki temu już jako młody chłopak poznałem wielu reżyserów, aktorów i zrozumiałem, na czym polega ta praca. To było moje środowisko, choć jeszcze nie wiedziałem, że zostanę reżyserem. Myślałem przez chwilę o zawodzie aktora, ale rodzice mi to wyperswadowali. W pewnym

z domu poczucie humoru obojga rodziców jakoś mi się to zaczęło udawać. Później nawet kryminalny „Vabank” był odbierany jako komedia. Zawsze zazdrościłem Czechom, że mają tyle ironii wobec świata, jakiej my nie mamy. W naszych filmach dominuje ponura powaga. Być może żyjemy w kraju, w którym jest za mało słońca i witaminy D₃, co powoduje, że jesteśmy bardziej depresyjni. Choć wydaje mi się, że polscy widzowie mają większe poczucie humoru niż nasi twórcy.

Inteligencja przestała być w cenie. Już nie obowiązuje wyrażenie: „Czegoś nie wypada”, tylko „Coś się nie optaca”.

Pańskie filmy są dobrym substytutem tej witaminy D₃ i światła.

– Czasem mam na to nawet odwagi. Nie oczekuję takich wyznań na ulicy, ale zaczepiają mnie ludzie w różnym wieku i dziękują za filmy, co mnie krępuje, ale jednocześnie cieszy. Staram się publicznie nie udzielać, ale przez 40 lat obecności w kinematografii ludzie mnie rozpoznają i to się zdarza. Nie zawsze mam takie dobre porozumienie z widzami jak na początku kariery. Ale wtedy byłem w idealnym wieku widza – miałem niecałe 30 lat. Dzisiaj jestem dwa razy starszy. Nie wszystko, co mnie bawi, tak samo bawi 30-letniego widza. Próbowałem także kręcić poważne filmy. Udało mi się ze „Szwadronem”, nie powstał natomiast film o Janie Nowaku-Jeziorańskim. Cóż, nie zawsze tak jest, że reżyserowi uda się zrobić, co sobie wymyśli.

Nie kusi pana, żeby dopisać teraz dalszy ciąg do tamtych popularnych komedii, tak jak to się stało w przypadku „Psów” czy „Kogla-mogla”?

– Takie rzeczy trzeba robić natychmiast. Już zrobiłem dwa sequele – „Vabanku” i „Kilera”. W pewnym momencie napisałem nawet scenariusz dalszego ciągu „Seksmisji”, bo mi się wydawało, że każdy chciałby taki film zobaczyć, ale okazało się, że żaden producent nie jest tym zainteresowany. Dzisiaj na pewno nie będę do tego wracał.

Dlaczego?

– Jestem w innym momencie zawodowym. To byłby przenoszony płód, jak „Ojciec chrzestny 3”. Tylko bym zaszkodził oryginałowi.

wi. Gdyby ktoś do mnie przyszedł i powiedział: „Panie Juliuszu, może by pan nakręcił »Kilera 3«?”, to może bym zaczął się zastanawiać, czy taka propozycja ma sens. Nie wyobrażam sobie natomiast siebie chodzącego i namawiającego ludzi, żeby sfinansowali „Vabank 3” czy „Seksmisję 2”. Wtedy byłby ze mnie komiwojażer, a nie scenarzysta i reżyser. Robienie po latach dalszych ciągów swoich starych filmów to przyznanie się do braku pomysłów i do wypalenia.

Działają panu na tyłu frontach, że o wypaleniu raczej nie może być mowy.

– Teraz, kiedy PiS zlikwidowało studia filmowe, będę miał więcej czasu dla siebie. Prowadzenie studia Zebra zajmowało mi dużo czasu. Żałuję, że nie da się współpracować z TVP, bo ona fałszuje rzeczywistość, a jeszcze niedawno co roku robiłem Teatry Telewizji według własnych scenariuszy. Lubię pisać sztuki, bo wtedy skupiam się na aktorze i tekście. „Brancz” wystawiany jest do dziś w Teatrze Powszechnym w Łodzi, a „Machia”, sztuka o Machiavellim, w Teatrze Starym w Lublinie.

Sygnalizowano panu zamknięcie Zebry?

– Słyszało się plotki, ale nie odbyły się żadne rozmowy ani konsultacje merytoryczne. PiS nie rozumie, na czym polega działanie studia filmowego, ani nie chce dać sobie tego wytłumaczyć. Minister Piotr Gliński skorzystał z możliwości przeprowa-

Pańskim zdaniem stracimy na zamknięciu studiów filmowych?

– Jako kinematografia tak, bo nie będzie pomocnego mózgu wyrobionego reżysera przy mniej doświadczonym twórcy. Większość polskich filmów, które oglądam, jest – jak ja to nazywam – producencko niedopilnowana. Podejrzewam, że producenci zajmują się głównie znalezieniem finansowania, co oczywiście jest szalenie istotne, ale kompletnie nie radzą sobie z merytorycznym wsparciem reżyserów własnych projektów. Taką pomoc państwowe studia zapewniały. Władza tego nie dostrzegała, nie interesowało jej, żeby filmy były lepsze, ważne, żeby jej zdaniem „ktoś nie miał za dobrze”.

Kto?

– Ci wszyscy, którzy te studia tworzyli. Studia opiekowały się wszystkimi powstałymi w nich filmami, a także filmami wcześniejszymi, powstałymi w PRL po 1945 r. Operowały licencjami, więc miały z tego zyski. Mogły potem te pieniądze inwestować w kolejne produkcje. Wywoływało zazdrość środowiska, że mamy jakieś dodatkowe finansowanie z filmów, które zostały zrobione już dawno. A przecież w tym zawodzie nie ma demokracji. Szefowie studiów filmowych zostali nimi z jakichś powodów: bo byli doświadczonymi zawodowcami gwarantującymi powtarzalny sukces. To dodatkowe finansowanie pochodzące z licencji starych filmów zapewniało w wypadku Zebry roczne utrzymanie studia. Nie musieliśmy tych funduszy szukać na mieście. A co najważniejsze, nie dostawaliśmy żadnych pieniędzy z budżetu państwa. Utrzymywaliśmy się sami.

To, że PiS powiedziało ludziom niekulturalnym: „Nie wstydźcie się, że jesteście niekulturalni”, przyniosło efekty.

dzenia zmian bez konsultacji, bo studia były państwowe, więc idealnie się nadały do rozwalenia. A jak widzimy, ta władza niszczy wszystko dookoła. Historia Zespołów Filmowych, zapoczątkowana przed wojną przez Aleksandra Forda i jego kolegów, odróżniała nas od innych krajów. Doświadczeni reżyserzy byli producentami filmów młodszych kolegów. Ważne było dla nich coś więcej, niż ile widzów przyjdzie do kina.

Skoro nie trzeba było na was łożyć z podatków, to skąd likwidacja?

– Znam tylko plotki, że po tym jak studio Kadr sprzedało licencje filmów nie TVP, ale stacji prywatnej, która więcej za nie oferowała – a miało do tego prawo i działało dla dobra firmy – tak rozwścieczyło to prezesa Kurskiego, że poskarżył się ministrowi Glińskiemu. I Gliński ze swoim sztabem wymyślił, by połączyć wszystkie studia w jedno, cał-



Podobało mi się, że autorzy scenariusza „Małego Zgonu” uciekają od sztampy: jak pojawia się mafia, to nie rosyjska, tylko czeska, jak jest zabójca, to Fin, a nie Amerykanin.

kowicie zależne od ministra kultury, żeby taka „samowolka” więcej się nie powtórzyła. A może to była kropla, która przepełniła czarę, bo studia zawsze były solą w oku środowiskowej konkurencji, która przy każdym rządzie skarżyła się na nas kolejnym ministrom kultury?

Przeżył pan tę decyzję?

– Aż tak bardzo, jak myślałem, że przeżyję, to nie. Mam charakter survivor. Jeśli nic się nie da zrobić, to tym się nie zajmuję. Nie będę się kopał z koniem. Jeśli ktoś ma doktrynę i nie chce rozmawiać, to jak go do czegoś przekonać? Bardziej się zajmuję tym, co władza robi z sądami, z puszczą i z prawami kobiet.

Wiele osób w zamknięciu studiów dopatruje się kroku władzy w stronę przejęcia kina w ogóle. Skoro w muzyce promowane jest disco polo, strach pomyśleć, jakie filmy chciałaby produkować władza.

– Nie przeraża mnie to. Albo będzie miejsce na disco polo, filmy Patryka Vegi i moje, albo ja ich nie będę robił. Podchodzę do tego ze stoickim spokojem, choć oczywiście smuci mnie, że inteligencja przestała być w cenie. Już nie obowiązuje wyrażenie: „Czegoś nie wypada”, tylko „Coś się nie opłaca”. To, że PiS powiedziało ludziom niekulturalnym: „Nie wstydźcie się, że jesteście niekulturalni”, „Nie wstydźcie się, że jesteście niedouczeni”, „Nie wstydźcie

się, że nie wiecie, jak się zachować”, przyniosło efekty. Przerazenie ogarniało mnie, kiedy widziałem, jak wygwizdano prof. Bartoszewskiego. Po czymś takim już mnie nic nie zadziwi. To spuszczenie z łańcucha najgorszych cech Polski zaściankowo-kołtuńsko-klerykalnej. Ale i III RP za mało zwracała uwagę na kulturę. Kultura nigdy nie była ważna dla żadnego rządu. Zawsze będę miał za złe PO, że uważała, że kultura sama musi się finansować. Może

Kultura nigdy nie była ważna dla żadnego rządu.

tak jest w Indiach i Stanach Zjednoczonych, gdzie jest ogromny rynek. Bez wsparcia państwa nie będzie ani filmów, ani sztuk, ani książek w języku polskim. Brak zrozumienia, że kultura i edukacja są najważniejsze, spowodował, że mamy obywateli, jakich sami sobie wyhodowaliśmy. Ale żeby zmienić tonację na bardziej optymistyczną: mam wrażenie, że obudziło się w nas społeczeństwo obywatelskie. Ludzie wreszcie zrozumieli, że to, czy idą na wybory, ma znaczenie, a nie że szkoda niedzieli, bo fajnie się grilluje.

Zawsze pan szuka czegoś pozytywnego w sytuacji?

– Staram się być optymistą, choć mało widzę ku temu przesłanek. Przykro mi tylko, że bardzo dużo te-

go, co osiągnęliśmy po 1989 r., zaprzepaszczamy w karygodny i szybki sposób. Ale i ta władza się kiedyś skończy. Nawet tysiącletnia Rzesza trwała tylko 12 lat. Chociaż dziwi mnie beztroska polityków z obozu PiS, którzy albo myślą, że ludzie mają krótką pamięć, albo wierzą, że będą rządzić zawsze. Że nie boją się, że to, co robią, będzie rozliczone, że będzie miało konsekwencje prawne. Taki brak wyobraźni to chyba nasza cecha narodowa.

Pan ma w sobie poczucie misji podtrzymania tradycji inteligentnego kina z wysublimowanym humorem?

– Nie mam, ja po prostu inaczej nie umiem. Dzisiejsza władza walczy z elitami, bo „ciemnym ludem” można manipulować. Kurski robi w TVP to, co obiecał. Tyle że wielokrotnie historia pokazała, że walka z elitami na dłuższą metę źle się kończy dla tych, którzy z nimi walczą. Tu będzie tak samo. Tylko kto popiera PiS? Może ktoś, kto jest również za sprawą TVP oszukiwany, niedoinformowany? Albo ktoś, kto jest po prostu złym człowiekiem? Trzeciej opcji nie ma.

Artur Zaborski

Wiesław Kot

Wirus, pandemia, masowa śmierć to tematy filmów z każdej półki. Jedno mają wspólne – pokazują katastrofizm tak przerażający, że nikt w niego nie uwierzy, póki nie zobaczy. Z kilkudziesięciu romansów, historii rodzinnych, kryminałów, horrorów i thrillerów z wiodącym motywem epidemii wybrałem 10 filmów, których autorzy starali się raczej zjawisko analizować, niż nim straszyć. Te dzieła wybitnych często twórców rozmawiają ze sobą, uzupełniają się, dopowiadają i tworzą poruszającą panoramę czasu zarazy.

„Dominacji człowieka nad Ziemią najbardziej zagraża wirus” – ten cytat z noblisty dr. Joshuy Lederberga otwiera „Epidemię” Wolfganga Petersena. Racja, przecież on może dać o sobie znać wszędzie i w każdej chwili. W „Epidemii” ujawnił się w ostępach afrykańskiej dżungli w głębokich latach 60., w obozie jeńców. Zrzucano na nich bom-

Film „Epidemia” pokazuje, że żadne procedury, kombinezony ani kordony nie są szczelne.

bę, która wypaliła do korzeni okolicę. Ale nie wirusa. I ten powraca po 30 latach. Zaawansowana amerykańska medycyna jest równie bezradna jak czarownicy opędzający się od zarzązków magicznymi miotełkami.

Niekiedy pochodzenie wirusa da się wytropić, ale nie znaczy to jeszcze, że można go zatrzymać. Zadanie ułatwia mu ludzka beztroska i głupota. W filmie „28 dni później” Danny’ego Boyle’a grupa aktywistów włamuje się do laboratorium ośrodka badawczego w Cambridge, aby uwolnić zwierzęta wykorzystywane w eksperymentach naukowych. Aktywiści nie chcą nawet słyszeć, że te „króliki doświadczalne” mogą być groźne, bo testuje się na nich wirus agresji. Na wolność wymykają się zwierzęta – i wirus. Co prowadzi widza do wniosku, że nie mamy zielonego pojęcia, jakie wirusy wyhodowano już w podobnych tajnych ośrodkach: wojskowych, rządowych, uniwersyteckich.

W innych przypadkach diagnostyka przypomina ciuciubabkę. W filmie „Ostatnia miłość na Ziemi” w wy-

niku tajemniczej epidemii ludzkość traci kolejne zmysły. Choroba ujawnia się w wielu krajach i wygląda na równoległą, a nie na zakaźną. I jeszcze jedno – wraz z utratą np. węchu pojawia się niezrozumiały atak dojmującego smutku. Ludzi nagle dopada przygnębienie niemożliwe do przezwyciężenia, bolesne poczucie straty. Kierowca, lekarz czy policjant w trakcie czynności zawodowych wybuchają spazmatycznym płaczem, którego nie sposób opanować. Życie staje im przed oczami jako niekończące się pasmo win i kompromitacji. Przyczyna? Może to kwestia wszechobecnych toksyn. A może winą genetycznie modyfikowanych

blisty José Saramago. Ludzie ślepi. Nagle i bez widocznej przyczyny. A to kierowca na ruchliwym skrzyżowaniu, a to panienka do towarzystwa w trakcie świadczenia usługi w hotelu. Medycyna taki przypadek przyjmuje do wiadomości i odsyła pacjenta do domu – nie jest w stanie zrobić dosłownie nic. Geneza choroby jest równie nieuchwytna jak w filmie „Inwazja”, w którym Nicole Kidman jako naczelny psychiatra stanu Waszyngton informuje, że wirus ostrej psychozy przywędrował do nas z kosmosu.

Kasandra przepowiada zarazę

A kiedy mleko się rozlało, jako pierwsza z pandemią zmagą się zaawansowana medycyna. Film „Epidemia” kawa na ławę pokazuje, że żadne procedury, kombinezony ani kordony nie są szczelne. Ci najbardziej, wydawałoby się, odpowiedzialni, naukowcy w laboratoriach, są po ludzku nieuważni, bywają niefrasobliwi, zmęczeni, senni albo pijani. A kiedy nawet dopilnują procedur, wirus wymknie się przez klimatyzację. Poza tym wirusolodzy – jak w filmie „12 małp” Terry’ego Gilliana – cierpią na syndrom Kasandry z mitologii greckiej, która wieści nieszczęścia Troi, ale nie może im zapobiec. Nic więc dziwnego, że epidemia zastaje często wyspecjalizowanych wiru-

Zawirusowana dziesiątka

Tajemnica Andromedy

12 małp

Epidemia

28 dni później

(rec)

Inwazja

Ludzkie dzieci

Miasto ślepców

Contagion – epidemia strachu

Ostatnia miłość na Ziemi

reż. Robert Wise, 1971

reż. Terry Gilliam, 1995

reż. Wolfgang Petersen, 1995

reż. Danny Boyle, 2002

reż. Jaime Balagueró, Paco Plaza, 2007

reż. Oliver Hirschbiegel, James McTeigue, 2007

reż. Alfonso Cuarón, 2006

reż. Fernando Meirelles, 2008

reż. Steven Soderbergh, 2011

reż. David Mackenzie, 2011



Ostatnia miłość na Ziemi

sologów w stanie rezygnacji i wypalenia zawodowego. Oni mają też o wiele pełniejszy obraz sytuacji niż przeciętny spanikowany odbiorca wpatrzony w telewizyjne wiadomości. Oni doskonale wiedzą, że takiego wirusa jak choćby ten pokazany w „Contagion – epidemia strachu” Stevena Soderbergha trudno wyhodować w sposób sztuczny, ponieważ natychmiast zabija każdą komórkę, do której został wprowadzony. Bez tego niemożliwe jest wyhodowanie antywirusa, a tym samym stworzenie szczepionki. Jeżeli zaś w końcu to się uda, i tak wyprodukowanie szczepionki na potrzeby tylko zarażonych (inni muszą poczekać) potrwa miesiące. O szerszej akcji szczepień można więc zapomnieć. A nawet gdy do takiej akcji dojdzie, zaaplikuje się milionom ludzi szczepionkę, której skutki uboczne są zbadane słabo albo wcale. I za kilka lat może się okazać, że dzieci zaszczepionych masowo zapadają np. na autyzm.

Apokalipsa, armagedon, pandemia

Kiedy w laboratoriach wre praca nad antywirusem, władze próbują opanować sytuację, która grozi anarchią. W sztabach kryzysowych – jak w „Epidemii” – krzyżują się kompetencje, grają ambicje, walą się struktury, w tęb biorą procedury. Pęka solidarność polityków – decydenci

wiedzą, że jedno nieostrożne posunięcie i są skończeni. Żeby tylko wiedzieć, który to ruch jest błędny! Przecież tego nie było na ćwiczeniach!

Gdy wybucha panika spowodowana wirusem, najmniejszym problemem jest sam wirus, diagnozuje „Contagion – epidemia strachu”. Bez porównania większym staje się powszechna anarchia. Z tym że napady na banki to drobiazg, najwięcej krwi poleje się w regularnych bitwach

Gdy wybucha panika spowodowana wirusem, najmniejszym problemem jest sam wirus.

o szczepionki. Międzynarodowe mafie porywają dzieci naukowców, bogaczy i polityków – zwróć je rodzicom w zamian za szczepionki. Ale to nie takie proste, ponieważ pirackie laboratoria wypuszczają na rynek i upłynniają za ogromne pieniądze różnego rodzaju placebo. Oczywiście o zerowej skuteczności. Zachód, a zwłaszcza Wielka Brytania, broni się w roku 2027 w „Ludzkich dzieciach” przed zalewem imigrantów, posądzanych o roznoszenie wirusa, ale ta walka jest już przegrana. I nie pomaga odsyłanie kolejnych partii niechcianych przybyszów w klatkach dla zwierząt. Oni tu wrócą, bo w ojczyźnie czekają na nich jedynie wojna i głód.

Walka z epidemią może oznaczać wyprowadzenie wojska na ulice, izo-

lację, konfiskatę telefonów (żeby nie siać paniki), druty kolczaste, kordony i getta. Oznaczanie (piętnowanie) tych, którzy są nosicielami albo bodaj podejrzanymi. Skazani na śmierć są wygarniani jak podczas selekcji do gazu w obozach koncentracyjnych. Zainfekowani stają się z chwili na chwilę innym gatunkiem – napiętowanym, gorszym, niebezpiecznym, wrogim. W ludziach zdrowych (do czasu!) z miejsca wyzwalają strach i agresję. Zanikają elementarne więzi międzyludzkie: od zasad dobrego wychowania po respektowanie zależności służbowych. Nawet główny wirusolog kraju złamie tajemnicę państwową, byle ratować życie córki.

Najbliżsi chorych zupełnie tracą głowę – chcieliby i czują, że powinni być z zarażonymi, a jednocześnie wiedzą, że właśnie tego im nie wolno. Mieliby więc dopuścić do tego, by ich dzieci, mężowie czy żony umierali w osamotnieniu, za szpitalnym parawanem? Przecież od tego najzdrowszy człowiek może postradać rozum. A zdarzają się i takie przypadki („Contagion – epidemia strachu”), że żona złapała wirusa od kochanka i przeniosła go na całą rodzinę. I teraz trzeba powiedzieć świeżemu wdowcowi, że ostatnią rzeczą, którą jego żona zrobiła przed śmiercią, był przygodny seks pozamatrzeński.

Na leczenie chorych w trakcie zarazy nie jest przygotowany żaden rząd na świecie – nikt nie jest w stanie obsłużyć pandemii od strony logistycznej. W szpitalach szybko zaczyna brakować wszystkiego, od lekarstw po koce. Poza tym szpitale od dawna pękają w szwach – teraz chorych kieruje się już do szkół i na stadiony. Pielęgniarki odmawiają pracy, bo też mają rodziny i nie chcą ich uśmiercić, grabarze odmawiają organizowania pochówków, zaczyna brakować nawet worków na ciała. Zwłoki zarażonych i tak pali się na stosach żywym ogniem. Puenta jest okrutna, ale w filmach przewija się raz po raz. Jeżeli wirus zabija ludzi w trzy dni, to dla władz paradoksalnie jest najwygodniejszy. Chorzy umierają tak szybko, że nie zdążą

► zarażać następnych. I nie blokują środków na opiekę nad następnymi zarażonymi.

Mnie wirus nie dotyczy

Wszystkim potencjalnym nosicielom wirusa pozostaje samoobrona. Najpierw muszą przekonać samych siebie, że epidemia dotyczy również ich. Bo najczęściej wypierają możliwość zarażenia: mnie to nie dotyczy, mnie na pewno się uda, może na mnie nie padnie, mam zdrowy organizm, poradzi sobie. Ludzie powoli uczą się, że nieprzyjaciel czai się dosłownie wszędzie. Wrogiem są poręcze, krany, przyciski w domofonach, klamki, popielniczki, barowe blaty, półki i koszyki w supermarkecie, karty kredytowe, którymi płacimy. Epidemiolodzy nazywają takie przedmioty przenośnikami. Kładziemy na tym wszystkim dłoń, którymi potem odruchowo dotykamy twarzy – średnio 2-3 tys. razy dziennie. Sojusznikiem wirusa jest potoczny idiotyzm. Ludzie, zanim ruszą na pomoc osobie, która zasłabła na ulicy czy w metrze, najpierw nakręca filmik telefonem i pochwalą się nim na Facebooku. Tymczasem odbiorcy i tak narzekają, że ujęcia są za mało wyraziste jak na śmiertelnie chorego. A bohater internetowego filmiku? Uważają, że powinien być szczęśliwy – nie każdemu zdarza się umrzeć przed kamerą. A bywa jeszcze gorzej. Dla przechodniów, którzy natkną się na takiego nagłego inwalidę, ściętego wirusem



Z okazji korzystają wszelkie możliwe męty. Dla nich panika to wymarzona okazja, by kraść, gwałcić i rabować. Przy drogach czają się bandy napadające na podróżnych jak średniowieczni rabusie („Ludzkie dzieci”). Zabijają i plądrują dobytek ofiar, choć sami nie bardzo wiedzą po co. I tak za chwilę umrą. Na oddziałach szpitalnych rządzą ci chorzy, którzy

z pandemii. Mnożą się dziwaczne obrzędy pokutne – jedni łudzą się, że Bóg wybawi ich od śmierci, gdy będą klęczeć non stop przez miesiąc, drudzy biczą się do krwi. Głowę podnoszą najbardziej dziwaczne organizacje i ruchy. A każdy wariat i maniak czuje się szczęśliwy, że wreszcie dorwał się do głosu. I teraz on wskazuje milionom jedyne skuteczne drogi wyjścia ze śmiertelnego impasu. W blogosferze i w mediach społecznościowych nawet najbardziej niedorzeczne teorie spiskowe z miejsca znajdują krąg zaprzysięgłych wyznawców.

Dzień po

No i powstaje pytanie o świat po pandemii. Odpowiedzi są niepewne. Podobno żaden wirus nie ginie definitywnie. Gorzej, on ewoluje, pojawiają się nowe mutacje, nowe szczepy. „O ileż mniejszy od nas, ale wygrywa”, mówi Dustin Hoffman w „Epidemii”, patrząc w okular mikroskopu. Z epidemiami trzeba więc nauczyć się żyć. Wirusy będą się przemieszczać w czasie, mutować, wywoływać ogniska zarazy w coraz to nowych regionach świata i zawsze będą o krok przed naukowcami i służbą zdrowia.

Jeżeli za którymś razem ludzkość przegra z wirusem w sposób ostateczny, to Ziemię obejmą we władanie inne organizmy: owady, ptaki. Przecież człowiek wcale nie jest planecie niezbędny, przeciwnie – bardzo jej szkodzi. Planeta poradzi sobie bez niego. Ewolucja jeszcze raz zmieni kierunek, jak po uderzeniu meteorytu, który wygubił dinozaury. Może teraz natura będzie miała więcej szczęścia i po milionach lat wygeneruje stworzenia mniej głupie i agresywne?

Z filmów wynika, że różne nacje rozmaicie reagują w chwili zagrożenia epidemią. Mówiąc w uproszczeniu: Amerykanie się organizują, Anglicy popadają w depresję, a Francuzi kupują najdroższego szampana. Czekamy na film o Polakach. Cóż, obawiam się, że wypadną przekonująco, gdy będą walić głową w mur z bezsilnej wściekłości i odmawiać pocierze. Na przemian.

Wiesław Kot

Najbliżsi chorych zupełnie tracą głowę – chcieliby być z zarażonymi, ale wiedzą, że właśnie tego im nie wolno.

(„Miasto ślepców”) to tylko okazja, aby mu bezkarnie ukraść samochód i spłądować mieszkanie pod pozorem niesienia pomocy. Zresztą teraz, żeby przeżyć, trzeba ciągle improwizować. Nic nie jest już takie, jakim je zapamiętaliśmy: nie ma rządu, brakuje prądu, telewizja nie nadaje, radio milczy, na ulicach na przemian pustka i chaos. Przestały działać wodociągi, więc ludzie wystawiają wiadra, żeby nakapało do nich bodaj trochę deszczówki.

pozbyli się wszelkich wyższych uczuć – są bezlitośni i brutalni. Mają nadzieję, że dzięki temu pożyją o dzień dłużej niż inni.

Epidemie tworzą klimat niezwykle sprzyjający najrozmaitszym sektom żerującym na strachu. Pojawiają się samozwańczy prorocy i uzdrowiciele. Na rogach ulic przemawiają obłąkani kaznodzieje i gromadzą się tłumy słuchaczy. Tym można wcisnąć każdą bzdurę, byle dawała odrobinę nadziei, że uda im się wyjść cało

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Reakcja łańcuchowa

Dostaję sporo listów od nieznanym. Uderza mnie, jak powszechne jest teraz w Polsce poczucie oburzenia, odrazy, niezgody na stan rzeczy. Jak to dolega ludziom. Cytuję: „Jako młody chłopak zacząłem karierę zawodową jako konstruktor w kopalni »Wujek« i od razu stan wojenny, strajk, pacyfikacja kopalni, zwłoki młodych górników wystające z zakrwawionych kufajek. Traumatyczne przeżycia. Potem euforia – Mazowiecki, nasz rząd, Unia Europejska. Skończyłem informatykę. Nowe perspektywy. Późno żona, ukochane dziecko, dom. Śmierć ukochanej mamy, blisko zwolnienia z pracy, depresja. Potem stabilizacja, dobra praca. Trzy lata do emerytury. A teraz wirus. Nie, nie koronawirus, ale ten, który toczy Polskę. Bolszewia w czystej postaci. I to ciągle zdziwienie. Przecież to są młodzi ludzie, wtedy jeszcze dzieci. Oni rozwalają nasze marzenia o Polsce otwartej na świat, kosmopolitycznej, tolerancyjnej. Teraz przez M., przez ogród botaniczny, moje okolice, mój dom, przez osiedla mieszkaniowe wytyczyli trasy kolejowe CPK. Sztandarowy projekt PiS. Być może zburzą mi dom. Typowe dla nich działanie. Depresja wraca. Wszystkim nam teraz w pewnym sensie burzą dom, nasz wspólny dom”.

**Obecna plaga nie musi,
ale może przeorać świat.**

Powstaje pomnik Bitwy Warszawskiej, na placu Na Rozdrożu. Odetchnąłem z ulgą. Tyle PiS gadało o tym pomniku, że żyłem w twórczości, że czymś oszpeca Warszawę. Nędzny gust jest typowy dla prawicy narodowej. Najstraszniejszy był pomysł na pomnik stojący okrakiem nad Wisłą. Na szczęście miasto zorganizowało konkurs. Wygrał projekt prosty, strzelisty, wąski, skrzywiony, trochę podobny do wiertła, więc prawica woła, że to hańba, by wiertło było pomnikiem upamiętniającym bitwę, która ocaliła świat przed bolszewizmem. Najlepiej, żeby to był łuk triumfalny. Nie jestem zachwycony wybranym projektem, także dlatego, że za podobny do tego Armii Krajowej, który stoi przed Sejmem, ale mnie nie razi. A to już dużo.

Nie tylko w Polsce jest wielki kryzys pomnikowy, nie wiadomo, jak nowe mają wyglądać. Figuratywne nie pasują do naszych czasów, człowiek pomnikowy najlepiej wygląda na koniu; Kaczyński na koniu? Najstraszniejszy był wysyp pomników Jana Pawła II. Nieźle tym zapaskudżono Polskę. Dlatego podoba mi się pomnik katastrofy smoleńskiej autorstwa Jerzego Kaliny, chociaż nie sposób, w jaki go stawiano na placu Piłsudskiego. Jednorodna, czarna, marmurowa bryła ze stopniami. Ważny jest

kontekst, w jakim wyrośnie pomnik Bitwy Warszawskiej. Ramą są powojenne bloki stojące półkołem, więc jego prostota jest na miejscu. I będzie miał ten pomnik fontannę. A fontanna to zawsze najładniejszy pomnik.

Nagonka na Romana Polańskiego. Jestem rozdarty, bliska mi akcja #metoo, zdarto kolejną kołdrę, ujawniając skalę seksualnych męskich występków. Ale podobnie jak w przypadku poprawności politycznej przybrało to formę lawiny i pociągać musi ona ze sobą niewinne ofiary. Nie można na podstawie doniesienia jednej osoby, która mówi o zdarzeniu sprzed kilkudziesięciu lat, zaszczywać genialnego reżysera. Tak można załatwić każdego. Nie jestem konsekwentny, tak myślę, jeśli kogoś lubię i cenię. W przypadku dygnitarza religijnego myślałbym inaczej, bo duchowni są chronieni przez potężną instytucję, która ma stać na straży moralności, a niemoralność u siebie ukrywa. Ale w tych szlachetnych akcjach ujawnia się element ślepej zemsty i fanatyzmu.

Pracując nad moją książką „Dom pisarzy w czasach zarazy”, już w redakcji, znajduję taką perełkę. Józef Różański, oprawca stalinowski, wysoki oficer UB, osobiście torturował ludzi. Po prostu to lubił. A gdy został poczytnym szefem PIW, taka miła synekura, miał powiedzieć o minionym czasie, tak w ramach rachunków sumienia: „Byliśmy fałszywą prawdą”. Piękne słowa, mające w sobie metafizyczną głębię, duch dziejów usprawiedliwia zbrodnię. Irena Szymańska opowiadała mi kiedyś, jak do PIW przyszła kobieta i natknęła się Różańskiego – na jego widok zemdląca, torturował ją.

Znajoma lekarka wykupiła leków na pół roku z powodu koronawirusa. Osoba rozważna i niehisteryczna. W jaką panikę wpadną nierozważni. Jeśli w Polsce epidemia przybierze ostrą postać, służba zdrowia ujawni swoje liczne słabości. Oczywiście PiS powie, że wina Tuska. Jak wszyscy totaliści pisowcy stają się odpowiedzialni za wszystko, też za to, co złe. Tak było w PRL, dlatego umniejszano wtedy rozmiar katastrof, a czasami nawet je ukrywano. Obecna plaga nie musi, ale może przeorać świat, będzie wiele reakcji łańcuchowych, nie tylko w ekonomii, teraz nie do przewidzenia.

CIEKAWSKA LILY

Oryginalny tytuł komedii kryminalnej Jacka Popplewella sprzed niemal 60 lat to „Busyboby”, czyli „Ciekawska”. Tytuł może mało chwytliwy, ale trafny, bo cała intryga rozwija się za sprawą sprzątaczkii Lily (Krystyna Janda), która o firmie pracodawcy, Richarda Marshalla, wie wszystko. To ona odnajduje ciało, a potem, wezwawszy policję, towarzyszy w śledztwie inspektorowi Baxterowi (Piotr Machalica), który – jak się okazuje – jest jej byłym kolegą



szkolnym i niefortunnym adoratorem. Co więcej, ciało denata znika i zaczynają się komplikacje.

Wygląda to zawile, ale cały dowcip tkwi w relacji Lily-inspektor, która dyktuje tempo i buduje klimat. To znaczy ciekawska Lily przyspiesza, a safandutowaty inspektor spowalnia, ją nosi energia, a on najchętniej wróciłby do domu: nie dość, że niewyspany, to jeszcze złapał wirusa (jakie to aktualne!). Ona rzuca się w wir śledztwa z entuzjazmem neofitki, on to chodząca rutyna. Duet Janda i Machalica wypada znakomicie, wybornie śmiesz, reszta obsady wpisuje się w tę konwencję, barwiąc swoje postacie charakterystycznymi cechami. Magdalena Smalara jest idealnie skrojoną zakochaną sekretarką, Mateusz Damiński wysportowanym księgowym, Magdalena Lamparska maszynistką o ambicjach modelki, Grzegorz Daukszewicz kochliwym śledczym, Krzysztof Stelmaszyk tylko pozornie groźnym szefem, Agnieszka Krukówna jako jego żona ma diabła za skórą.

Krystyna Janda niezawodną ręką i swoją dynamiczną postacią nadaje rytm całości, oferując widzom dwie godziny gwarantowanej zabawy.

Tomasz Miłkowski

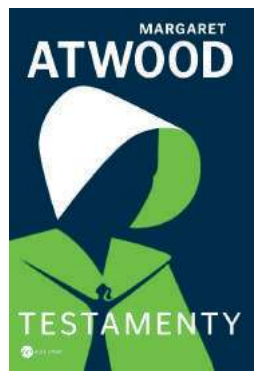
Jack Popplewell, „Lily”, tłumaczenie Elżbieta Woźniak, reżyseria Krystyna Janda, Och-Teatr, premiera 23 lutego 2020

KAPITAN ŻBIK ROZGRZESZA

Teatr Syrena nową premierą wkracza dziarsko w dyskurs polityki historycznej i mimo obowiązujących trendów pokazuje w zabawowy i roztańczony sposób „wyklętą” rzeczywistość PRL. Spektakl Wojciecha Kościelniaka z muzyką Mariusza Obijalskiego nie próbuje stygmatyzować ludzi z lat 70., a to już niemal rewolucyjne podejście. Lista atrybutów, które przedstawiciele dawniejszych pokoleń ujrzą w przedstawieniu, jest zaiste długa: orzeł bez korony, uliczny saturator, Supersam, Wars, Pewex, PKiN, Junior, bar Zodiak, rotunda, butelki z mlekiem, tranzystor i samochód Warszawa, obraz kontrolny TVP, kiosk Ruchu, automat telefoniczny, kartki na żywność, logo MO, stare neony itp., itd. Czy Warszawa lat 70. była rzeczywiście rozśpiewana i roztańczona, czy była stolicą koszul nonajron i społecznych akcji zbiórki makulatury? Wydaje się, że twórcom spektaklu chodziło nie tylko o komiksową zabawę, ale także o uwznioślenie nostalgicznych „weteranów stania w kolejkach”, tęskniących za życiem pełnym wolności i barw.

Bronisław Tumilowicz

„Kapitan Żbik i żółty saturator”, teksty i reżyseria Wojciech Kościelniak, Teatr Syrena, prapremiera 29 lutego 2020



Margaret Atwood

Testamenty

tłum. Paweł Lipszyc

Wielka Litera, Warszawa 2020

„Jaki sens rzucać się pod walec parowy z powodu zasad moralnych i pozwalać, by cię zmiażdżył? Lepiej wtopić się w tłum, obłudnie chwalcę, uniżony, nieważny tłum”. Tak tłumaczy się z dołączenia do maszyny Gileadu twórczyni systemu odseparowania kobiet od mężczyzn, wydzie-

lenia im odrębnego świata. Tym argumentem często zastaniają się ci, którzy popierają władzę różnych facetów widzących się w roli zbawców narodu (emerytowanych bądź nie). Instynkt samozachowawczy działa. A Ciotka

Lidia zdążyła poczuć na sobie ciężar tego walca. Wybrała więc pragmatyzm, cynizm i cierpliwe czekanie. Gdy władza musi pilnować wszystkich, to z nadmiaru wrogów któregoś przeoczy, zwłaszcza gdy wydaje się dawno złamany i stał się tak przydatny. W „Opowieści podręcznej” (wydanej ponad 30 lat temu!) ciotki robią wrażenie ściany zła, z kolei córki są jak rząd bezwładnych lalek. W „Testamentach” właśnie te dwie grupy wysuwają się na pierwszy plan, choć to świadectwo Ciotki Lidii najbardziej przykuwa uwagę. Co ciekawe, dla dziewczyn zostanie ciotką bywa ratunkiem przed zamążpójściem, bynajmniej nie różową przyszłością. W ich szkolnych relacjach i zabawach widać z kolei, jak poza oficjalną religią tworzą się przesady i uprzedzenia. Dzieci w Gileadzie są rzadkim dobrem, ale i tak dzielą się na lepsze i gorsze. O jedno reżim walczy jednak szczególnie...

Aleksandra Pańko

NA EKRANACH

ZDRAJCA

reż. Marco Bellocchio, prod. Włochy/Brazylia/Niemcy/Francja,
w kinach od 13 marca

W wypełnionym nazwiskami, faktami i datami „Zdrajcy” łatwo się pogubić. Marco Bellocchio w kronice przyskrzynienia bossów cosa nostry, jednej z największych włoskich organizacji mafijnych, nie szczędzi widzowi didaskaliów. Potrzeba maksymalnego skupienia, żeby to wszystko spamiętać i ogarnąć. Ale wysiłek zostanie nagrodzony. I to w dwójnasób. Po pierwsze, „Zdrajca” to kawał kina, które nie ugina się pod naciskiem przyzwyczajenia dzisiejszego widza. Choć to najdroższy film w dorobku włoskiego mistrza, opowiedziany jest klasycznie. Budżet spożytkowano na co innego niż wybuchy i pościgi – dopracowano przede wszystkim stronę wizualną: ożywiono Sycylię z przeszłości i zadbano o spektakularne stroje. Po drugie, reżyser w opowieści o Tommasie Buscetcie, tytułowym zdrajcy, który po latach wyspał mafijnych braci, bo nie mógł znieść, że strzelają do kobiet i dzieci, znajduje

pretekst do filozoficznych rozważań. Na pytanie, czy jego bohater jest nawróconym grzesznikiem, czy sprytnym cynikiem, musi odpowiedzieć sobie widz. A świadomy skomplikowania sprawy Bellocchio dobrze wie, jak nam to utrudnić.

Artur Zaborski



ZAJRZYJ TUTAJ

AHMED CHERKAOUI W WARSZAWIE

Polsko-marokańskie relacje artystyczne w latach 1955-1980

Ahmed Cherkaoui, pionier marokańskiej sztuki współczesnej, na początku lat 60. studiował rok w warszawskiej ASP, a czas spędzony w Polsce – jak czytamy w zapowiedzi wystawy – okazał się przełomowy w jego malarskiej karierze. „Warszawski okres, oparty na poszukiwaniach malarstwa materii, zapowiadał jego późniejsze eksperymenty w obszarze sztuki abstrakcyjnej, pełnej odwołań do tradycyjnej kultury berberskiej i motywów religijnych islamu, jak również polskiej i francuskiej awangardy”. Prace Cherkaouiego stanowią

punkt wyjścia do pokazania marokańsko-polskich relacji kulturalnych, bo warto wspomnieć, że od połowy lat 50. do początku lat 80. na polskich uczelniach artystycznych studioowało kilkunastu studentów z Maroka.

**WARSZAWA, ZACHĘTA,
10 MARCA-31 MAJA**



RASA I LAS

Wystawa przygotowana przez zespół śledczy INTERPRIT, zajmujący się gromadzeniem faktów związanych ze zbrodniami na środowisku naturalnym, bada związki ludobójstwa, ekobójstwa i gospodarki leśnej. Historia sięga 1947 r., kiedy w ramach działania Komisji Narodów Zjednoczonych ds. Zbrodni Wojennych Polska oskarżyła 11 obywateli Niemiec o zbrodnie wojenne związane ze zniszczeniem środowiska naturalnego. Proces dotyczył celowego niszczenia polskich lasów, żeby zagwarantować zaopatrzenie w drewno konieczne do prowadzenia działań wojennych. Na wystawie zobaczymy materiały dotyczące tego, w jaki sposób tematyka rasowa i środowiskowa łączyły się w ideologii III Rzeszy. „Analizując historię ludobójstwa w kontekście natury, »Rasa i las« włącza studia nad Zagładą w aktualne rozważania o zmianach klimatu i odpowiedzialności człowieka za środowisko”.

**BIENNALE WARSZAWA,
DO 19 KWIETNIA**



GRUPPA. POKOLENIE PRZEŁOMU

Przy ulicy Pięknej w Warszawie, w siedzibie DESA Unicum możemy oglądać wystawę w całości poświęconą Gruppie, założonej w 1982 r. przez studentów warszawskiej ASP. Paweł Kowalewski, Jarosław Modzelewski, Ryszard Grzyb, Włodzimierz Pawlak, Marek Sobczyk i Ryszard Woźniak chcieli zareagować na rzeczywistość lat 80. kolorem i ekspresją. Twórczość Grupy była bardzo zróżnicowana i pełna kontrastów. Artystów nie łączyła jedna wizja sztuki, ważne były wspólne sesje malowania, podczas których powstały liczne prace na papierze. Na prezentacji przedaukcyjnej pokazywanych jest 40 prac legendarnej już formacji.

WARSZAWA, DOM AUKCYJNY DESA UNICUM, DO 17 MARCA



Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Lukier na ciemnej materii

To, co widzimy, stanowi mniej więcej 1% całkowitego bilansu materii i energii wszechświata

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Jak w prostych słowach wytłumaczyć zjawisko, a może hipotezę tzw. ciemnej materii?

– Nie nazwałabym ciemnej materii ani hipotezą, ani zjawiskiem. Jest to koncepcja, która tłumaczy liczne obserwacje astronomiczne. Nie wiemy, czym tak naprawdę jest ciemna materia. Potrafimy za to opisać jej cechy. Wiemy, że nie świeci – a ściślej mówiąc, nie oddziałuje elektromagnetycznie – i dlatego nie możemy jej bezpośrednio zaobserwować. Oddziałuje za to grawitacyjnie, ponieważ ma masę. Co więcej, ciemna materia zdecydowanie dominuje we wszechświecie. Szacujemy, że jest jej pięciokrotnie więcej niż tzw. jasnej materii (zwanej też zwykłą materią), czyli wszystkich planet, gwiazd i galaktyk, gazu i pyłu.

Czyli to materia raczej niewidzialna, ale ważna dla tej widzialnej? Czy ona jest daleko od Ziemi, czy może dociera aż do nas?

– Ciemna materia jest wszędzie. Wypełnia cały wszechświat. Jak wspomniałam, jest jej pięć razy więcej niż materii jasnej, którą znamy i widzimy. Dlatego stanowi szkielet struktury we wszechświecie – jasna materia to jakby lukier, którym posmarowana jest ciemna materia.

Nasza materia złożona jest z atomów. A ciemna materia to co?

– Najprawdopodobniej jakiś rodzaj cząstek. Wszystko wskazuje, że są to cząstki masywne i jednocześnie



DR HAB. AGNIESZKA POLLO

– astrofizyk

bardzo powolne – mówiąc językiem fizyki, nierelatywistyczne.

Wszystko to kojarzy się metafizycznie. Jesteśmy blisko stworzenia, prapoczątku.

– Nie, ciemna materia to ani prapoczątek, ani duch, który stworzył świat. To raczej szkielet – niewidoczne rusztowanie, na którym rozpięte są struktury jasnej materii. Materia – zarówno jasna, jak i ciemna – dzięki grawitacji

grupuje się, zbija w większe struktury. Jasna materia grupuje się silniej, bo dodatkowo traci energię przez promieniowanie – dlatego może tworzyć skały, takie jak nasza Ziemia. Ciemna materia takich skał nie tworzy. Dla ludzi jej obecność jest nieodczuwalna, ale właśnie ciemna materia nadaje kształt wielkim strukturom wszechświata – galaktykom i ich gromadom. Nasza galaktyka Drogi Mlecznej, wszystkie jej gwiazdy i planety są zanurzone w znacznie rozleglejszej (i masywniejszej) chmurze ciemnej materii.

Jak doszło do wykrycia ciemnej materii i czy to absolutnie pewne, że nie chodzi o złudzenie optyczne albo błąd pomiaru?

– Jeśli to jest złudzenie, to na pewno nie optyczne – ciemna materia nie emituje światła. Oczywiście może to być np. błędna interpretacja obserwacji. Na obecnym etapie rozwoju nauki jest to jednak najlepsze wyjaśnienie licznych faktów obserwacyjnych.

Wyjaśnienie czego?

– Na przykład zachowania się galaktyk w gromadach. Gromady to skupiska wielu galaktyk. Wewnątrz nich galaktyki poruszają się z pewnymi prędkościami zależnymi od masy gromady – im większa masa gromady, tym szybsze są galaktyki. Wykorzystując obserwacje astronomiczne, mierzymy ich prędkości. Okazuje się, że galaktyki poruszają się zbyt szybko! Zsumowana masa wszystkich galaktyk gromady jest zbyt mała, aby wytłumaczyć ich szybki ruch. Dlatego wnioskujemy, że w gromadzie musi się znajdować dodatkowa materia – taka, której nie widzimy. To najprostsze wytłumaczenie. Galaktyki – całe gromady galaktyk – siedzą w chmurach niewidocznej materii, która nadaje im dodatkową prędkość. Nie jest to nowe odkrycie – prekursorem takich badań był Fritz Zwicky już w latach 30. XX w. Inny przykład – tu wypada wymienić Verę Rubin – dotyczy pomiaru prędkości gwiazd w galaktykach. Okazuje się, że w galaktykach spiralnych, takich jak nasza Droga Mleczna, gwiazdy odległe od środka poruszają się

Dr hab. Agnieszka Pollo – zajmuje się kosmologią obserwacyjną, czyli badaniami galaktyk, struktur, jakie te galaktyki tworzą, i ewolucji wszechświata. Pracowała m.in. w instytutach naukowych we Włoszech i we Francji. Obecnie pracuje w Obserwatorium Astronomicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego i w Narodowym Centrum Badań Jądrowych w Warszawie. Naukowo zajmuje się badaniami galaktyk i struktury wielkoskalowej wszechświata w wielkich przeglądach nieba. Kieruje m.in. polską komórką projektu VIPERS (VIMOS Public Extragalactic Redshift Survey) i polskim konsorcjum projektu LSST, jest także współkoordynatorem międzynarodowego projektu kosmicznego POLAR-2.

Agnieszka Pollo dziękuje za pomoc dr Annie Durkalec z NCBJ, redaktorze miesięcznika „Delta”, naukowo również zajmującej się ciemną materią.

szybciej, niż powinny – jak gdyby na obrzeżach tych galaktyk było dużo masy. Pomiary wskazują, że tej masy powinno być niekiedy nawet 10 razy więcej niż widocznej materii. Nie tylko zatem całe gromady, ale także pojedyncze galaktyki siedzą we własnych kokonach ciemnej materii.

Coś je pogania?

– Tak. Siła grawitacji ciemnej materii. Mamy też inne dowody na istnienie ciemnej materii – obserwacje bardziej skomplikowane w opisie, ale również powiązane z działaniem grawitacji. Jeden z najnowszych dowodów wiąże się z tzw. słabym soczewkowaniem grawitacyjnym. Zjawisko to, moim zdaniem, jest najsilniejszym argumentem przemawiającym za istnieniem ciemnej materii.

Na czym polega?

– Światło ma tę cechę, że ulega zakrzywieniu, gdy przechodzi w pobliżu bardzo masywnego obiektu. Obserwując zakrzywienie światła odległych galaktyk, tworzymy trójwymiarowe mapy materii – ciemnej i jasnej – przez którą (albo obok której) przeszło światło galaktyk w drodze do nas. Weźmy

gromadę galaktyk o nazwie Pocisk – pozostałość po kolizji dwóch gromad galaktyk oddalonych od nas o kilka miliardów lat świetlnych. Porównano jej zdjęcia ze zrekonstruowanymi na podstawie soczewkowania grawitacyjnego mapami rozkładu masy. Okazuje się, że po zderzeniu materia jasna (gaz) pozostała nieco w tyle, a główna, niewidoczna część poleciała dalej. Dwa komponenty gromady – ciemny i jasny – odseparowały się od siebie.

Bez pomocy ciemnej materii nie powstałaby nasza galaktyka, a w konsekwencji Słońce i Ziemia.

Mówimy o wydarzeniu sprzed miliardów lat, więc może ta ciemna materia już dawno umarła, a to, co widzimy, to archeologia kosmiczna?

– Nie, mamy dowody na istnienie ciemnej materii w dzisiejszym wszechświecie – choćby w Drozdzie Mlecznej, o czym już mówiłam. Ciemna materia była, jest i wszystko wskazuje na to, że będzie. Nie ma obserwacji sugerujących, że ciemna materia miałaby zniknąć.

Jakie mogą być konsekwencje spotkania i konfrontacji z nią?

– Jedną z konsekwencji jest to, że istniejemy. Bez pomocy ciemnej materii nie powstałaby nasza galaktyka, w tym Słońce i Ziemia. To dzięki ciemnej materii wyewoluowała cała struktura wszechświata. Dzięki niej powstały galaktyki w takim kształcie, w jakim widzimy je dzisiaj – galaktyki spiralne rozpadłyby się bez utrzymującego je kokonu ciemnej materii.

„Konfrontacja” z ciemną materią jest dla ludzi zupełnie nieodczuwalna. Ciemna materia oddziałuje tylko grawitacyjnie – jej cząstki przenikają nas w każdej chwili, ale nie mają na nas wpływu poza bardzo słabym oddziaływaniem grawitacyjnym.

Czy można ją uzyskać w warunkach laboratoryjnych?

– Między innymi w celu poszukiwania cząstek ciemnej materii zbudowano CERN (Europejskie Centrum Badań ▶

SPA z jeziorem w tle

Cztery, a może pięć gwiazdek?

Polska staje się coraz bardziej popularną destynacją turystyczną. Zgodnie z raportem Głównego Urzędu Statystycznego „Turystyka w 2018 roku” liczba turystów, którzy odwiedzili nasz kraj wzrosła w porównaniu do roku 2017. Dlaczego? Nie bez znaczenia jest postrzeganie Polski jako miejsca bezpiecznego, atrakcyjnego turystycznie i oferującego wysoką jakość usług w przystępnych cenach. Dodatkowo jesteśmy uważani za najatrakcyjniejszy kraj na inwestycje hotelowe w Europie Środkowo-Wschodniej. Zastanawiasz się, czy istnieje w Polsce region, który łączy potencjał inwestycyjny z walorami turystycznymi i usługami o bardzo wysokiej jakości? Istnieje. To Mazury.

Rosnące oczekiwania

Region cieszy się coraz większą popularnością – w 2018 roku województwo warmińsko-mazurskie odwiedziło 1 mln 300 tys. turystów. Jednak napływ gości z różnych zakątków świata to również rosnące wymagania. Poszukujemy nie tylko miejsca, w którym możemy odpocząć po dniu pełnym wrażeń, ale także dobrej restauracji, czy strefy SPA&Wellness, która pozwoli zrelaksować się bez wychodzenia z hotelu.

To jedna z przyczyn wzrostu zainteresowania inwestowaniem w branżę hotelarską, a szczególnie w obiekty wysokiej klasy.

Praca i wypoczynek? To możliwe.

Mazury to już nie tylko idealne miejsce na urlop. Wraz z rozwojem turystyki biznesowej stały się doskonałą lokalizacją na organizację firmowych wyjazdów. To tutaj pracownicy spotykają się na konferencjach, negocjacjach, szkoleniach czy też wyjazdach integracyjnych. Okoliczne cztery – i pięćgwiazdkowe hotele oraz pensjonaty oferują nie tylko miejsca noclegowe, ale także doskonale wyposażone sale konferencyjne i dodatkowe atrakcje, które pozwolą zrelaksować się po intensywnym szkoleniu. W większości obiektów możemy skorzystać z usług strefy SPA&Wellness oferującej zabiegi relaksacyjne i pielęgnacyjne. Miłośnicy aktywnego wypoczynku nawet zimą znajdą coś dla siebie. Jeziora zamarzają, dzięki czemu można spróbować snowkitingu, iceboardingu i jazdy na łyżwach, a fanów jazdy na nartach na pewno ucieszą profesjonalnie przygotowane stoki w Mrągowie i Mikołajkach.

Drzemiący potencjał

W Krainie Wielkich Jezior Mazurskich znajdziemy obiekty hotelowe, które zadowolą

wszystkich, nawet najbardziej wymagających gości, jednak w regionie wciąż jest miejsce na nowe inwestycje. Przedsiębiorcy mogą liczyć na wsparcie ze strony lokalnych samorządów – 11 gmin stworzyło Stowarzyszenie Wielkie Jeziora Mazurskie 2020, którego jednym z celów jest zaproszenie inwestorów do tworzenia biznesu na Mazurach. W tym celu powstał System Informacji Gospodarczej, czyli internetowa platforma działająca pod adresem www.mazurytobiznes.pl, dzięki której potencjalny przedsiębiorca ma stały dostęp do kompleksowych i aktualnych informacji o ofercie inwestycyjnej regionu. Poza tym działa Mazurski System Obsługi Inwestora i Eksportera, którego specjaliści pomogą wybrać miejsce na inwestycję, uzyskać niezbędne pozwolenia, czy też poinformują o możliwościach zdobycia dofinansowania ze środków krajowych i unijnych.

Mazury. Biznes z natury.

W bogactwie naturalnym Mazur drzemie ogromna moc. Dołącz do przedsiębiorców, którzy uwierzyli w potencjał tej krainy i z sukcesami prowadzą tu swoje firmy. Zbuduj swój biznes właśnie tu, na Mazurach.

Więcej o możliwościach inwestycyjnych dowiesz się z www.mazurytobiznes.pl



Mazury.
Biznes z Natury
www.mazurytobiznes.pl

Projekt realizuje Stowarzyszenie Wielkie Jeziora Mazurskie 2020 w partnerstwie z gminami Giżycko, Mikołajki, Miłki, Mrągowo, Orzysz, Pisz, Rucianę-Nida, Ryn, Węgorzewo, Miasto Giżycko, Miasto Mrągowo.



Rzeczpospolita
Polska



Zdrowe życie, czysty zysk

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



► Jądrowych w Szwajcarii), słynny dzięki niedawnemu odkryciu bozonu Higgsa. Poszukiwania cząstki ciemnej materii zaczęły się jednak dużo wcześniej, bo w latach 30. XX w. Od tego czasu próbujemy zaobserwować albo wyprodukować ciemną materię. Na razie bez skutku. Być może jest poza naszym zasięgiem z powodów technicznych. Koncepcja ciemnej materii wciąż opiera się na wielu pośrednich obserwacjach astronomicznych. Oddzielnie te obserwacje można tłumaczyć na różne sposoby, ale – jak już wspomniałam – tylko istnienie ciemnej materii tłumaczy je w sposób spójny. Założenie, że wszechświat w ponad 80% składa się z czegoś, czego nie widać, może się wydawać nieco mistyczne, ale teorie alternatywne są jeszcze bardziej metafizyczne.

Czy ciemna materia jest największą z zagadek, nad którymi obecnie pracują fizycy i kosmologowie?

– Nie chcę się wdawać w tworzenie rankingów, co jest najciekawsze. Oczywiście jako astrofizycy wciąż zadajemy sobie pytanie, czy ciemna materia naprawdę istnieje, a jeżeli tak, to czym tak naprawdę jest. Zrozumienie tej kwestii na pewno poszerzy naszą wiedzę o cząstkach elementarnych. Ale pytanie o naturę ciemnej materii to tylko czubek góry lodowej. Jeszcze większą zagadką jest ciemna energia – odpowiedzialna za przyspieszające

bilansu materii i energii wszechświata, bo nawet istniejącej jasnej materii widzimy tylko niewielką część. W nauce zawsze trzeba zachować trochę pokory, bo może się okazać, że nowo odkryty element układanki ujawni jakiś błąd i cały scenariusz trzeba będzie napisać od nowa. Na razie jednak wszystkie puzzle pasują do obecnego scenariusza, a w nim jedną z głównych ról gra ciemna materia.

To brzmi jak wyzwanie pod adresem różnych sceptyków. Czy wiemy, co jest poza wszechświatem, tzn. poza ścianą w odległości 8 mld lat świetlnych, do której dociera nasze poznanie, aparatura badawcza?

– Nie ma żadnego „poza”. Wszechświat może być nieskończony. Obserwacyjnie również sięgamy dalej niż 8 mld lat świetlnych, widzimy galaktyki odległe nawet o ponad 12 mld lat świetlnych. Obserwujemy też mikrofalowe promieniowanie tła, które pokazuje nam wszechświat odległy w czasie i przestrzeni o dobrze ponad 13 mld lat. **Zejdźmy na Ziemię. Czy w pracach badawczych uwzględnia pani istnienie ciemnej materii?**

– Oczywiście! Współczesny model kosmologiczny jest oparty m.in. na założeniu istnienia ciemnej materii. Moje badania jednak nie dotyczą bezpośrednio jej poszukiwań. Zajmuję się szeroko rozumianą ewolucją wszechświata – badam, jak z czasem

i ciekawe, bo pozwala nam zrozumieć otaczający nas wszechświat. Nie sądzę przy tym, by awersja do nauk ścisłych była tak silna i powszechna.

A dyskusje na temat obowiązkowej matematyki na maturze? Z kolei niektórzy przedstawiciele nauk ścisłych zżymają się na ignorancję humanistów. Słyszałam wiele krytyki pod adresem Michela Houellebecqa, autora znanej powieści „Cząstki elementarne”, że nie ma pojęcia, o czym pisze.

– Jeśli humaniści sięgają po określenia związane z naukami ścisłymi, powinni wiedzieć, że nie są to poetyckie metafory. Jeśli istnieje kwark piękny, to nie oznacza, że jest on przystojny. O ciemnej materii lepiej nie mówić, że to czarna materia. Nie ma też sensu natychmiastowe kojarzenie jej z czarnymi dziurami. Porozumienie to często kwestia wspólnego języka. Być może wadliwy jest system edukacji, który mocno rozdziela nauki ścisłe i humanistyczne. Przecież precyzja myślenia jest niezbędna w naukach humanistycznych. Z drugiej strony umiejętność dobrego wystowienia się jest bardzo cenna w naukach ścisłych.

Czy w stosunku do nauk podstawowych, sięgających w zakamarki bytu, nie są zbyt często wysuwane jakieś żądania o charakterze ideologicznym? Czy tzw. konstytucja dla nauki i zakusy organizacji typu Ordo Iuris nie są zagrożeniem i hamulcem badań?

– Nie chciałabym tu się angażować w komentarze na temat obecnej sytuacji politycznej, bo to zawsze temat skomplikowany. Sądzę, że akurat prace badawcze w dziedzinie nauk ścisłych dla większości potencjalnych cenzorów są dosyć hermetyczne. Generalnie wszelkie upolitycznianie nauki grozi tym, że pieniądze, które mogłyby być przeznaczone na jej rozwój, popłyną nie tam, gdzie są faktyczne potrzeby, ale tam, gdzie polityka je skieruje. Nauki podstawowe, niestety, potrzebują finansowania – i to finansowanie zwraca się społeczeństwu z dużym procentem, ale niekoniecznie natychmiast i w sposób przewidywalny. Jako uczeni cenimy sobie merytoryczną ocenę i merytoryczne podejście. Z drugiej strony naukowcy jako ludzie inteligentni potrafią się dostosować do różnych sytuacji, na dobre i na złe.

Droga Mleczna, wszystkie jej gwiazdy i planety są zanurzone w znacznie rozleglejszej chmurze ciemnej materii.

rozszerzanie się wszechświata. Ponad to poszukujemy odpowiedzi na jeszcze bardziej fundamentalne pytania. Czy wszechświat rzeczywiście da się wyjaśnić w ramach modelu opartego na ogólnej teorii względności? Może pewnego dnia odkryjemy, że nie, i wtedy będziemy zmuszeni zmienić coś w naszym rozumowaniu. Fizyka, astronomia i kosmologia to bardzo ciekawa nauka, bo pozwala na odkrywanie nieznanego – tego, czego nie wiemy, jest zdecydowanie więcej niż tego, co wiemy. Mamy tego świadomość. Ale właśnie to zachęca nas do działania. Wciąż poszukujemy odpowiedzi na nowe pytania. Rekonstruujemy model wszechświata na podstawie tego, co widzimy. Widzimy jasną materię i rozumiemy, że to, co widzimy, stanowi zaledwie ok. 1% całkowitego

zmieniała się struktura wszechświata i znajdujących się w nim galaktyk. Moja praca ma dwie składowe. Pierwszą są obserwacje astronomiczne. Drugą – interpretacja i próby znalezienia teoretycznych wyjaśnień tych obserwacji. Obserwując galaktyki, badam, jak zmieniało się, czyli ewoluowało, rusztowanie wszechświata zbudowane z ciemnej materii, jak współcześnie umiejscowione są w nim galaktyki, a jak były umieszczone w przeszłości. **Czy pani działalność popularyzatorska w mediach (np. w radiu TOK FM) może się przyczynić do zmniejszenia dystansu pomiędzy publicznością czującą awersję do nauk ścisłych i matematyki a obecnym poziomem nauki?**

– Po to to robię. Próbuję pokazać odbiorcom, że to, co robimy, jest fajne

Bronisław Tumitowicz

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkało

Pokaż mapę, Anno

Jest tego trochę w europejskiej literaturze – pisanie, które wychodzi od ciała, zaczyna się w ciele, nawet jeśli jest to proza chłodna, intelektualna. Taki np. Franz Kafka opisywał życie jako pewną egzystencjalną niezręczność, pewien kłopot ciała. Zauważył to Walter Benjamin w słynnym eseju, który popełnił z okazji dziesiątej rocznicy śmierci Kafki: że często, przy nader dziwacznych okazjach, postacie Kafki kładą się w dłonie. Inny filozof, Werner Hamacher, analizował rolę gestu w dziełach Kafki. A jego najnowsi polscy tłumacze, Łukasz Musiał i Jakub Ekier, zwracają uwagę na fakt, że najlepszą ekranizacją Kafki byłaby ta niema. Na polskim gruncie takimi pisarzami byli Witold Gombrowicz, Sławomir Mrożek i oczywiście Tadeusz Różewicz. Miło przeczytać zbiór opowiadań, który – korzystając z tych tradycji – poszerza je i przysposabia do hollywoodzkiej niemal uniwersalności, nie tracąc nic ze swojej świeżości i poetyckich narzędzi. I robi to na czeskim gruncie – z dala od Hrabala i Kundery, a jednak pogrywając ze specyficzną tonalnością tych literatur. „Mapa Anny” Marka Šindelki w przekładzie Anny Wanik to miejscami zabawne, miejscami ponure i groteskowe sprawozdanie z naszej codziennej egzystencjalnej niezręczności. Naszej, czyli europejskiej: znerwicowanej, neurotycznej, autorefleksyjnej, egotycznej.

Nie ma niczego przyjemniejszego dla autora niż malownicze i spektakularne opisanie cielesnego dygotu, galarety, która nie tylko traci swoją podmiotowość, ale jeszcze ulega dezintegracji poprzez upokorzenie. Oczywiście na naszych, czytelników, oczach. W Polsce w takich opisach celuje Janusz Rudnicki. W Czechach – Šindelka. Można by zestawiać opis spożywania pokarmu przez polskiego podróżnego w PKP (Rudnicki) z opisem pochłaniania pokarmu przez Martina (Šindelka): „Przez rozmowę przenika ślina wstrzykiwana w pokarm, miażdżenie i rozdrabnianie tkanek i mięszys (...). Śmieje się, myśli o swoim przełyku, czuje się jak eksponat na lekcji biologii. Straszliwa kara jedzenia. Kara ciała”. Ot i właśnie: to historie o tych, którzy odsiadują karę dożywocia w „karcerze swojego ciała”. Czyli trochę o nas wszystkich?

Nie dla wszystkich to taka znowu kara – mogłaby powiedzieć tytułowa Anna, która ma 31 lat, jest „przerażająca się piękna”, odnosi sukcesy, zarabia i w ogóle radzi sobie, mimo że jest „pełna czyichś rzeczy i wspomnień”. I ma tę uroczą, poważną zmarszczkę na czole. A jej mapa – z tym, co w sobie odkryła i czego jeszcze o sobie nie wie, z nałożonymi na nią mapami ojca i matki – jest fascynu-

jąca i piękna. Nie tylko „mimo” śladów, zagieć, przetarć, ale właśnie „dzięki” nim. Šindelka doskonale rozumie, że pewien systemowy błąd, słabość, pęknięcie, które każdy w sobie ma, to rzecz ludzka i wymaga raczej czułości niż nagany. Jest też po prostu interesująca, jak każda dysharmonia i skaza. W opowiadaniu „Sztafeta” ta rysa pojawia się fizycznie, jako ślad na jednej ze szklanek w kredensie. Symbol tęsknoty czy raczej niepokoju, który wkrada się do rodziny po podróży z nieznaną dziewczyną.

Takich obyczajowych, nawet damsko-męskich miniatur jest tu więcej. Bo to także historie o pomyłkach czy kłopotliwych miłosnych „rozminięciach”, eksplorowanych przez wszystkie porządne komedie romantyczne. Co sprawia, że te Šindelki są wyjątkowe? Przede wszystkim szczegółowy operacyjny czy – by tak rzec – technologiczny. Formalnie tekst miejscami osuwa się w coś, co moglibyśmy nazwać

Citroën jest zdecydowanie najbardziej literackim autem w ogóle.

prozą poetycką, gdyby nie groziło to spadkiem sprzedaży książki. Šindelka jest w tym naprawdę dobry, to jego atut (debiutował jako poeta) i wykorzystuje go

doskonale. Pomijając uroczne, uprzyjemniające lekturę gadzety takie jak zdania w rodzaju „To wszystko wybuchło przed zaskoczonym wzrokiem Petra jak pączek niecierpka” (oooch! – mówi czytelnik), są tu stosowne skróty, odważne niedopowiedzenia i przelewająca się narracja. Ta ostatnia też jest zabiegiem raczej z tych ambitnych, Šindelka nie boi się, że czytelnik się zgubi. Mniej ważne jest, kto w opowiadaniach mówi, narracja nas obejmuje, czasem materializuje się w jakiejś szcztąkowej rozmowie, potem znów rozprasa na ogólniejsze, bardziej abstrakcyjne motywy („Uważaj, Anno! Wokół jest świat! Popilnuj go za mnie przez chwilę”). Dodajmy do tego ambiwalentne, miejscami niemal dramatyczne poczucie humoru i świetną kompozycję – Šindelka znakomicie balansuje między obyczajową warstwą tekstu a zmyłkami, ostrą satyrą czy metaforą rodem z wiersza.

Mam też osobistą relację z „Mapą Anny” (poza tym, że przełożyła ją moja wrocławska koleżanka): opowiadania te stanowią *corpus delicti* prowadzonych przeze mnie śledztw literackich i zaskakujących wniosków. Otóż samochód marki Citroën jest zdecydowanie najbardziej literackim autem w ogóle. W amerykańskich, brytyjskich, francuskich, szwedzkich i czeskich powieściach – jeśli bohater prowadzi auto, to właśnie citroëna. U Šindelki model Picasso. Skoro zaś bohater je pączki z piekarni Rembrandt Donuts, używa miksera marki Bosch i wody po goleniu Dali – możemy się poczuć jak w Luwrze, tyle że lekko naćpani. A może po prostu bardzo, bardzo zmęczeni?

Z banku do gospodarstwa

Coraz więcej młodych Włochów porzuca miasto i wyjeżdża na wieś, by zająć się rolnictwem

Tomasz Skowronek

Włochy są numerem jeden w Europie pod względem zatrudnienia młodych ludzi w rolnictwie. W ciągu ostatnich lat liczba tych, którzy postanowili rozpocząć pracę na wsi – choć często pochodzą z ośrodków miejskich – wzrosła o 35%. Dzięki umiejętnościom i doświadczeniu w innych sektorach gospodarki wnoszą oni do rolnictwa innowacyjne pomysły i podejście biznesowe, nastawione na dochód i zrównoważony rozwój. Te nowe formy w agrobiznesie odgrywają znaczącą rolę w zatrudnieniu młodzieży i ożywieniu gospodarczym na Półwyspie Apenińskim.

Damska ręka na wsi

Myrtha Zierock nie ma jeszcze 30 lat. Płynnie włada czterema językami, studiowała na różnych uczelniach i odbywała staże na całym świecie – od Niemiec po Kanadę i Stany Zjednoczone. Jednak postanowiła wrócić do kraju i tu wykorzystać zdobytą wiedzę.

– W czasie studiów w Niemczech, a także prowadząc badania nad ochroną środowiska, zaczęłam się zastanawiać nad jakością jedzenia – mówi Włoszka, po czym dodaje, że bardzo zainteresowała się rolnictwem intensywnym i zdrową, ekologiczną żywnością. W tym celu wyjechała do Kanady, gdzie pracowała przez dwa lata w ogrodniczym gospodarstwie Jeana-Martina Fortiera (Jardins de la Grelinette), jednego z pionierów ekologicznej i ekonomicznej uprawy roślin. Obecnie pracuje w rodzinnym gospodarstwie, winiarni biodynamicznej Foradori w Mezzolombardo w prowincji Trydent. Oprócz tego uprawia warzywa – na zaledwie



1000 m kw. rosną sałata, kapusta, koper włoski oraz owoce. Myrtha stosuje metody uprawy, które poznała na zagranicznych stażach. – Moje warzywa są na bieżąco dostarczane restauracjom. Chcę codziennie karmić ludzi moimi produktami.

Nie narzeka na brak klientów, bo Włosi coraz chętniej kupują produkty spożywcze bezpośrednio od producentów.

Według tamtejszego instytutu badań rynku rolnego, Istituto di Servizi per il Mercato Agricolo Alimentare (ISMEA), liczba młodych ludzi przenoszących się na wieś i rozpoczynających pracę w rolnictwie w ostatniej dekadzie stale rośnie. We Włoszech osoby poniżej 35. roku życia prowadzą 57 tys. gospodarstw rolnych.

W sytuacji wysokiego bezrobocia wśród młodzieży absolwenci chętnie inwestują w agroturystykę i rolnictwo.

Podczas gdy na świecie mieszkańcy wsi bądź małych miejscowości przenoszą się do metropolii, tu sporo młodych zdecydowało się wrócić na obszary wiejskie i związać swoje życie z rolnictwem.

Rośnie także rola młodych kobiet w agrobiznesie. Dziś co trzecią farmę we Włoszech prowadzi kobieta, a w sektorze rolniczym zatrudnionych jest ich ponad 400 tys. Przedsiębiorczość kobiet widać także w sektorze agroturystycznym. Włoszki zarządzają prawie 40% firm

tego rodzaju. Potrafiły one stare zagrody przekształcić w piękne domy wiejskie, wyposażone we wszystkie nowoczesne udogodnienia. Takie miejsca cieszą się sporym zainteresowaniem turystów.

Dobry zawód na kryzys

– Wizerunek rolnictwa bardzo się zmienił – mówi Raffaele Maiorano, prezes włoskiego stowarzyszenia młodych rolników Confagricoltura. – Teraz jest ono uważane za fajną pracę i dobry sposób na życie. Wiele młodych ludzi, którzy wcześniej zajmowali się finansami lub biznesem, przyjeżdża na wieś i zaczyna uprawiać ziemię albo otwiera wakacyjne kwatery.

Dobrym przykładem jest 33-letni Guido Pallini, który zrezygnował z pracy bankiera inwestycyjnego w Londynie, aby powrócić na rodzinną farmę i zająć się... hodowlą bawołów dających mleko. Pallini zawsze chciał przekształcić upadające gospodarstwo w firmę produkującą sery. Dziś, dzięki jego pomysłom, dobremu marketingowi i innowacyjnemu podejściu, La Maremmana jest fabryką sera bawolego, produkowanego wyłącznie z mleka od własnego żywego inwentarza. Przedsiębiorstwo

wytwarza mozzarellę, burratę, świeżą ricottę, a nawet jogurty.

Marzenie Palliniego o uratowaniu rodzinnego biznesu się spełniło. – Czułem się odpowiedzialny za wspieranie tutejszej społeczności. Kocham swój kraj, kocham Włochy, chciałem po prostu tutaj wrócić.

Po otrzymaniu dyplomu z ekonomii i finansów na LUISS Business School w Rzymie Pallini przez sześć miesięcy pracował dla FAO w Kolumbii, a następnie spędził trzy lata w Londynie w japońskim banku Nomura, po czym wrócił do rodzinnej miejscowości i zajął się upadającą farmą bawołów w Toskanii. – Rolnictwo to teraz dobry zawód. Włochy są pogrążone w recesji, bezrobocie wśród młodzieży wynosi 36%, a na południu kraju jest jeszcze wyższe. Absolwenci chętnie inwestują w agroturystykę i rolnictwo, co łagodzi ogólny kryzys. No i rośnie świadomość pochodzenia żywności – tłumaczy. – Na farmie przydaje mi się doświadczenie zdobyte na rynku finansowym. Wielu menedżerów kończy karierę bankową i kupuje gospodarstwa zajmujące się produkcją wina.

Menedżerskie doświadczenie można dostrzec w sposobie zarządzania farmą. Jego gospodarstwo współpracuje z wieloma innymi lokalnymi firmami, aby ulepszyć hodowlę bawołów i produkcję mleka. Utrzymuje kontakty z uniwersytetem w Pizie, aby poznawać najlepsze metody dbania o dobrostan zwierząt i przetwarzania surowca. Jednym słowem, modernizuje firmę, aby była bardziej wydajna.

Z farmerem przy obiedzie

Można wyróżnić dwa typy młodych rolników. Jedni to osoby często bez rolniczego wykształcenia. Ziemię zwykle otrzymują w spadku po dalszych krewnych bądź ją kupują. Mają bardzo zróżnicowane kwalifikacje i jasne pomysły na to, co chcą robić. Druga grupa to osoby dziedziczące ziemię po rodzicach. Od dziecka uczą się zawodu, kończą szkoły rolnicze i gastronomiczne.

Organizacja Slow Food, założona w Piemoncie w 1986 r., od 2004 r. co roku organizuje konferencję Terra Madre, przeznaczoną dla drobnych rolników, rybaków i producentów żywności. Spotykają się na niej ze środowiskiem akademickim, ku-

charzami, konsumentami i grupami młodzieży. Celem spotkań jest wprowadzanie innowacyjnych rozwiązań do produkcji żywności, gastronomii i ekonomii.

Od lat aktywny jest kolektyw Gruppi di Acquisto Solidale – grupy konsumentów, które zbierają się, aby kupować żywność luzem bezpośrednio od producentów. – Nigdy nie przywiązywano tak dużej wagi do ziemi, do rolnictwa, do tego, co jemy i jak odnosimy się do środowiska, jak dzisiaj. Bycie rolnikiem stało się bardziej prestiżowe, ponieważ jedzenie jest czymś kluczowym – mówi Ottavio Rube, współzałożyciel Valli Unite, spółdzielni rolniczej położonej na łagodnych wzgórzach wschodniej doliny Ossona w Piemoncie. – Teraz ludzie patrzą na mnie jak na eksperta.

VaZapp to stowarzyszenie przedsiębiorców utworzone w Apulii na południu Włoch, które ułatwia rolnikom wymianę doświadczeń. Inicjatorami byli Giuseppe Savino i ks. Don Michele de Paolis. Obaj uważali, że rolnictwo mogłoby powstrzymać emigrację na bogatą północ. A jak działa VaZapp?

– Po pierwsze, słuchamy. Sam jestem rolnikiem i wiem, że dzisiaj rolnicy czują się samotni i mało kto ich słucha. Właśnie dlatego wymyśliłmy spotkania, zwane Contadinner (od włoskiego słowa *contadino*, czyli farmer, i angielskiego *dinner* – obiad) – wyjaśnia Savino. – Chodzi o organizowanie obiadów w domach rolników, gdzie każdy może przedstawić swój punkt widzenia, wymieniać się pomysłami. Najważniejsze jest stworzenie sieci kontaktów, by dzielić się doświadczeniami. To konieczne, aby przetrwać.

Ponadto organizacja wspiera początkujących rolników i doradza młodym ludziom, którzy dopiero zaczynają przygodę z agrobiznesem. – Młodzi rolnicy mają inne podejście i chcieliby zmienić sposób pracy, ale często nie wiedzą, jak to zrobić – opowiada Savino, który jakiś czas temu przejął stery rodzinnego przedsiębiorstwa w Foggii w Apulii i zajmuje się uprawą zbóż, winogron oraz wytwarzaniem oliwy z oliwek.

Choć liczba młodych Włochów zasilających sektor rolny rośnie, wciąż pozostaje wiele problemów do rozwiązania. Główne przeszkody to dostęp do kredytów i biurokracja. Na

Sardynii cena hektara ziemi wynosi ok. 17 tys. euro, a w Ligurii aż 108 tys. euro. Rolnicy mogą jednak korzystać z funduszy udostępnionych przez Unię Europejską oraz programów krajowych. Rolnictwo od dawna jest jednym z najbardziej subsydiowanych sektorów gospodarki, rolnicy korzystają z ulgi podatkowej i funduszy pomocowych. Tylko w 2019 r. Włochy przeznaczyły 70 mln euro na pomoc dla nowych młodych rolników. Ludzie w wieku od 18 do 41 lat mogli skorzystać z nisko oprocentowanych pożyczek na zakup gruntu.

Władze widzą w tym korzyści gospodarcze, społeczne i wizerunkowe. Teresa Bellanova, minister rolnictwa, w jednym z wywiadów powiedziała: – Należy popierać rolnictwo, które w końcu będzie atrakcyjne dla nowych pokoleń. W tym kierunku zamierzamy dążyć. Dobra jakość rolnictwa oznacza przyszłość, nowe firmy, miejsca pracy, rewitalizację krajobrazu, ochronę środowiska, innowacje, dobry wizerunek i świetną jakość usług. To w końcu jedna z najważniejszych wizytówek naszej marki *Made in Italy*. ■

FAKTY & MITY
TYGODNIK NIEKLERYKALNY

20 lat
FIM

ZAMKNIJMY KOŚCIOŁY!

Już w kioskach!

Gabriel Michalik

Błysk, grzmot, trzęsienie ziemi!
Polska, jesień 1990.

Kaspirowski w telewizji, Kaspirowski w Sali Kongresowej, Kaspirowski w katowickim Spodku...

Liczy z telewizora: *adin, dwa, tri...*
Co liczy, po co liczy, do ilu doliczy?

Kto wie? Dwie trzecie Polski siedzi przed odbiornikami.

W siedzibie Solidarności z Lechem Wałęsą Kaspirowski radzi o naprawie Rzeczypospolitej, w Hali Olivia uzdrowia tłumy. 19 października zjeżdża na Jasną Górę. Ojcowie paulini oddają do jego dyspozycji celę, w której dotąd zatrzymywał się Jan Paweł II. Kameralny, by nie powiedzieć ekskluzywny seans dla zakonników i ich gości – siostr zakonnych, księży diecezjalnych i świeckich – odbywa się w podziemiach klasztoru.

Rok wcześniej Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego przestrzegła wiernych przed Kaspirowskim, dopatrując się w jego działalności okultyzmu, a u osób uczestniczących w seansach – znamion opętania przez demony. Kościół w Polsce nie podziela opinii rosyjskiej Cerkwi, może dlatego, że jej nie zna.

Z „Kroniki Jasnogórskiej”:

„W godzinach wieczornych przyjechał radziecki psychoterapeuta dr Anatolij Kaspirowski. Przez dwa dni zatrzyma się na Jasnej Górze. Pierwsze kroki po przybyciu do Sanktuarium skierował do Kaplicy Matki Bożej, gdzie modlił się razem z młodzieżą maturalną. W czasie pobytu w Klasztorze dr Kaspirowski w towarzystwie o. Jacka Toborowicza i o. Włodzimierza Robaka zwiedził zabytki Jasnej Góry. W Kaplicy Różańcowej spotkał się ze wspólnotą paulińską, siostrami zakonnymi i pracownikami Jasnej Góry. W czasie spotkania wyjaśniał specyfikę otrzymanego od Boga daru leczenia ludzi oraz przeprowadził dla zgromadzonych mały seans psychoterapeutyczny. Przekazał także dar pieniężny – 4 tys. dolarów na odbudowę spalonej części klasztoru. Chciał w ten sposób wyrazić wdzięczność za gest serca Polaków, którzy otoczyli opieką dzieci ze Związku Radzieckiego po wybuchu reaktora w Czarnobylu”.



Boży człowiek

Kaspirowski liczy. Po co? Do ilu? Nie wiadomo, ale dwie trzecie Polski siedzi przed telewizorami

Na krótkim nagraniu wideo Anatolij, który i wcześniej, i później mieszał będzie chrześcijaństwo z najgęstszym błotem, mówi, co następuje:

– Czcigodni Święci Ojcowie! Wielka to cześć dla mnie być tu dzisiaj z wami. Zapewne jestem pierwszym człowiekiem radzieckim, który miał szansę przebywać w tych murach. Ale nie o tym... Chcę mówić o tym, co łączy pracę lekarza i waszą sprawę. Szczytowe osiągnięcia psychoterapii to etap, który religia już zdążyła przejść. W Biblii spotykałem często te subtelne myśli, które mają kluczowy charakter dla mojej dyscypliny wiedzy. Mówiliście mi, że leczenie tylko przypadłości duszy. Uczyniłem dla siebie wielkie odkrycie: przycho-

dzi do was mnóstwo ludzi; wierzą, modlą się. Chciałbym, byście wykozystali ich wiarę. Jeśli uzdrawiacie ich duszę, to uzdrawiacie także i ciało! Wówczas, pewien jestem, liczba cudów na Jasnej Górze wzrośnie wielokrotnie! [rzęsiste brawa]

Sam seans nie zachował się na nagraniu. Prócz wstępu przetrwał jeszcze do naszych czasów zapis tylko kilku ostatnich minut spotkania. Ówczesny przeor Jasnej Góry o. Jerzy Tomziński zapewnia Kaspirowskiego, że gość spotka zawsze w Częstochowie otwarte serca i otwarte drzwi. Modlić się tu będą ojcowie, by dobry Bóg opiekował się zawsze Szanownym Gościem i przez ręce jego czynił wiele cudów dla do-

Zamknijcie oczy. Jesteście w słodkiej niewoli. W niewoli prawdy.

bra człowieka i braterstwa naszych narodów.

Z ostatnią frazą tłumacz ma kłopot. Cóż się dziwić, przez cztery dekady PRL sączono ze wszystkich publikatorów przymusowe braterstwo polsko-radzieckie, termin jest zużyty i przenicowany, nijak w świętym miejscu przez usta przejść nie chce.

Katedry, archikatedry, bazyliki, klasztory. Czuje się Kaszpirowski pośród krzyży i dymów kadzideł jak pączek w maśle.

Tak więc, gdy przeor mówi o braterstwie, Kaszpirowskiemu szepcze się do ucha o pobratymstwie.

Solenne życzenia osobistego szczęścia nie nastroją już trudności translatorskich, a błogosławieństw, objęć i serdecznych pocałunków tłumaczyć nie trzeba.

Jest jeszcze scena odjazdu Kaszpirowskiego z Jasnej Góry. Gość ma już wsiadać do limuzyny, gdy otaczają go roześmiane siostry zakonne z naręczem kwiatów. – Modlimy się za pana. Modlimy się za was wszystkich!

O. Tomziński skończył niedawno sto lat i wywiadów już nie udziela. O. Włodzimierz Robak posługuje we Włoszech. Z pomocą biura prasowego Jasnej Góry odnajduję za to o. Jacka Toborowicza, dzisiaj przeora klasztoru paulińskiego w Leśniowie-Żarkach.

Duchowny dystansuje się od uwiecznionego na nagraniu entuzjizmu współbraci. Oprowdzał Kaszpirowskiego, ale był tylko jednym z gospodarzy, jednym z mieszkańców tego miejsca, do którego przybywało wielu znanych ludzi. Najważniejszą postacią takich spotkań pozostawał zawsze sam przeor, o. Tomziński, erudyta, człowiek niesłychanie obyty, niezastąpiony w kontaktach z tzw. wielkimi tego świata.

– Nic w tym dziwnego, że ktoś medialnie znany chce przyjechać na Jasną Górę. W tym samym czasie pielgrzymował do nas premier Mazowiecki. Też go oprowadzałem. Wielu przyjeżdżało.

I o. Toborowicz opowiada mi, jak jeszcze w głębokim PRL klasztor odwiedziła Helena Vondráčková.

W Czechosłowacji państwowy ateizm był bardziej represyjny niż w Polsce, ale piosenkarka usłyszała gdzieś o Jasnej Górze i postanowiła odwiedzić Matkę Bożą. Przyjechała akurat w Wielki Czwartek. Specjalnie dla niej odstonięto Cudowny Obraz.

– To było dla mnie wydarzenie. A Kaszpirowski? Przeor wydał polecenie, więc oprowadziłem gościa po klasztorze. No cóż, przyjechał pielgrzym, owszem – dość znany, ale nie mnie, bo telewizji nie oglądałem. Tyle

o nim wiedziałem, co mi ktoś powiedział. Uzdrawieniami się nie urzekałem. Zawsze są tacy, którzy cudów szukają nie u Pana Boga, ale u ludzi.

Tamten czas był trudny dla paulinów. Klasztor przygotowywał się do wizyty tłumów wiernych. Niedługo wcześniej Jan Paweł II ogłosił, że Światowe Dni Młodzieży w 1991 r. odbędą się właśnie w Częstochowie, a tu w sierpniu 1990 r. pożar strawił część zabudowań klasztornych. Spłonęło m.in. miejsce nazywane Starym Światem. Podpalacza, udającego kandydata do klasztoru, nasyłała, jak twierdzi o. Toborowicz, Służba Bezpieczeństwa.

W czasie naszych seansów zdarzają się rzeczy, które wcześniej się nie zdarzały. Nie ja będę wam mówił, jakie choroby komu minęły.

Kaszpirowski dołożył się do odbudowy wspomnianą w kronice kwotą 4 tys. dolarów. Przy ówczesnym kursie dolara to nie były małe pieniądze, a gest radzieckiego gościa ożywił ofiarność innych osób.

– Przyjechał nawet prezydent Wojciech Jaruzelski i też złożył jakiś datek. Ach, szczególny czas! Jakoś tak wierzyliśmy, że każdy się nawraca...

Pytam o. Toborowicza, czy paulini nie mieli dylematów związanych z tym, że spotkaniem z Kaszpirowskim udzielają mu niejako ręką, choć przecież w gruncie rzeczy nic nie wiedzieli ani o metodach, za pomocą których leczy, ani nawet czy rzeczywiście leczy, a w końcu, czy aby komu nie szkodzi. – Dzisiaj Kościół jest ostrożniejszy, obawia się hochsztaplerów, naciągaczy. Lecz

w tamtych czasach w Kościele było wszystko. Brakowało państwa suwerennego i demokratycznego, Kościół zastępował również jego instytucje, bywało, że w braku tych instytucji brał za dobrą monetę również takie zjawiska, które z pobożnością nic nie mają wspólnego – podsumowuje przeor z Leśniowa-Żarek.

Na długo zanim Kaszpirowski rozpoczął rajd po polskich kościołach, ich stałym gościem był Clive Harris, uzdrowiciel leczący dotykiem dłoni. Zjeżdżał do Polski raz do roku, czasem częściej. Przed kościołami, w których przyjmował, ustawiały się gigantyczne kolejki. Nie brał pieniędzy od pacjentów. Przez jego ręce (pisano: „ręce, które leczą”) według różnych szacunków mogło przejść nawet 10 mln Polaków. Podobno kiedyś tłumaczka zapytała go z ciekawości, z jakich mocy korzysta przy uzdrawianiu. Z rozbijającą szczerością miał odpowiedzieć, że z mocy demonów. Stopniowo Kościół zaniechał zapraszania Harris. A dzisiaj od egzorcystów usłyszeć można, że wcześniej Harris inicjował w okultyzm 3 mln osób.

Na antypodach Harris znajduje się postać Jana Pawła II, co do którego zwłaszcza w latach 80. powszechne było przekonanie, że samą obecnością, a tym bardziej

dotykem, jest w stanie uzdrawiać. W każdym razie w kościołach szukali Polacy zdrowia również fizycznego. I w tym sensie Kaszpirowski był na właściwym miejscu.

Po latach, gdy w Rosji będą go raz po raz nazywać sługą Szatana, Kaszpirowski za tarczę przyjmie słowa: „występowałem we wszystkich kościołach Polski”. Znaczący światły polski katolicyzm go przyjął, a zacofana prawosławna Cerkiew tkwi w zabobonnej obawie przed „nową nauką”, jak Anatolij określa swoją działalność. Sformułowanie „wszystkie kościoły” to oczywiście przesada. Parafii jest w Polsce przeszło 10 tys., wiele z nich dysponuje nie tylko jednym kościołem. Życia nie starczy, by we wszystkich dać ▶

► seanse. Prawdą jest jednak, że występował w najważniejszych świątyniach Polski, a jego towarzystwem nie gardzili biskupi i kardynałowie. Ot, choćby taki ślad: Anatolij przechowuje kilka fotografii ze spotkań z abp. Bronisławem Dąbrowskim, ówczesnym sekretarzem generalnym Konferencji Episkopatu Polski, postacią numer dwa w polskim Kościele tamtego czasu.

W wydanej w 1992 r. książeczce „Kim pan jest, doktorze Kaszpirowski” autorstwa ukraińskiego dziennikarza Wasilija T. Kality można znaleźć informację, że arcybiskup przyjął Kaszpirowskiego w swojej warszawskiej rezydencji i wyznał, że telewizyjne seanse dobrze wpływają na jego samopoczucie. Mirosław Kuliś, polski impresario Kaszpirowskiego, zapamiętał jedno spotkanie z kościelnym dostojnikiem w Warszawie, choć nie jest pewien, czy istotnie był nim abp Dąbrowski. O ile się nie myli, do spotkania doszło z inicjatywy duchownego. – Przyjął nas sędziwy, schorowany hierarcha. Miałem

wrażenie, że oczekiwał, iż spotkanie z Kaszpirowskim pomoże mu odzyskać zdrowie.

Abp Bronisław Dąbrowski zmarł w 1997 r.

Maj 1990, bazylika Mariacka w Gdańsku.

Szczupły ksiądz w okularach intonuje pieśń. Dudnią organy. Tysiące ust wychwalają Boga.

W bazylice Mariackiej trwa cud. Kobieta nie mogła ruszać szyją, a już może, mężczyzna, który 37 lat zmagał się z łuszczycą...

„Pod Twą obronę, Ojciec na niebie, grono Twych dzieci swój powierza los...”

Wiele czasu zajmą później kurii archidiecezjalnej w Gdańsku prowadzone na moją prośbę poszukiwania kaptana, który przed blisko 30 laty moderował spotkanie z Kaszpirowskim w bazylice Mariackiej. Tożsamość księdza nie zostanie ustalona. A organizatorami byli: dość anonimowo – kuria i całkiem konkretnie – Lech Wałęsa.

„...Ty nam błogosław, ratuj w potrzebie – i broń od zguby, gdy zagraża cios...”

W prezbiterium przed stołem ołtarzowym postawiono stolik i krzesło. W nawach, w krużgankach, w kruchcie i przed kościołem tłoczą się ludzie. Jedni o własnych siłach, inni – wsparci na ramionach bliskich; o kulach, na wózkach, ktoś toruje sobie drogę łaską dla niewi-

domych. Ścisk, igły nie ma gdzie wcisnąć. Ruchem kierują harcerze.

„...Czy toń spokojna, czy huczą fale, gdy Ty twe dzieci w Swej opiece masz...”

Zza ołtarza sprężystym krokiem sportsmena wchodzi Anatolij. Opiera dłoń na krześle.

„...Wznosimy modły dziś ku Twej chwale – bo tyś nam tarczą, Boże Ojciec nasz”.

Pod gotyckim ołtarzem rozpoczyna się seans uzdrowień. W krótkim



wstępie Anatolij podkreśla, że religia dawno odkryła wiele z tego, ku czemu nauka dopiero zmierza.

– Byliście pewnie już na moich spotkaniach w innych miejscach. Ale dostrzegacie, że tu jest...

Na chwilę zawiesza głos, szukając odpowiedniego określenia.

– ...tu jest o wiele przyjemniej. Tutaj wszystko nam pomaga – i ściany, i dźwięk, i jeszcze coś, czego słowami przekazać nie sposób. Wszystko to jest ważne, by obudzić w was siłę daną przez przyrodę, siłę, która jest prawdą, która ma boskie pochodzenie, ale dotrzeć do niej nie jest prosto... Czuję się tu nadzwyczajnie lekko. Wydaje mi się, że byłem tu zawsze...

Poruszenie w nawie głównej.

Anatolij ciągnie: – W czasie naszych seansów zdarzają się rzeczy, które nigdy wcześniej się nie zdarzały. Nie ja będę wam mówić, jakie choroby komu minęły. Chcę, żebyście wypowiadali się przed obliczami świętych na ikonach i przed tymi, którzy tu służą... Lekko tu mojemu ciału, lekko mojej duszy i moim myślom. Niech i wam tak będzie. Opowiedzcie nam wszystko, wypowiadajcie się z tego, co komu przeszło...

Zanim przed ołtarz przyjdą uzdrowieni, Anatolij rzuca jeszcze krótkie polecenie do asystentki: – Mikrofonu do ręki nie dawać!

Podchodzi pogodna starsza pani. – Na dłoni wyrosła mi kość. Nie zgrubienie, ale kość, rentgen wykazał. Trzech chirurgów powiedziało, że absolutnie tu nic nie pomoże, tylko operacja. Już przebijała mi się ta kość przez skórę. Po trzech seansach pana doktora w telewizji zauważyłam, że mi powoli zanika ta kość. Teraz ręka zrobiła się gładka. Sąsiadki widziały. Mam jeszcze skierowanie do chirurgów. Chcę iść i pokazać...

Anatolij: – Rzecz w tym, że chirurdzy posługują się wiedzą chirurgiczną. I nie mogą wyjaśnić pani przypadku krótkim zdaniem: „wypełniło się prawo”. Czy pani rozumie, co mówię?

– Tak.

– Dzieło moje jest takie, że wielu się wydaje, iż je rozumie, a naprawdę nie rozumieją.

– Ja rozumiem... Rozumiem. Wszystko rozumiem... Bo ja... pochodzę z Wilna – wyznaje ze wzruszeniem pani.

– Czyżby w Wilnie mieszkali ludzie, którzy wszystko rozumieją? – uśmiecha się Anatolij. Wiele już z Polski pojął, wszedł niemal w potykę katolickiej liturgii, ale mistycyzmu Kresów nie miał mu chyba kto wyjaśnić. W końcu rozmowę weksłuje się na to, że niby pani, której kość już nie rośnie na dłoni, rozumie po rosyjsku. Nie znaczy to wszak, że rozumie „dzieło Kaszpirowskiego”.

Do ołtarza podchodzi młoda kobieta, której minęły bóle nowotworowe. – Chcę oddać pokłon panu doktorowi!

Potem stara dama – po telewizyjnych seansach po raz pierwszy od lat wstała z łóżka.

Tęga kobieta w średnim wieku pragnie wyrazić wdzięczność za to, że poprzedniego dnia „pan doktor na nią spojrzął”. Przy każdym kroku czuła wcześniej wielki ból. – Dzięki panu mam nowe nogi!

Wielu może pomyśleć, że mam jakąś energię w oczach. A to nie tak.

Anatolij: – Wielu może pomyśleć, że mam jakąś energię w oczach. A to nie tak. Wczoraj chwilę rozmawiałem z tą kobietą. Rzecz nie w tym, że jakoś na nią spojrziałem, ale w tym, że w trakcie tej krótkiej rozmowy stan psychiczny pacjentki stał się taki, że właśnie wystarczyło na nogi spojrzeć, żeby spowodować tak silną reakcję.

Racjonalne wyjaśnienia Kaszpirowskiego ani trochę nie studzą atmosfery. W bazylice Mariackiej trwa cud. Zaświadcza o nim kolejne osoby podchodzące do mikrofonu. Kobieta, która nie mogła ruszać szyją, a już może; kobieta, której martwiały dłonie, a już nie martwią; mężczyzna, który 37 lat zmagął się z łuszczycą... Obejrzał jeden seans i po łuszczycy zostało tylko przykre wspomnienie.

Wreszcie pod organowe *diminuendo* i *crescendo* („głośniej organy, proszę, głośniej” – dyryguje z ołtarza Kaszpirowski) rozpoczyna się monolog Anatolija. – Zamknijcie oczy. Jesteście w słodkiej niewoli. W niewoli prawdy. Wszystko tu, zaczynając ode mnie i mojej ogromnej chęci uzdrowienia was oraz uczucia tego, że właśnie teraz, w tym momencie, udaje mi się to

jak nigdy dotąd, jest słodką niewolą. I to, że znajdujemy się tutaj, gdzie wszystko jest idealne, ponieważ nikt nigdy nie wymyśli nic lepszego. Jesteśmy w idealnych warunkach. Rezultat będzie idealny, maksymalnie idealny...

Katedry, archikatedry, bazyliki, klasztory i sanktuaria. Czuje się Kaszpirowski pośród krzyży, sutann i dyków kadzideł jak pączek w maśle.

Krótkie video opisane jest w prywatnej wideotece Anatolija słowami: „Warszawa, spotkanie z księżmi”. W czarnym skórzanym płaszczu wygląda niemal jak gestapowiec. Fotoreporterzy kłębią się wśród wiernych wychodzących po mszy ze świątyni.

– Nasz kościół jest niezwykle. Słuchaj tu ks. Jerzy Popiełuszko. Czy pan doktor wie, kim był ks. Jerzy? Opowiemy... Bardzo prosimy, żeby pan

doktor miał u nas seans. Bardzo prosimy... – przy tych słowach ks. Stefan Grelak, sędziwy proboszcz parafii Świętego Stanisława Kostki w Warszawie, mnie w dłoniach bilet z purpurową wstążką, znak godności prałata. – Oczywiście, oczywiście... Nie teraz, nie teraz, kiedy będzie czas...

Przejdzie do pustego już wnętrza kościoła. Koncert organowy *ad hoc*. Wpis do książki pamiątkowej. Przy grobie ks. Jerzego Popiełuszki Kaszpirowski kłęka i bezgłośnie porusza ustami. Księża i świeccy stojący sporą grupą za jego plecami nabożnie składają dłonie.

Zza kadru ktoś na mszę dzwoni.

Gdy wreszcie spotkam się z Anatolijem twarzą w twarz i zapytam o występy w polskich kościołach, będzie z początku mówił o akustyce i gotyckiej przestrzeni. W końcu sam sobie przerwie. Nabierze w płuca powietrza i cicho oznajmi: – To były najjaśniejsze dni mojego życia.

Fragment książki
Gabriela Michalika
*Kaszpirowski. Sen
o wszechmocy*,
Wydawnictwo Agora,
Warszawa 2020



Tom Phillips

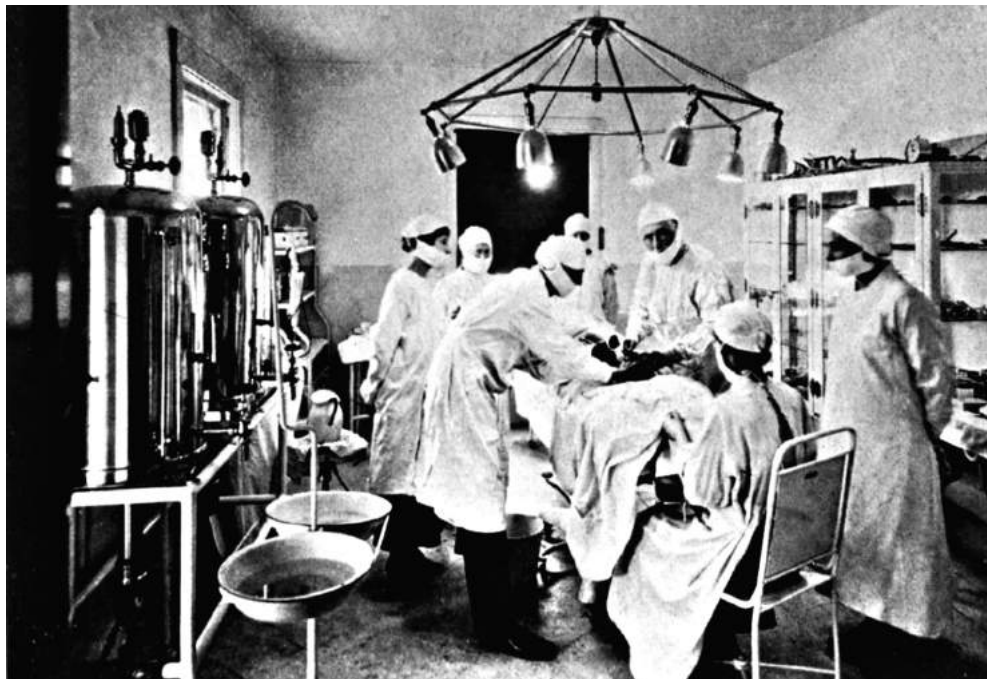
Stworzyliśmy świat, w którym pieniądze są ważne: pozwalają żyć, spełniać pragnienia i – jeśli ma się ich pod dostatkiem – mieć władzę. Kiedy zgromadzisz dość pieniędzy i władzy, możesz zmuszać ludzi do robienia tego, co chcesz, i zmieniać świat wokół siebie. A w pewnym momencie władza staje się tak wielka, że możesz uznać, że jesteś w stanie kształtować rzeczywistość według własnego uznania. Już nie musisz naginać prawdy, żeby zdobyć pieniądze; pieniądze wypracują prawdę za ciebie. (...) Zasadniczo trzeba ściemniać, dopóki się nie uda.

Warto zauważyć, jak wielką rolę w tym procederze odgrywa wiedza po fakcie. W biznesie sposób myślenia „Ściemniaj, dopóki ci się nie uda” jest nie tylko tolerowany – jest również ważną lekcją przedsiębiorczości (...). Na przykład Microsoft wystartował, gdy Bill Gates, podając się za współzałożyciela przedsiębiorstwa, Paula Allena, zadzwonił do prezesa firmy produkującej nowatorski komputer Altair i powiedział, że napisali dla niego oprogramowanie. Prezes, Ed Roberts, był pod wrażeniem i poprosił o prezentację. I świetnie, tylko że... w deklaracji Gatesa nie było ani trochę prawdy. Nie dość, że nie mieli skończonego produktu, to nawet nie zaczęli go tworzyć; napisali oprogramowanie w ciągu dwóch miesięcy pomiędzy rozmową a prezentacją. Nie posiadali komputera Altair, więc nie mogli niczego przetestować i do dnia próby nie mieli bladego pojęcia, czy program w ogóle działa.

Zdecydowanie nie jest to jedyny przykład zakończonych powodzeniem historii „Ściemniaj, dopóki ci się nie uda”, nawet jeśli ograniczymy się do „globalnie dominujących amerykańskich firm technologicznych”. Kiedy w 2007 r. Steve Jobs w niezapomniany sposób dokonywał odsłony iPhone’a, zapowiadając „rewolucyjne magiczne urządzenie”, które wstrząśnie naszym wyobrażeniem o telefonie, miał jeden mały problem: Apple jeszcze nie udało się wyprodukować działającego iPhone’a. Prototypy tłukły się, zawieszały i zrywały połączenia. Kiedy Jobs prezentował iPhone’a pełnemu za-

Kombinatorzy

Tam, gdzie można zarobić, zawsze znajdzie się ktoś, kto w tym celu przekreśli prawdę



John R. Brinkley wszczepiał panom koźle jądra, żeby leczyć impotencję. Nie był doktorem, chociaż tak się tytułował.

chwytu tłumowi w Moscone Center w San Francisco, pozornie przypadkowo zmieniając aplikacje na ekranie dotykowym, w rzeczywistości podążał sztywno wytyczoną „złotą ścieżką” – uruchamiał aplikacje w ściśle określonej, starannie opracowanej przez inżynierów kolejności, bo wszystko by się posypało.

Oczywiście Gates i Jobs mają swoje miejsce w programach nauczania szkół biznesowych na całym świecie z tego prostego powodu, że najpierw ściemnieli, a następnie osiągnęli zamierzony cel. Podjęli decyzję na podstawie czegoś, co okazało się idealnie trafną oceną ich zdolności do spełniania obietnic. (...)

Rzecz w tym, że dopiero po fakcie dowiadujemy się, czy dana historia podpada pod „ściemnianie”, czy pod „osiąganie”, więc nie stanowi zbyt przydatnego poradnika, jak działać teraz. Podejście typu „Śmiało, zrób coś wariackiego, bo w przyszłości odniesiesz sukces i cała sprawa będzie po prostu zabawną

anegdotą”, nie jest generalnie akceptowane jako etyczne przez główne religie świata, poza kapitalizmem, i w znacznej mierze wymaga odniesienia sukcesu, żeby usprawiedliwić wcześniejsze ściemnianie.

Drugą stroną medalu jest oczywiście dokonanie złej oceny własnych możliwości spełnienia obietnic. Wtedy zamiast jakiegoś Microsoftu albo Apple dostajesz „jednorożca” w rodzaju Theranosa – to przedsiębiorstwo biotechnologiczne wyceniane na 10 mld dol., zbudowane na rewolucyjnej metodzie badania krwi, tyle że później okazało się, że przeprowadzanie badań tą nowatorską metodą jest niemożliwe. Był to klasyczny przykład nakładania ściemy na ściemę i skończyło się na oskarżeniu o oszustwo. Ale przed ostatecznym upadkiem media wychwalały pod niebiosa młodą założycielkę firmy, Elizabeth Holmes, jako pionierkę nowej technologii, nie szczędząc jej zdjęć na okładkach, pochlebnych opinii i porównań do Steve’a Jobsa. (...)

Popatrzmy na przykład Whitakera Wrighta.

Wright był pod każdym względem wzorcowym superbogactem przemysłowcem z końca epoki wiktoriańskiej – wychowany w biedzie, zawdzięczał wszystko wyłącznie sobie i popisywał się bogactwem w coraz bardziej ostentacyjny sposób. Kiedy mówię „ostentacyjny”, naprawdę dokładnie to mam na myśli. Miał wszystko: wielką posiadłość wiejską, rezydencję w najmodniejszej części Londynu, ogromny jacht, którym ścigał się ze swoim przyjacielem,

referencji. Wright wprowadził edukację w wieku 15 lat, ale przyznał sobie stopień magistra i twierdził, że studiował geologię na prestiżowym uniwersytecie w Heidelbergu. Zapewne uznał, i słusznie, że bariera wysiłku sprawdzenia tych kwalifikacji okaże się zbyt wysoka.

W pewnym momencie dostał obseksji na punkcie górnictwa i zdecydował, że w tym leży jego przyszłość. Obdarzony prawdziwym talentem do oceniania jakości rudy, wyruszył na zachód, żeby dołączyć do szalonego wyścigu o cenne metale. Zaczął od

Do najwybitniejszych szarlatanów XX w. należał John R. Brinkley, lepiej znany współczesnym jako Doktor Koźle Jaja.

kajzerem Wilhelmem II. W jego posiadłości Witley Park były sztuczne jeziora i jedno z nich skrywa coś, co sprawia wrażenie wyjętego z kart steampunkowej powieści: podwodną palarnię. Wysoka na pięć i pół metra szklana kopuła z mozaikową posadzką, ulokowana na dnie jeziora i dostępna przez stumetrowy tunel, pozwalała gościom Wrighta palić papierosy, pić drinki, tańczyć i patrzeć na pływające ryby. Nazywana przez ówczesną prasę „zanurzoną bajeczną komnatą”, a przez Wrighta „kryształową grota”, była wentylowana przez usta posągu Neptuna nad powierzchnią wody, a szkło kopuły regularnie czyściła grupa specjalnie wynajętych nurków. (...) Ale problem w tym, że całe imperium biznesowe Wrighta opierało się na kłamstwach.

Wright był Brytyjczykiem, ale zbijał majątek początkowo w Ameryce, a później w Australii i Kanadzie. Najpierw wyemigrował z rodziną do Ontario, gdy drukarnia, którą założył z bratem w Halifaxie, po roku splajtowała – ten wczesny smak porażki najwyraźniej sprawił, że Wright był zdeterminowany nigdy więcej go nie doświadczyć. Na początku lat 70. XIX w., w czasie buma gospodarczego, przeniósł się do Filadelfii. Początkowo jego działalność w znacznej mierze miała legalny charakter, wspierana przez kombinację głębokiej wiary w siebie, uroku osobistego i daru wymowy, a także kilku wymyślonych

kopalni srebra w Leadville, mieście, które w poprzednich latach widziało napływ tysięcy poszukiwaczy, z kopalniami przynoszącymi miliony dolarów zysku rocznie. Było to dzikie i niebezpieczne miejsce (...).

Wright z początku obrał tę samą ścieżkę co większość innych: biedne życie na skalistych zboczach i polowanie na sugestię bogactwa. Szybko jednak wszedł w komitwę z niejakim George'em D. Robertsem, cieszącym się złą sławą potentatem górniczym o wątpliwych zasadach etycznych; Roberts sam 10 lat wcześniej padł ofiarą słynnego oszustwa (wielkiego przekrętu diamentowego z 1872 r.,

kiedy dwóch poszukiwaczy, Philip Arnold i John Slack, obsiało pole w Kolorado samorodkami diamentów, żeby przekonać inwestorów, że w tej ziemi czeka na wykopanie ogromna fortuna). Roberts – a później również Wright – doszedł do wniosku, że taka trasa do sukcesu finansowego jest znacznie łatwiejsza; zamiast zadawać sobie trud szukania bogatej żyły srebra, wystarczy przekonać chętnych inwestorów, że odkryto się bogatą żyłę srebra, i z wdzięcznością przyjąć ich pieniądze. Zanim ktoś się połapie, że w rzeczywistości kupić niewiele więcej niż dziurę w ziemi, ty będziesz już gdzieś indziej (...).

Pod wieloma względami największym i najchętniej eksploatowanym bogactwem Leadville wcale nie było srebro – byli nim ludzie i ich głód łatwego pieniądza.

Wright szybko znalazł receptę na sukces, która miała mu dobrze służyć przez całe życie: posługiwanie się wrodzonym urokiem, żeby namówić osobę o nieskazitelnej opinii i wysokiej pozycji społecznej do dołączenia do jego przedsięwzięcia, a następnie wykorzystanie reputacji jelenia i własnej imponującej osobowości do stworzenia wrażenia – zwłaszcza w podatnej na zmanipulowanie prasie – że przedsięwzięcie cieszy się pełnym poparciem. Jego pierwszą tego rodzaju ludzką tarczą był wybitny amerykański paleontolog, Edward Drinker Cope, człowiek, który dużo wiedział o wykopywaniu różnych rzeczy z ziemi, ale trochę mniej o ludzkich zdolnościach do rozmijania się z prawdą. Z jego pomocą Wright zdołał rozprzecznić akcje pierwszej kopalni za 5 mln dol. – za znacznie więcej, niż naprawdę była warta.

Później trzymał się tego schematu, przechodząc od jednego przedsięwzięcia do następnego, nie przejmując się tym, że zostawia za sobą gromadę rozczarowanych inwestorów. Miał w kieszeni uległe media, które przedstawiały go jak bohatera romansów Harlequina. „Rosły, krzepki, pewny siebie mężczyzna; wszystko w jego charakterze mówi o harcie ducha, energii, ambicji”, napisała gazeta „Albany Review”, strasznie się przy tym wysilając. Po powrocie ze Stanów Zjednoczonych do Anglii Wright założył London and Globe Company, która miała wynieść jego talent do promowania wątpliwych



Elizabeth Holmes uznano za pionierkę nowej technologii. Skończyło się na oskarżeniu o oszustwo.

► akcji górniczych na nowe poziomy, i dopilnował, żeby w radzie nadzorczej zasiadły tuzy londyńskiej socjety, łącznie z wieloma arystokratami. Wszystko to miało na celu zagwarantowanie, że społeczne naciski powstrzymają ciekawskich od zadawania zbyt wielu pytań.

Jak na ironię, przyczyną ostatecznego upadku Wrighta nie było marudzenie jakiegoś malkontenta, że kopalnie nie zawsze były takie bogate, jak je przedstawiano. Zgubiło go zupełnie inne przedsięwzięcie, związane z kopaniem tuneli: Wright postanowił zbudować metro.

Zdając sobie sprawę, że jego imperium jest jak dom zbudowany przynajmniej częściowo na piasku, musiał zdywersyfikować portfel,

Zamiast szukać żyły srebra, wystarczy przekonać inwestorów, że odkryło się żyłę srebra, i z wdzięcznością przyjąć ich pieniądze.

a poza tym uznał, że działania dla dobra publicznego mogą umocnić jego wiarygodność, i właśnie dlatego w roku 1900 skierował uwagę na wstrzymaną budowę kolei podziemnej Baker Street i Waterloo. Budowa tego odcinka trwała od wczesnych lat 90., wciąż spowalniana przez przestoje i problemy finansowe (wiem, budowa linii metra w Londynie przekroczyła budżet i nie została ukończona na czas – wprost nie do uwierzenia!). Wright zdecydował, że może pomóc, i wypuścił obligacje, żeby sfinansować prace budowlane.

Nie wypaliło. Nie było chętnych do kupna akcji i Wright nie mógł nic zrobić, żeby przyspieszyć budowę. Reszta imperium biznesowego ucierpiała finansowo, co (...) skłoniło go do przerzucania pieniędzy w skomplikowanych seriach pożyczek między firmami i sztucznego nadmuchiwanie ich kont. Ta żonglerka nie uszła uwagi i doprowadziła do wszczęcia śledztwa; Wright został aresztowany, oskarżony o oszustwo i w 1902 r. skazany. Popętnił samobójstwo w holu sądu kilka minut po ogłoszeniu werdyktu.

W tym samym roku budowę kolei podziemnej Baker Street i Waterloo przejęła nowa firma. Szybko ukończono prace i linia istnieje do dzisiaj: to oczywiście linia Bakerloo. (...)

Oczywiście nie można mówić o oszukańczych praktykach bizneso-

wych bez wspominania o królu wyściskania forszy z kitu: P.T. Barnumie, „największym showmanie na świecie”. Barnum jest sławny nie tylko ze swojego cyrku i wystaw, dzięki którym w połowie XIX w. stał się bogatym człowiekiem, ale również ze swoich – jak to ująć? – skomplikowanych relacji z prawdą. Barnum był notorycznym mistyfikatorem. Wśród jego eksponatów znajdowały się takie kurioza, jak „syrena z Fidżi” (górna część ciała małpy zszyta z tylną połową ryby, niepochoząca nawet z Fidżi – uważa się, że powstała w Japonii, zanim w końcu trafiła w ręce Barnuma) i „gigant z Cardiff”, w gruncie rzeczy niebędący jego pomysłem. Rzekomy trzymetrowy „skamieniały człowiek”

wykopany w Cardiff w stanie Nowy Jork był rzeźbą, którą zakopali dwaj przedsiębiorczy kuzyni, George Hull i William Newell, żeby następnie dokonać „odkrycia”. Później wystawiali olbrzyma publicznie, czerpiąc z tego zyski. Barnum chciał go odkupić, a gdy kuzyni odrzucili jego propozycję, po prostu zrobił własną fałszywą wersję fałszywego olbrzyma i głośno twierdził, że to tamten jest fałszywy. (...)

Do grona najwybitniejszych – i odnoszących sukcesy – szarlatanów XX w. należał „doktor” John R. Brinkley, lepiej znany współczesnym jako Doktor Koźle Jaja. Dlaczego tak go nazywano? Ha. Ciekawe pytanie.

Tak, bo wszczepiał facetom koźle jądra. Żeby leczyć impotencję. Brinkley nie był doktorem, chociaż tak się tytułował. Nie ukończył żadnej uznawanej szkoły medycznej, co jednak wcale nie znaczy, że nie próbował. Zawsze czuł powołanie do profesji lekarza i podejmował studia na kilku uczelniach, ale okoliczności finansowe i hm... skomplikowane życie osobiste (w pewnym momencie porwał swoją córkę i wywiózł ją do Kanady) sprawiły, że żadnej z nich nie ukończył.

Ale nie zamierzał pozwolić, żeby taki drobiazg stanął mu na drodze do spełnienia marzenia o praktykowaniu medycyny, i tak oto otworzył gabinet lekarski w Kansas. (...)

Gdy zgłosił się do niego pacjent narzekający na spadek sprawności seksualnej, jakoś skończyło się na tym, że wszczepił mu w mosznę dwa koźle jądra. To oczywiście nic nie dało, poza tym, że ów dżentelmen zyskał dodatkową parę jaj (które z czasem zanikły) i odnowione poczucie pewności siebie. Mimo to metoda leczenia impotencji stała się szalenie popularna, rozpropagowana przez agresywną kampanię reklamową i szczęśliwy (dla Brinkleya) zbieg okoliczności: żona jednego z pierwszych pacjentów zaszła w ciążę. (...)

Brinkley może nie zaliczał się do dobrych lekarzy, ale był doskonałym pionierem reklamy. Jako jeden z pierwszych zrozumiał potencjał względnie nowego środka masowego przekazu, jakim było radio. Założył w Kansas własną rozgłośnię, którą wykorzystywał do przekonującego zachwalania swoich metod leczenia. Kiedy Federalna Komisja Radiowa w końcu odebrała mu licencję (krótco po tym, jak Izba Lekarska Kansas pozbawiła go prawa wykonywania zawodu), po prostu przeniósł się za granicę do Meksyku i nadawał stamtąd, używając nadajnika wysokiej mocy.

W rezultacie tych dwóch decyzji Brinkley postanowił wejść do świata polityki i mało brakowało, a zostałby gubernatorem Kansas. Startując w wyborach w 1930 r. jako kandydat dopisany do listy, prawdopodobnie by zwyciężył, gdyby nie prawo stanowiące, że głosy są ważne tylko wtedy, gdy nazwisko kandydata jest napisane w jeden określony sposób, przez co dziesiątki tysięcy oddanych na niego głosów uznano za nieważne.

Aha, poza tym wielu jego pacjentów zmarło, ponieważ nie był zbyt dobrym lekarzem. To nie działało na jego korzyść, gdy postanowił pozwać o zniesławienie jakiegoś krytykanta przeszczepów jąder; przegrał, sromotnie przegrał, i w następstwie lawiny pozwów – w tym wielu za spowodowanie śmierci – ogłosił bankructwo. (...)

Fragmenty książki
Toma Phillipsa
*Prawda. Krótka historia
wciskania kitu*,
przekład Maria Gębicka-Frać,
Wydawnictwo Albatros,
Warszawa 2020



Jeden o genitaliach, drugi o żonie

Zwolenników tezy, że gdy cała władza znajdzie się w jednych rękach, to już nie będzie kłótni, tylko owocna praca dla ojczyzny, zapraszamy do MSZ, do akt sprawy byłego ambasadora RP w Japonii Jacka Izydorczyka.

Izydorzyc, prawnik, wykładowca akademicki z Łodzi, został wysłany na ambasadora do Tokio w roku 2017 z poręki ówczesnego szefa MSZ Witolda Waszczykowskiego. Był jego wynalazkiem. Już na placówce skłócił się z resztą personelu i z tokijską Polonią. Ponieważ jej przedstawiciele protestowali przeciw pisowskim „reformom” w sądownictwie, wykluczył ich z udziału w imprezach promocyjnych i kulturalnych ambasady. Poza tym „sprawdzał życiorysy zastanych na placówce pracowników, a nowych zatrudniał tylko po linii politycznej lojalności”. Czyli zachowywał się jak gorliwy pisowski aparatczyk.

W końcu ucho się urwało. Stracił stanowisko ministra spraw zagranicznych Waszczykowski, więc chętniej zaczęto czytać w centrali rozmaite kwity i informacje o działaniach ambasadora.

W końcu wybrał się do Tokio dyrektor generalny Andrzej Papierz, człowiek Mariusza Kamińskiego, no i nieformalny szef MSZ, a przynajmniej kadr ministerstwa. Po tej wizycie, późną wiosną 2019 r., Izydorzyc został z Tokio odwołany.

A teraz ciąg dalszy całej historii. Były już ambasador najpierw aplikował do Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Tak, właśnie tej. Ale mu się nie udało.

Potem napisał do prokuratury i NIK „zawiadomienie o popełnieniu przestępstw przekroczenia uprawnień, niedopełnienia obowiązków, poświadczenia nieprawdy, przeciwko ochronie informacji, tworzenia fałszywych do-

wodów oraz pomówień”. Dotyczyło ono ośmiu urzędników MSZ, z dyrektorem generalnym na czele.

Opisał również takie oto wydarzenie: „Papierz (...) w dniu 24 marca 2019 r. przy świadkach i w miejscu publicznym w Japonii (Kamakura) dopuszcza się obscenicznego i obraźliwego wobec Japończyków zachowania (byłem osobiście tego świadkiem)”. Na czym ono polegało? Otóż delegacja MSZ została zaproszona przez gospodarzy do świątyni. „A w japońskich świątyniach religii *shintō* – wyjaśniał dziennikarzom Izydorzyc – po przekroczeniu świątynnej bramy należy dokonać oczyszczenia poprzez umycie dłoni i przepłukanie ust w przeznaczonym do tego miejscu. Tymczasem Papierz podszedł do kadzi z wodą i zaczął symulować, że obmywa sobie genitalia. Radośnie przy tym rechotał. Towarzyszący mu ludzie z MSZ też się świetnie bawili. A Japończycy udawali, że tego nie widzą, bo nie wiedzieli, jak zareagować. Tak jak napisałem w zawiadomieniu do prokuratury: informowałem o tym incydencie szefa MSZ. Bez reakcji”.

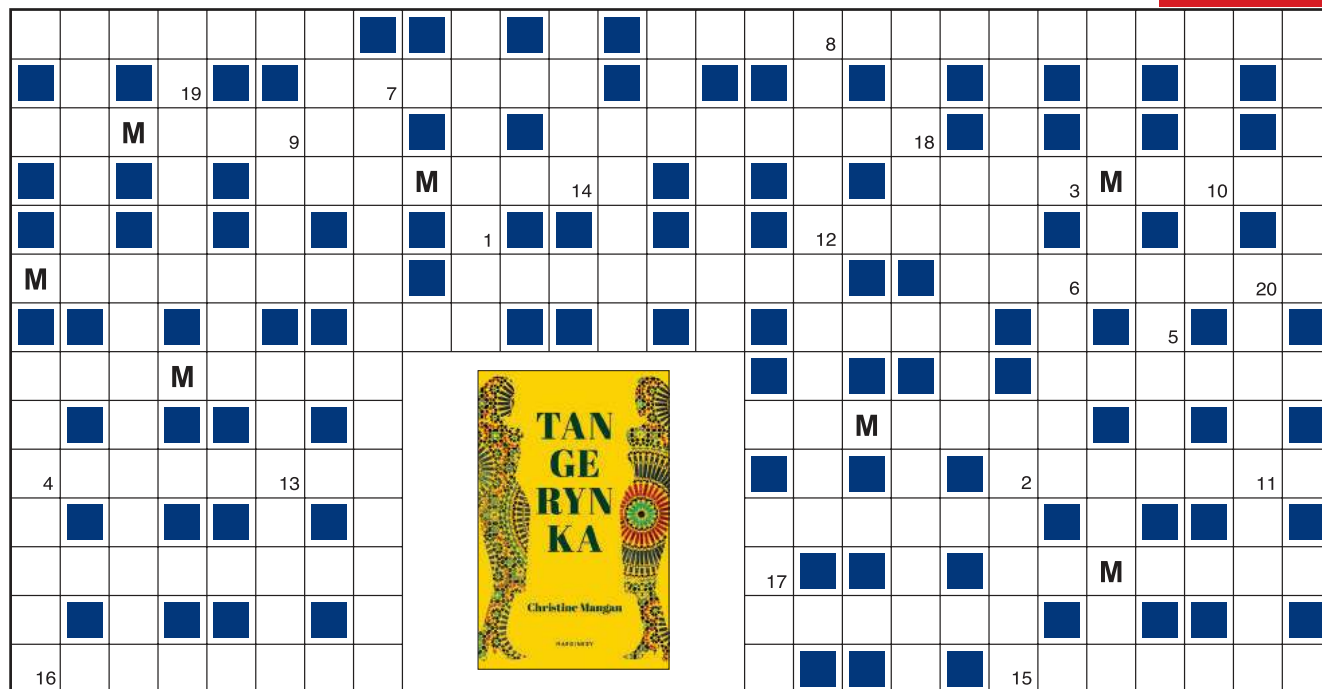
Ha! Reakcja była. Do mediów przeciekła informacja, że Izydorzyc jako ambasador zabierał w podróż służbową żonę, „łamając przepisy i wypłacając jej diety niezgodnie z prawem. Chodzi o 20 wspólnych wyjazdów”. Zdaniem MSZ ambasador łamał wewnętrzne zarządzenia, bo podróż służbowa małżonki ambasadora „wymaga szczegółowego uzasadnienia i akceptacji”, tymczasem nic takiego nie miało miejsca. Ambasador płać żonie i tyle.

Ta przepychanka, kto gorszy – Papierz czy Izydorzyc, trwa. MSZ strzela w Izydorczyka, a on w Papierza. Nam nie pozostaje nic innego jak przyznać, że obaj mają rację.

Attaché



Ścianki mają chronić chińskich uczniów przed infekcją.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery M ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- wstążeczka z meszkiem
- masyw górski z przełomem Mozy
- spód ciast z galaretką
- bez pięty, z drewnianą podszewą
- inny dla pływaka, inny dla pielęgniarki
- szczegół, drobiazg
- „...na dwa serca” z „Ogniem i mieczem”
- klody do zakuwania więźnia
- zakochał się w Psyche
- szpada (z hiszpańska) byka dżga
- futrzana do sukni wieczorowej
- imię wynalazcy lampy naftowej
- Vasco da Gama dotarł tam drogą morską z Europy
- ...losu albo chichot losu
- rodzaj obuwia lub młode zawodniczki
- do chodzenia po domu
- czerwony romb na karcie
- małeńka dla kanarka lub papużki
- Hałabala z książki Lucyny Krzemienieckiej
- barwnik – w zasadzie niebieski
- potocznie zwany bzem
- ocierana przez wrzuszonoego
- egipska to ichneumon
- walizeczka na podręczne drobiazgi
- sformułował trzy zasady dynamiki
- dziecko od urodzenia do około pierwszego roku
- wampir w niego się zamienia
- okazywane bywa grymasem, prychnięciem
- spuszczany na kwintę
- kuzynka brzozy, król tych drzew u Goethego
- kogucie albo z zachwyty
- nie długa, nie krótka, lecz w sam raz
- Gdańskie u nas, Przednie w Niemczech
- kluski z ziemniaków
- sprawozdanie, opowiadanie
- miejsce, od którego odchodzą odnogi
- rozwijają się, śpiewali żołnierze
- krzyżówka dróg
- rzędowy lub rzutowy na polu
- meksykański kapelusz
- szorty albo bermudy
- 2 podniesione do niego daje 8
- miejsce na podwiązkę
- filuterny, promienny lub szelmowski
- protestacyjny albo wyborczy
- ...pańska – jej owoce sprawiają radość Bogu
- Hreczecha z rogiem
- i dla zwierząt, i sztuczka, fortel
- zaliczka
- przykre wspomnienie jak drzazga
- USB lub D-sub
- uszczypliwości, przytyki

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-951”. Do rozlosowania książki „Tangerynka” ufundowane przez Marginesy. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 15 marca 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-948” z 23 lutego: *Kawa nigdy nie jest za mocna.* Nagrody otrzymują: Barbara Kursa z Chełma, Dawid Machulla z Bydgoszczy, Ireneusz Mazurski z Gryfic.

PENETRACJE



**PROF. STANISŁAW
OBIREK,
FILOZOF**

Polski Kościół jest antylewicowy. We Włoszech to bardziej skomplikowane. Pamiętam to dobrze z czasów, gdy mieszkalem tam jako kleryk i młody ksiądz w latach 70. i 80. W rodzinach jezuitów spotykałem katolików komunistów, co było wtedy dla mnie samego zaskakujące. Istniała zawsze społeczna katolewica w tradycji Gramsciego i Ignazia Silonego. Istniała oczywiście lewica mocno antykatolicka i antylewicowa, reakcyjna część Kościoła, żadna z tych frakcji nie miała jednak monopolu. W Polsce po stronie Kościoła *quasi*-monopol uzyskał nurt kaczyńsko-rydzkowy, brunatniejący, objawiający się dzisiaj choćby w duszpasterstwie kiboli.



**DOROTA WARAKOMSKA,
DZIENNIKARKA, MENEDŻERKA**

Wyjechałam na stypendium do telewizji Fox tuż przed „nocą teczek” w 1992 r., czyli za rządów Jana Olszewskiego. Wtedy Jacek Kurski był w „Wiadomościach” nieformalnym politycznym namiestnikiem. Wezwał mnie do gabinetu dyrektora i opieprzył, że śmiałam zadać niewygodne pytanie Adamowi Glapińskiemu, który był ministrem budownictwa. Pamiętam, że wyszłam stamtąd, trzaskając drzwiami. Myślałam, że się ta ściana rozpieprzy, tak byłam wściekła. Dosłownie następnego dnia wyjechałam do Stanów, do Foxa. Poznałam tam reportera, miał na imię John. Gdy opowiedziałam mu tę hi-

storię, wzruszył ramionami: „Myślisz, że my nie mamy nacisków?”. „Jak to, przecież jesteście prywatną stacją?”. „No właśnie, Rupert Murdoch, mówi ci coś to nazwisko? Miewamy wytyczne, żeby jakichś tematów nie poruszać albo jakichś firm nie dotykać, bo on ma zawręcz z nimi *deal*”.



**KRYSTIAN MARKIEWICZ,
SĘDZIA SO W KATOWICACH,
PREZES STOWARZYSZENIA SĘDZIÓW
POLSKICH „IUSTITIA”**

W każdym podręczniku psychologii jest jasno napisane, że następnym etapem po fali hejtu jest już przemoc fizyczna. Nie wiem, czy człowiek, który zaatakował rybnicką sędzię, słuchał pana prezydenta na biesiadzie piwnej, ale wiem, że przez lata nikt nigdy nie podchodził do mnie na ulicy i nie wyzywał mnie od kasty ani nie szarpał mnie za rękaw, grożąc, że jak jeszcze raz zabiorę publicznie głos, to mnie zabije. A teraz takie sytuacje się zdarzają.



**KAROLINA GRUSZKA,
AKTORKA**

Wrzucamy dziś do worka z napisem „miłość” potrzebę bliskości, bezpieczeństwa, chęć posiadania kogoś, kto podniesie naszą wartość w oczach nas samych, ale i innych ludzi. Podświadomie analizujemy, co możemy z tej miłości mieć i jak tu nie dać w zamian zbyt wiele, tylko dokładnie tyle, ile chcemy zaoferować. Jak umiejętnie postawić granice, aby było nam jak najprzyjemniej.

Aby język giętki...

DANIEL PASSENT O TAJEMNICACH

Teraz nie wiadomo, kto – Banaś czy agent Tomek – jest policjantem, a kto złodziejem.

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ O JOANNIE LICHOCKIEJ

Po prostu nie myślała. Gdyby miała w tym momencie podłączony encefalograf, to na ekranie byłaby płaska linia.

IGOR TULEYA O SĘDZIACH, KTÓRZY SPRZENIEWIERZYLI SIĘ WARTOŚCIOM

Ludzie, którzy na nich patrzą, widzą wypisane na ich czołach „zeświniłem się za takie i takie stanowisko” i „ści-gam kolegów za taką i taką kwotę”.

PROF. DARIUSZ STOLA O PROF. PIOTRZE GLIŃSKIM

Nasza najdłuższa rozmowa trwała 30 sekund, na przyjęciu w ambasadzie USA.

LUDWIK DORN O ANDRZEJU DUDZIE

Jest posłusznym narzędziem preze-sa swojej partii.

JAN KOMASA O FILMACH

Nie uprawiam publicystyki. Staram się podążać za tematem uniwersalnym czy raczej za tym, co w danym temacie jest uniwersalnego.

URSZULA DUDZIAK O SEKSIE SENIORÓW

Wstydzą się o tym mówić, a prawda jest taka, że kochają seks i uprawiają go do późnych lat. Czasem nawet do setki.

RENATA PRZEMYK O RODZICACH

W domu było dużo emocji. Tata zdecydowanie ekstrawertyczny, towarzyski. Mama delikatna, uczuciowa, religijna.

JUSTYNA ŁAGOWSKA DO JANA KLATY

To, że miłość nigdy nie ustaje, jest paliwem do życia.

JUSTYNA KOWALCZYK O PIWIE

W ostatnich latach nieraz jadłam schroniskowy jabłecznik i przepijałam go piwem.

TOMASZ ZELISZEWSKI O IZABELI TROJANOWSKIEJ

Czy umiała śpiewać? Powiedzmy, że nie do końca. Ale wszyscy faceci wariowali na jej punkcie.



Przyjaciół czy przegryzka?
Park Narodowy
Dolnej Zambezi
w Zambii.

FOT. JOHN SAMPSON/CATERS NEWS/CATERS NEWS/FORUM

Era hakera

Rozwój technologiczny stwarza hakerom pole do popisu. Niedawno wietnamska grupa 1945VN Team, zrzeszająca głównie studentów, dla zabawy podmieniła stronę Narodowego Banku Polskiego. Na szczęście nie dokonała zmian we wskaźnikach podawanych przez bank, bo mogłoby to doprowadzić do zawirowań w gospodarce. Na tym tle mało groźnie wygląda problem luki w oprogramowaniu stosowanym przez sieć McDonald's. Niemieccy hakerzy wykorzystali błędy w systemie do generowania kuponów na darmowe jedzenie. Co ciekawe, ich celem nie było stołowanie się na koszt giganta. Po przeprowadzeniu testów specjaliści powiadomili przedsiębiorstwo o ich wynikach. Początkowo zignorowało ono zagrożenie, ale ostatecznie załatało lukę i nagrodziło informatyków. Oby nie kuponami na burgery, bo te sami potrafią sobie wydrukować.

Cisza, spokój i pingwiny

Zakończyła się rekrutacja do najbardziej oddalonej od cywilizacji placówki pocztowej na świecie. Funkcjonuje ona na brytyjskiej stacji polarnej Port Lockroy, w jednym z najczęściej odwiedzanych przez turystów zakątków Antarktyki. Podstawowym obowiązkiem nowego pracownika będzie sortowanie listów, poza tym będzie musiał rozmawiać z gośćmi oraz oczyszczać otoczenie poczty z odchodów pingwinów. Plusem pracy jest odpoczynek od miejskiego zgiełku, w katalogu minusów znajduje się brak bieżącej wody i konieczność oparcia diety na produktach suszonych oraz z puszek.



Wystawa o smogu w krakowskim Centrum Sztuki Współczesnej Solvay. „Zakneblowani – Pokolenie 2020” Sylwii Sumy i „Nowe dziedzictwo narodowe” Alicji Sobiepańskiej.

Będą mieć kasy jak (kiedyś) lodu

Na przeciwległej części globu, w Grenlandii, rozwija się eksport wody z topniejących lodowców. Jak tłumaczy tamtejszy minister ds. przemysłu i energii, zmiany klimatu w jednych częściach świata przyczyniają się do zanikania lodowców, a w drugich – do wzrostu niedoborów wody. – Ma ona duże szanse stać się produktem, na który będzie popyt – przekonuje Jess Svane. Na pewno nie będzie problemów z podażą: tylko w lipcu zeszłego roku stopniało 197 mld ton grenlandzkiego lodu.

Bo czas to pieniądz

W Zjednoczonych Emiratach Arabskich klienci sklepów IKEA mogą częściowo płacić za zakupy... czasem poświęconym na dojazd. Po udokumentowaniu dzięki aplikacji

MEMY BEZ ŚCIEMY



Google Maps czasu podróży spędzone w niej minuty są przeliczane na kwotę odejmowaną od rachunku. Jak wylicza sieć, za 5 minut w drodze można otrzymać zniżkę równą cenie hot-doga, rabat za 49 minut odpowiada cenie stolika kawowego, a za prawie dwugodzinną podróż – cenie regatu. – Uważamy, że słuszne jest nagradzanie wysiłków naszych klientów poprzez „płacenie” im za czas przeznaczony na dotarcie do nas – komentuje rzecznik firmy.

Wyglądać jak Kim, przynajmniej z tyłu

Obfite pośladki Kim Kardashian budzą zazdrość kobiet. Wiele z nich zadręcza się treningami na siłowni, niektóre decydują się na operację. Osoby mniej skłonne do wyrzeczeń powinna zainteresować koncepcja szwedzko-fińskiego duetu artystycznego. Ida Jonsson i Simon Saarinen połączyli siły z projektantką mody Beate Karlsson i wspólnie stworzyli prototyp The Bum, czyli silikonowych spodenek z wyjątkowo krągłym wykończeniem. – Naszą misją jako artystów jest kwestionowanie – a czasem podkreślanie – zmieniających się norm i zasad oraz inicjowanie dyskusji – wyjaśnia Karlsson. Z kolei Jonsson deklaruje, że spodenki za ok. 450-600 dol. są rodzajem hołdu dla celebrytki, która stworzyła globalną markę, bazując na swojej pupie.

Trafiła kosa na Bossa

Producent eleganckiej odzieży i perfum, firma Hugo Boss, naciska na małe firmy i organizacje charytatywne, które w nazwach mają słowo Boss, by je wykreśliły. Zirykowało to popularnego brytyjskiego komika, który w proteście urzędowo zmienił imię i nazwisko. 31-latek urodzony jako Joe Lycett kontynuuje teraz karierę jako Hugo Boss, co ma wymusić na niemieckiej marce zakończenie krucjaty oraz zwrócenie jej ofiarom kosztów wiążących się z modyfikacją nazwy.

Łotrów nie obsługujemy

Rian Johnson, reżyser m.in. czarnej komedii kryminalnej „Na noże”, ujawnił politykę koncernu technologicznego Apple wobec branży filmowej. Chętnie udostępnia on swoje smartfony na potrzeby hollywoodzkich produkcji, ale pod warunkiem, że na ekranie nie będą używane przez postacie negatywne. Firma uważa, że skojarzenie fikcyjnego szwarczaka z jej produktem może się odbić na reputacji marki. Jeśli więc zobaczymy w kryminale ogrodnika z iPhone’em, możemy być pewni: to nie on zabił.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz,
Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredakcja: Magdalena Głuska,

Karina Krystosiak, Rafał Pynzar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chleicka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

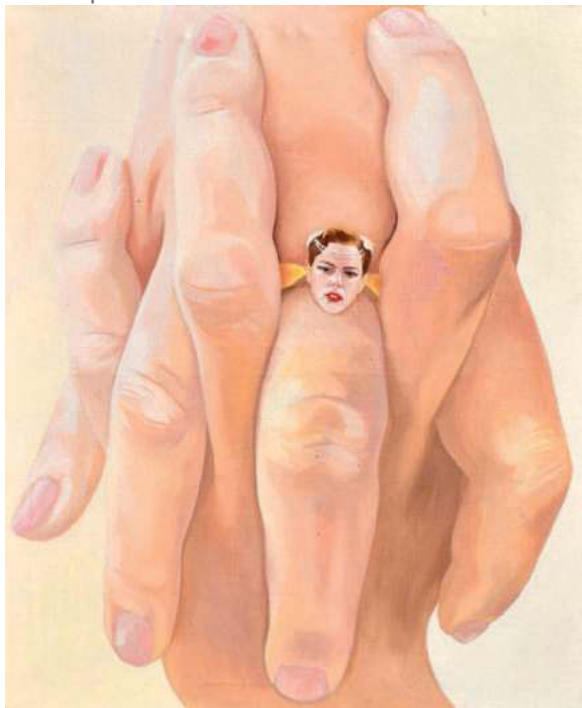
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





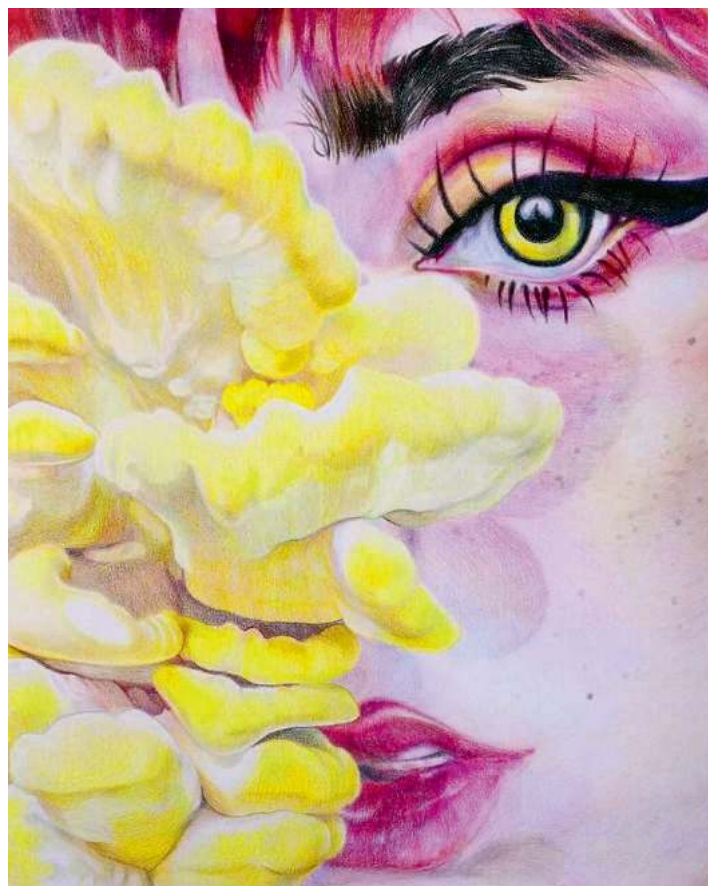
Delikatna penetracja

Zofia Pałucha mieszka i pracuje we Wrocławiu, ukończyła Wydział Malarstwa ASP w Warszawie, uzyskała dyplom z wyróżnieniem dziękąskim w pracowni Stanisława Bąja. Artystka miesza w swoich pracach popkulturę i modę z wątkami z życia prywatnego, tworzy absurdalne sceny połączeń i nawiązań, które sprawiają, że trudno się skupić na pojedynczych znaczeniach. Intuicja kieruje odbiorcą bardziej w stronę strumienia świadomości i nieoczywistych zderzeń.

Piktogram
Warszawa, ul. Kredytowa 9/26
do 21 marca



Max



Hard Nipples and Dreams of Disappearance



XXIV OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL

Sztuki Słowa

„...czy to jest kochanie?”

21.03.2020

Scena na Piętrze, godz. 10.00, wstęp wolny

**Prezentacje konkursowe
w kategorii recytacja****21.03.2020**

Duża Sala Kina Światowid, godz. 17.00, wstęp wolny

**Prezentacje konkursowe
w kategorii piosenka poetycka****22.03.2020**Duża Sala Kina Światowid, godz. 18.00,
cena biletu: 90 zł

Koncert Galowy
Koncert Laureatów XXIV edycji
OFSS „...czy to jest kochanie?”
 oraz
„Życ się chce”
Koncert Alicji Majewskiej,
Włodzimierza Korcza
i Warsaw Opera Quartet

Zastrzegamy sobie możliwość zmian w programie. Aktualne informacje na stronie www.swiatowid.elblag.pl lub pod numerem telefonu 55 611 20 59Instytucja Samorządu
Województwa
Warmińsko-MazurskiegoCentrum Spotkań Europejskich „Światowid” w Elblągu, Plac K. Jagiellończyka 1, 82-300 Elbląg
tel. 55 611 20 50, fax 55 611 20 60 email: info@swiatowid.elblag.pl www.swiatowid.elblag.pl**Sponsorzy:****Partnerzy:****Patronat medialny:**BRANIEWSKO-PASLECKI
BANK SPÓŁDZIELCZY
Z SIEDZIBĄ W PASLEKACHZrealizowano
przy współudziale finansowym
Samorządu Miasta ElblągaPROFESJONALNA
DYSTRYBUCJA
PLAKATÓW I ULOTEK

Opieka medialna



STYLOWY I POETYCKI KRYMINAL NEO-NOIR



CANNES

KONKURS GŁÓWNY



JEZIORO DZIKICH GĘSI

FILM ZDOBYWCY ZŁOTEGO NIEDŹWIEDZIA NA BERLINALE

DIAO YINANA

W KINACH OD 13 MARCA

AURORA